

IWONA KIENZLER



—◆—
*Marysieńka
i Sobieski*

Wielka miłość
—◆—



IWONA KIENZLER



—•—
*Marysieńka
i Sobieski*

Wielka miłość



Konsultacja: Sylwia Łapka-Gołębiowska
Redakcja: Ewa Popielarz
Korekta: Marek Kowalik
Skład: Igor Nowaczyk

Projekt okładki: Magdalena Wójcik

Zdjęcie na okładce: © darkbird / 123rf.com
Zdjęcie autorki: © Maciej Zienkiewicz Photography
Źródła ilustracji: zbiory Biblioteki Narodowej w Warszawie, www.polona.pl, domena publiczna

Producenci wydawniczy: Marek Jannasz, Anna Laskowska

© Copyright by Lira Publishing Sp. z o.o., Warszawa 2017
Wydanie pierwsze
Warszawa 2017
ISBN: 978-83-65838-05-6



www.wydawnictwolira.pl

Wydawnictwa Lira szukaj też na:



Skład wersji elektronicznej:

virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Motto

Wstęp

Rozdział 1. Dorastanie w cieniu wielkich przodków

Rozdział 2. Grand tour braci Sobieskich i tajemnica monsieur Briziardiera

Rozdział 3. Wojna i polityka

Rozdział 4. Ulubienica królowej

Rozdział 5. Pani Zamoyska

Rozdział 6. Dwa śluby, czyli „gruntowny” ożenek Sobieskiego

Rozdział 7. Związek na odległość

Rozdział 8. Jan Sobieski zdrajcą stanu?

Rozdział 9. Król i królowa

Rozdział 10. Wiedeń 1683

Rozdział 11. Smutna jesień życia Lwa Lechistanu

Rozdział 12. Peregrynacje królowej-wdowy

Przypisy

Bibliografia

Inne tytuły

*W dynastii, której nie było,
Wiele tajemnic się skryło.
Lew Lechistanu, wódz sławny,
Na polu walki był wprawny.*

*W Marysieńce zakochany,
Przez żołnierzy miłowany,
Na tronie z wyboru zasiadł,
Dla syna tronu nie posiadł.*

Wstęp

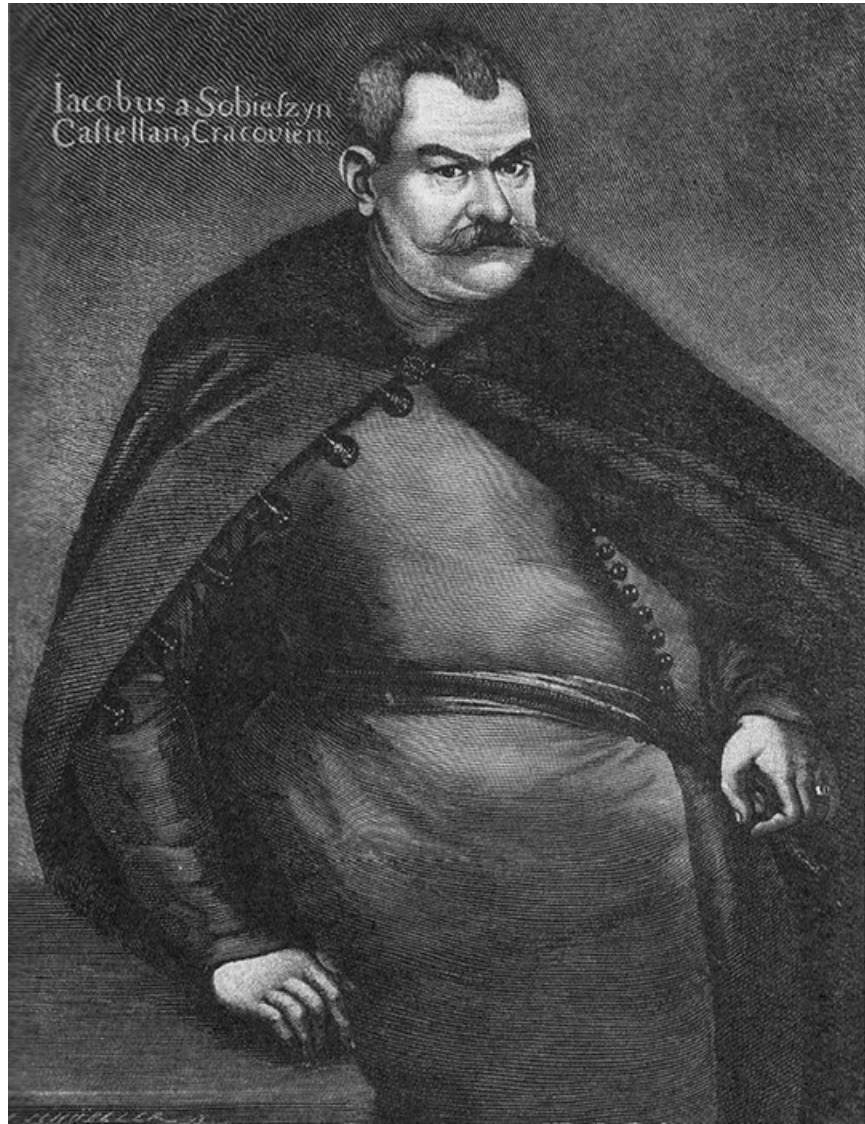
Małżeństwa z miłości na szczytach władzy nie były w historii zjawiskiem powszechnym. Można powiedzieć nawet, że wyjątkowym. A jeżeli nawet się zdarzały, to nader często kończyły się katastrofą, jak chociażby w przypadku króla Henryka VIII Tudora i jego drugiej żony, Anny Boleyn. Władca najpierw w imię miłości dla tej kobiety porzucił swoją pierwszą żonę, zerwał z Kościołem, by ostatecznie wysłać Annę na szafot. Takich tragicznych perypetii miłosnych nie brakowało w dziejach wielkich dynastii.

Chlubnym wyjątkiem jest historia namiętności łączącej jednego z największych królów w dziejach Polski, pogromcy Imperium Osmańskiego pod Wiedniem — Jana III Sobieskiego, i jego uroczej, pochodzącej z Francji małżonki — Marii Kazimierzy d'Arquien. Tadeusz Żeleński-Boy, pisząc swoją książkę o Marysienke, bo pod takim właśnie zdrobnieniem małżonka Lwa Lechistanu funkcjonuje w świadomości większości Polaków, słusznie uznał uczucie łączące ją i hetmana, a później króla, za „jedno z najosobliwszych w świecie zdarzeń miłosnych”, a nawet ucieleśnioną bajkę. Pisarzowi, który w życiu kochał niejedną kobietę, nie mieściło się w głowie, że Sobieski potrafił być wierny Marii Kazimierze, która zdobyła jego serce, gdy miała zaledwie czternaście lat. A co ważniejsze, miłość ta przetrwała do końca życia obojga, aczkolwiek w ich małżeństwie nie brakowało burzliwych dni, a nawet kryzysów.

Swoistym pomnikiem tego niezwykłego uczucia jest nie tylko rezydencja w Wilanowie, ale przede wszystkim listy Sobieskiego do Marysienki, będące istnym arcydziełem staropolskiej prozy epistolarnej. Nie brakuje historyków twierdzących, że gdyby nawet ich autor nie miał na swoim koncie wspaniałych zwycięstw nad armią turecką ani nie zwieńczyłyby swej głowy koroną, to z pewnością, podobnie jak słynny pamiętnikarz Jan Chryzostom Pasek, za sprawą tych listów wszedłby do historii literatury polskiej. Niewiele osób zdaje sobie sprawę, że dziewiętnastowieczny wydawca, Antoni Zygmunt Helcel, przed posłaniem ich do druku drastycznie je ocenzurował, usuwając pewne fragmenty, a w ich miejsce zamieszczając odsyłacz: „Opuszczamy mniej przyzwoity ustęp wynurzeń miłosnych”. A wszystko dlatego, że były dosłownie naszpikowane pikantnymi wyznaniem dotyczącymi współżycia seksualnego tych dwojga! Helcel uznał po prostu, że te wynurzenia psują wizerunek wielkiego wodza i polityka, za jakiego uważał Sobieskiego. Dziś wiemy, że bardzo się mylił.

Z listów wynika, że uczucie łączące tych dwoje było silnie nacechowane erotyzmem i pożądaniem, a kochankowie wymyślili nawet specjalny szyfr, by pisać o intymnych sprawach. Z korespondencji Sobieskiego można wysnuć jednak wniosek, iż niewątpliwie piękna, o czym świadczą relacje znających ją ludzi, Maria Kazimiera nie była dla swego małżonka jedynie obiektem erotycznym czy matką jego dzieci. Wręcz przeciwnie — Sobieski traktował żonę jak równoprawną partnerkę, zwierając się jej ze swoich planów, informując o sytuacji politycznej, a nawet o podejmowanych działaniach militarnych.

Poznajmy więc dzieje tego niezwykłego uczucia i związku dwojga kochających się ludzi, na tle burzliwych czasów końca Rzeczypospolitej szlacheckiej, której łabędzim śpiewem było odniesione przez Jana III Sobieskiego zwycięstwo pod Wiedniem.



Jakub Sobieski, ojciec króla



Teofila Sobieska, matka króla

Rozdział 1
Dorastanie w cieniu wielkich przodków

Teofila Sobieska z Daniłowiczów, żona Jakuba Sobieskiego, pani na Olesku, wykazywała wyjątkową dbałość o dokumentowanie ważnych wydarzeń z życia swojej rodziny, dlatego skrupulatnie zapisywała wszystko, co dotyczyło jej samej, a przede wszystkim — odnotowywała daty i godziny przyjścia na świat jej dzieci. I tak ze sporządzonej przez nią notatki dowiadujemy się, iż jej drugi z kolei syn, Jan, urodził się „roku 1629, dnia 17 sierpnia, między godziną czternastą a piętnastą, w piątek, ostatniego dnia miesiąca [tj. fazy księżyca], nazajutrz nów nastał w Olesku”¹. Narodzinom przyszłego władcy Rzeczypospolitej towarzyszyła szalejąca na zewnątrz burza z piorunami, a zaledwie w trzy tygodnie po jego przyjściu na świat zamek napadli Tatarzy. Na szczęście pokonał ich bitny kozacki wódz Bohdan Chmielnicki, ten sam, który w przyszłości sprawi Rzeczypospolitej niemało kłopotów, stając na czele buntów kozackich, i przyczyni się do śmierci starszego brata Jana Sobieskiego, Marka. Co ciekawe, chociaż niemal we wszystkich oficjalnych biogramach niesławnego hetmana kozackiego jako prawdopodobne miejsce jego urodzenia podaje się Czehryń, nie brakuje historyków uważających, iż przyszły przywódca Kozaków urodził się w Olesku, gdyż jego ojciec, Michał, służył na dworze Jana Daniłowicza, ojca Teofili. Niektórzy badacze twierdzą też, iż w tym samym zamku Gryzelda Wiśniowiecka wydała na świat przyszłego króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego. Wkrótce losy tych trzech mężczyzn — Jana III Sobieskiego, Bohdana Chmielnickiego i syna słynnego Jaremy — splotą się ze sobą w dość dramatycznych okolicznościach.

Sarmaccy heraldycy i historycy zajmujący się genealogią rodów szlacheckich twierdzili, jakoby ród Sobieskich herbu Janina wywodził się od niejakiego Wizimira, który według nich miał być synem piastowskiego księcia Leszka Czarnego. Inne wersje podają, że ród wziął swe początki od księżęcej córki — Wizimiry Teodory, co spokojnie można włożyć między bajki. Wspomniany książę bowiem, nie dość, że zmarł bezpotomnie, to jeszcze miał poważne problemy związane z wypełnianiem swoich małżeńskich obowiązków. Tak przynajmniej twierdziła jego żona, Gryfina, zarzucając mu publicznie impotencję. Sam Jan Sobieski, trzeźwo patrzący na świat, nie wierzył w swoje pochodzenie od piastowskiego władcy i, sporządzając na prośbę nuncjusza papieskiego swój rodowód, nie wymienił Leszka Czarnego wśród swoich antenatów. Był pod tym względem wyjątkiem wśród szlacheckiej braci, która z uporem godnym lepszej sprawy doszukiwała się swoich przodków nawet w starożytności, głównie w legendach heraldycznych, od których roły się herbarze. Wszak historia rodu sięgająca jak najdawniejszych czasów nie tylko potwierdzała jego świetność, ale też wzmacniała aspiracje polityczne danej rodziny i motywowała do sięgania przez jej przedstawicieli po najwyższe urzędy w państwie. Dlatego polska szlachta herbowa szukała swoich korzeni w legendach o Lechu, twierdząc, że członkowie jego drużyny rycerskiej mieli być ich antenatami. Co więcej, utrzymywano, iż za czasów tego legendarnego władcy herby już istniały, ale nie wspomniano, kto miałby je nadawać. Litewska szlachta szła jeszcze dalej, doszukując się swoich przodków aż w starożytności, chociażby w tak zwanym micie palemońskim, zgodnie z którym przed wiekami na ziemi późniejszego Wielkiego Księstwa Litewskiego miał przybyć rzymianin Palemon z pięciuset rzymskimi patrycjuszami. To właśnie na pochodzenie od owych patrycjuszów powoływali się Czartoryscy, Sapiehowie, Lubomirscy, Denhoffowie czy Sanguszkowie.

Na szczęście bohater naszej opowieści nie uległ owej herbowej megalomanii i podszedł do sprawy rzetelnie, dokumentując dzieje swojego rodu, począwszy od swego dziada po mieczu, Marka Sobieskiego, aczkolwiek pierwszym Sobieskim, którego istnienie jest dobrze udokumentowane, był Stanisław Sobieski, żyjący na przełomie XV i XVI stulecia, właściciel

Sobieszyna. Nie dziwny się jednak królowi, że historię rodziny zaczął od swego dziadka, Marka Sobieskiego, ponieważ to właśnie jego można uznać za rzeczywistego twórcę potęgi rodu. Marek był chorążym nadwornym koronnym, kasztelanem, a wreszcie wojewodą lubelskim. Swoją karierę niewątpliwie zawdzięczał Zamoyskim, a zwłaszcza podkanclerzemu koronnemu, Janowi, za sprawą którego w 1576 roku przyjęto go na dwór Stefana Batorego. Sobieski bardzo szybko zdobył zaufanie monarchy, głównie za sprawą swojej lojalności, ale nie tylko. Królewski podziw budziły też bitność i odwaga Marka, dlatego władca przymykał oczy na jego wybuchowy charakter, który sprawiał, że szlachcic stanowczo zbyt często pakował się w burdy i różnego rodzaju awantury. Monarcha nie mógł postąpić inaczej — zawdzięczał Markowi życie. Kiedy pewnego dnia podczas polowania króla zaatakował rozjuszony niedźwiedź, Sobieski bez wahania dobył miecza i rozwalił zwierzęciu łeb. Marek miał okazję dowieść też swojej wartości na polach bitew, walcząc po stronie Batorego na wojnie z Gdańskiem i uczestnicząc we wszystkich wyprawach króla przeciw Moskwie. Odznaczył się zarówno w bitwie pod Pskowem, jak i pod Wielkimi Łukami. Podziw swoich towarzyszy broni i samego władcy wzbudził zwłaszcza w wojnie z Gdańskiem, kiedy walcząc nad Jeziorem Lubieszowskim, ścigał przeciwnika z takim zaciętrzewieniem, że spadł z urwistego brzegu Wisły wprost w nurt płynącej rzeki. Na szczęście, pomimo że był w pełnym rynsztunku i ciężkiej zbroi, wyszedł cało z tej niebezpiecznej przygody. Nic dziwnego, że — jak stwierdzał po latach jego wnuk — Marek Sobieski „taką u króla Stefana miał reputacją, że to nieraz mawiał i wspominał [król], że gdyby mu przyszło stawić całe królestwo polskie o jeden pojedynek, nie wybrałby na to [nikogo innego], tylko jednego Marka Sobieskiego”². Takim samym zaufaniem obdarzał go hetman Zamoyski, a ówczesny nuncjusz papieski, Rangoni, uznał go wręcz za powiernika hetmana. Po śmierci Batorego szlachta ogłosiła królem Jagiellona po kądzieli, Zygmunta Wazę, a opozycja obrała monarchą arcyksięcia Maksymiliana III Habsburga i ten wkroczył zbrojnie na teren Rzeczypospolitej, domagając się korony. W efekcie, po przegranej batalii pod Byczyną, Habsburg dostał się do niewoli hetmańskiej i to właśnie Markowi Sobieskiemu powierzono nadzór nad pojmanym arcyksięciem.

Pewnym zaskoczeniem może być fakt, że dziad przyszłego króla był kalwinem, a na katolicyzm przeszedł dopiero w 1598 roku, kiedy objął urząd wojewody lubelskiego. Jednocześnie stale pomnażał swój stan posiadania: w 1598 roku nabył na Rusi Złoczów wraz z sześćdziesięcioma wsiami, a z czasem także pomniejsze dobra na Podolu oraz kamienicę w Lublinie. Należały do niego również ziemie w Pilaszkowicach, królewszczyzna otrzymana przed rokiem 1526 przez Sebastiana Sobieskiego. Cztery lata później Zygmunt I Stary zamienił zastaw na dożywocie. W 1581 roku Sejm, uznając zasługi Marka Sobieskiego, oddał Pilaszkowice w posiadanie dziedziczne rodu. Wspomniany Sebastian Sobieski, szlachcic żyjący w latach 1489–1557, był dziadkiem Marka po mieczu. Dwaj jego męscy potomkowie, Jan (ojciec Marka, a więc pradziad króla Jana III Sobieskiego po mieczu) oraz Stanisław, uważani są za protoplastów dwóch linii rodu, odpowiednio: królewskiej i szlacheckiej. Pewną ciekawostką jest fakt, że wszyscy Sobiescy tytułowali się „z Sobieszyna”, podczas gdy owa wieś od dawna nie była własnością tej rodziny.

Do wzrostu potęgi rodu z pewnością przyczyniło się drugie małżeństwo Marka, który po śmierci swojej pierwszej żony, Jadwigi Snopkowskiej, w 1590 roku poślubił Katarzynę Tęczyńską, przedstawicielkę jednego z najmożniejszych rodów ówczesnej Rzeczypospolitej. Z pierwszą żoną Sobieski doczekał się syna, Jakuba, oraz pięciu córek, natomiast z drugą tylko jednego syna, Jana. I to właśnie Jakub był ojcem bohatera naszej opowieści, Jana Sobieskiego,

przyszłego króla.

Pomimo zabiegów Marka jego rodzina wciąż zaliczała się do średniozamożnej szlachty, co miało się zmienić dopiero za sprawą jego syna, Jakuba, urodzonego w 1590 roku ze związku z Jadwigą Snopkowską. Jakub zresztą bardzo pozytywnie wyróżniał się na tle ówczesnej szlachty, głównie za sprawą gruntownego wykształcenia, jakie zapewnił mu ojciec, ale także dzięki niebywalej inteligencji i otwartemu umysłowi. Skończywszy studia w Akademii Zamojskiej, a potem uzupełniwszy je nauką w krakowskiej Alma Mater, w 1607 roku wyruszył za granicę. W owych czasach powszechnym zwyczajem było wysyłanie młodzieńców wywodzących się z zamożnych rodów w podróż, nazywaną często kawalerską turą. Jako pierwsi na pomysł wyprawienia swoich synów w świat, by poznali inne kraje, ich kulturę i sztukę, wyrabiając sobie przy tej okazji gust artystyczny i nabierając ogłady oraz światowych manier, wpadli Anglicy, a zwyczaj ten wkrótce upowszechnił się niemal w całej Europie. Podróż taką odbywali nie tylko członkowie rodów magnackich Rzeczypospolitej, ale także synowie bogatych mieszczan i członkowie rodów królewskich. Spośród władców polskich peregrynacje zagraniczne odbyli chociażby królowie: Władysław IV, August II Mocny oraz jego syn, August III Sas. Oczywiście, nie każdy z podróżujących kawalerów korzystał z dobrodziejstw takiego wojażowania, zdarzali się i tacy, których nie interesowały kultura i sztuka odwiedzanych państw, a jedynie obywatelki płci żeńskiej, zaś zamiast teatrów i kościołów z obrazami i rzeźbami słynnych mistrzów odwiedzali miejscowe domy uciech. Ale Jakub Sobieski do nich nie należał. Poza tym typowa kawalerska tura zabierała około roku, natomiast ojciec przyszłego króla przebywał za granicą aż sześć lat, odwiedzając wiele europejskich krajów i dokładnie opisując swoje peregrynacje. Przy tej okazji poznał nie tylko kilka języków obcych, doskonając też wyniesioną ze szkoły znajomość greki i łaciny, ale także miał okazję zobaczyć najwybitniejsze dzieła nauki i sztuki, pobierał lekcje jazdy konnej, fechtunku, muzyki, a nawet tańca. Co więcej, podczas swego pobytu we Francji bywał na dworze króla Henryka IV i zdobył jego sympatię. Monarcha, urzeczony inteligencją, wiedzą i erudycją przybysza z Polski, wyznał nawet, że chętnie widziałby go u swego boku w przygotowywanej właśnie wyprawie wojennej. Niestety młodemu Sobieskiemu nie dane było zrobić kariery we francuskiej armii — przeszkodziło temu pewne brzemiennie w skutki wydarzenie, którego był świadkiem. Co gorsza, w wyniku tego incydentu sam omal nie stracił życia.

Wszystko zdarzyło się 16 maja 1610 roku, kiedy wykładowca Jakuba, słynny prawnik i humanista, profesor Georges Critton, wysłał go, by skopiował, oczywiście w celach poznawczych, inskrypcje spisane po francusku oraz w starożytnej łacinie i grece, które budowniczości umieścili na znajdujących się wówczas w budowie łukach triumfalnych, stawianych z okazji koronacji królowej Marii Medycejskiej. Słyszący z pilności Jakub czym prędzej wyruszył w miasto, by wypełnić polecenie nauczyciela, zabierając ze sobą jedynie jednego sługę. Z kolei przyjaciel i towarzysz Sobieskiego, niejaki Piestrzycki, zignorował zadanie zleczone młodzieńcom przez Crittona i zamiast kopiować wspomniane napisy, udał się na lekcję fechtunku. Jakub, zdążając do celu, spotkał jadącego karetą monarchę i nawet nie przypuszczał, że widzi go ostatni raz w życiu. Kiedy stanął pod bramą św. Marcina i wyjął z zanadru notatnik i przybory do pisania, rozległ się straszliwy krzyk. Młodzieniec uznał, że doszło do jakiegoś wypadku na placu budowy łuków. Przypuszczał, że albo zawaliła się jakaś konstrukcja, albo któryś nieszczęsny budowlaniec spadł z wysokiego rusztowania. Prawda okazała się jednak o wiele bardziej przerażająca: niejaki François Ravailac zasztyletował Henryka IV! Otaczający Sobieskiego tłum na wieść o królobójstwie wpadł w panikę i omal go

nie stratował. Młodzieńca uratował jego sługa, wciągając go w bramę domu, w którym mieszkał znajomy paryżanin. Na szczęście Francuz, chociaż był poruszony do żywego tragicznym incydentem, zgodził się udzielić im schronienia. Obaj mężczyźni zostali u niego aż do wieczora i kiedy wydawało im się, że sytuacja jest w miarę opanowana, udali się w drogę powrotną do swoich mieszkań. Wkrótce w Paryżu gruchnęła wieść, jakoby za morderstwem monarchy stali mieszkający we Francji Polacy. I tak życie Sobieskiego, podobnie zresztą jak przebywających wówczas w Paryżu Krzysztofa i Albrychta Radziwiłłów, po raz drugi znalazło się w poważnym niebezpieczeństwie. Na szczęście i tym razem opatrzność miała go w swojej opiece i szczęśliwie udało mu się dotrzeć do domu. Rozruchy na ulicach trwały do późnych godzin nocnych i dopiero oddziały wojska zdołały je opanować.

Po pogrzebie zamordowanego władcy i koronacji jego następcy, zaledwie dziewięcioletniego Ludwika XIV, osądzono królobójcę, skazując go na śmierć w męczarniach. Egzekucja odbyła się 27 maja w samym centrum Paryża, na ówczesnym placu de Grève, i zgromadziła tłumy ciekawskich, którzy wcześniej wynajęli okna domów okalających plac, a nawet rozsiedli się na dachach. Również Jakub Sobieski z towarzyszącymi mu Radziwiłłami wynajął okno w mieszkaniu jednego z mieszczan, by móc obejrzeć ów osobliwy i niebywale okrutny spektakl. Prawo przewidywało dla królobójców, czyli ludzi ważących się podnosić rękę na pomazańca bożego, śmierć w straszliwych mękach. Sobieski z iście reporterską precyzją opisał kaźń owego nieszczęśnika, odnotowując także, iż kiedy Ravallac w końcu wyzionął ducha, jego ciało zostało dosłownie rozszarpane na strzępy przez świadków egzekucji. Ku swemu niekłamanemu zdziwieniu Jakub i towarzyszący mu Radziwiłłowie spostrzegli, iż wielu paryżan starannie zawijało krwawe ochłapy pozostałe po skazańcu w przygotowane wcześniej chusty i zabrało je ze sobą do domów, nie wiadomo w jakim celu.

Tajemnica wyjaśniła się, kiedy Sobieski odprowadził do mieszkania jednego z uczestników tego strasznego wydarzenia, kasztelanica bieckiego Piotra Branickiego. Okazało się, że gospodarz domu, w którym Branicki wynajmował kwaterę, także był właścicielem części ciała skazańca. I wkrótce wszyscy, na czele z Sobieskim, na własne oczy przekonali się, po co paryżanom potrzebne były krwawe ochłapy po królobójcy. *„Ten gospodarz, na pozór stateczny, z brodą wielką, przyniósł też był kilka sztuczek ciała tego Rawaliaka i z furji wielkiej, z jadu, smażył je w jajecznicy i jadł je, na co oczy moje i oczy JM pana Branickiego patrzyły. [...] Nawet śmiał nas obuduwu prosić na ten swój bankiet, żebyśmy mu go dopomogli jeść, ażeśmy mu w oczy obadwaj plunąwszy, szliśmy od niego”*³ — odnotował Jakub. Pomimo tych okropnych, drastycznych wydarzeń, których był świadkiem, Sobieski nigdy nie stracił sentymentu do Francji i Francuzów ani do tamtejszej kultury i kuchni, którą bardzo sobie cenił, być może dlatego, że nie skorzystał z zaproszenia wspomnianego wyżej gospodarza na osobliwą ucztę. Sentyment do tego kraju odziedziczyli po Jakubie jego dwaj synowie, Marek i Jan.

W 1613 roku Jakub Sobieski wracał do kraju jako człowiek w świecie obyty i gruntownie wykształcony, o szerokich horyzontach politycznych, co niewątpliwie przydało mu się w przyszłej karierze parlamentarnej. Najpierw został dworzaninem królewicza Władysława, szykowanego na następcę tronu po Zygmuncie III Wazie. Wziął udział w jego wyprawie na Moskwę, a nawet odniósł rany podczas szturm na miasto. Uczestniczył również w zwycięskiej wyprawie chocimskiej w 1621 roku, która rozślawiła imię polskiego królewicza na całą Europę. Jakub także chwycił za pióro, ale poświęcone walkom dzieło *Commentariorum Chotinensis belli libri tres (Pamiętnik wojny chocimskiej)* wydano już po jego śmierci w 1646 roku.

Pomimo że Sobieski uczestniczył niemal we wszystkich kampaniach wojennych, jakie za jego

życia prowadziła Rzeczpospolita, wojaczka nie stanowiła jego największej pasji. Ojciec bohatera naszej opowieści zrobił za to wielką karierę parlamentarną, trwającą, bagatela, aż dwadzieścia pięć lat. Jak skrupulatnie obliczono, Sobieski był posłem dwadzieścia razy i czterokrotnie pełnił urząd marszałka izby poselskiej. Od początku zdobył sławę wspaniałego oratora, nazywano go wręcz polskim Demostenesem, powierzając mu nader często wygłaszanie przemów na wszelkiego rodzaju uroczystościach publicznych i prywatnych. To właśnie jemu w 1626 roku zlecono odpowiedzialne i zaszczytne zadanie powitania nowo obranego króla, Zygmunta III Wazy, na Sejmie. W wygłoszonej wówczas oracji mówca gloryfikował wolną elekcję, podkreślając przy tym, iż rządy obranego z woli ludu władcy, w przeciwieństwie do rządów władców dziedzicznych, opierają się głównie na szacunku i zaufaniu poddanych, a nie na strachu przed siłą i despotyzmem.

Z czasem, głównie dzięki osobistym zaletom i sukcesom Jakuba w działalności państwowej, wzrosła też jego wartość na rynku matrymonialnym i Sobieski mógł pokusić się o poślubienie panny z możnego i znacznego rodu. Pierwszą wybranką Jakuba była księżniczka Marianna Wiśniowiecka, którą poślubił w lutym 1620 roku na zamku w Olesku. Po ślubie para zamieszkała w rezydencji Sobieskich w Złoczowie, gdzie przyszły na świat ich dwie córki. Niestety Marianna była wątła i chorowita oraz bardzo źle znosiła ciężę i porody. Starsza córeczka Sobieskich, Teresa, zmarła w niemowlęctwie, natomiast drugi poród okazał się zbyt wielkim wysiłkiem dla osłabionego organizmu Marianny, która oddała życie, wydając kolejną córkę na świat. Dziecko zresztą albo urodziło się martwe, albo zmarło wkrótce po porodzie. 27 marca 1624 roku pani Sobieska spoczęła w zbudowanej przez jej męża kolegiacie w Złoczowie, gdzie pochowano również jej dwie córeczki.

Osamotniony Jakub zaczął się rozglądać za kandydatką na kolejną towarzyszkę życia. Tym razem jego wybór padł na — wywodzącą się z wielce znamienitego rodu — Zofię Teofilę Daniłowiczównę, używającą na co dzień swego drugiego imienia. Poślubił ją cztery lata po śmierci pierwszej żony — 16 maja 1627 roku. Młodzi mieszkali początkowo w Olesku, by ostatecznie osiąść we wniesionej przez Daniłowiczównę w posagu Żółkwi. Panna Teofila bardzo różniła się od Marianny Wiśniowieckiej, nie była bowiem ani delikatna, ani chorowita czy słaba, wręcz przeciwnie — odznaczała się żelaznym zdrowiem, doskonałą kondycją i twardym charakterem. Jej syn, Jan, wspominając matkę, zwykł mawiać, iż „nie białogłowskiego, ale męskiego była serca”, czego dowiodła jako zaledwie szesnastoletnia panienka, przewodząc ze swoją babką Reginą służbie w obronie zamku przed napadem Tatarów. Była też kobietą bardzo przedsiębiorczą, skoro jej małżonek często wyjeżdżał na sejm lub wyprawy wojenne, pozostawiając ją samą na włościach. Radziła sobie doskonale, zarządzając niemałym majątkiem Sobieskich, który zresztą bardzo powiększył się za sprawą wniesionego przez nią posagu. Wychowywała przy tym gromadkę dzieci i, w razie konieczności, organizowała obronę przed Tatarami.

Teofila, jako się rzekło, wywodziła się ze znamienitego i wielce dla Rzeczypospolitej zasłużonego rodu, po kądzieli była bowiem rodzoną wnuczką zdobywcy Moskwy, hetmana Stanisława Żółkiewskiego, który już jako sędziwy starzec zginął śmiercią bohatera podczas odwrotu po przegranej bitwie pod Cecorą w 1620 roku. Trzy lata później zmarł jedyny syn hetmana, starosta hrubieszowski Jan, natomiast jedyna jego córka, Zofia, odziedziczyła olbrzymi majątek rodu Żółkiewskich. Ponieważ od 1605 roku była żoną wojewody ruskiego Jana Daniłowicza, wszystkie odziedziczone przez nią dobra przeszły na własność jego rodziny. Z mężem Zofia doczekała się czwórki dzieci: synów Jana i Stanisława oraz córek Zofii Teofili

i Doroty. Ponieważ Jan zmarł w dzieciństwie, a Stanisław zginął zabity przez Tatarów, którzy ucięli mu głowę, wysyłając ją do rodzinnej Żółkwi, natomiast Dorota wstąpiła do klasztoru, jedyną dziedziczką olbrzymich posiadłości rodowych Żółkiewskich została Teofila. Potem wniosła je w posagu Jakubowi Sobieskiemu, podobnie zresztą jak część dóbr Daniłowiczów, dwa domy w Warszawie oraz rodzinne kosztowności. Zabrała ze sobą także kult swego wielkiego dziadka, od lat pielęgnowany w jej rodzinie.

Za sprawą wdowy po bohaterskim hetmanie, Reginy, komnaty pałacu w Żółkwi, w których mieszkał za życia, zostały zamienione w prawdziwą izbę pamięci po bohaterze. W owej swoistej kapliczce znajdowały się nie tylko jego rzeczy osobiste, zbroja, broń i buława, ale też jego skrwawione szaty. Nad łóżem zmarłego powieszono obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, do której Żółkiewski za życia żywił wielkie nabożeństwo, a tuż przed nim zawieszono lampę, zapaloną przez całą dobę. Tradycję kultu hetmana podtrzymywała jego córka, Zofia, a później jego wnuczka, Teofila, która wychowywała swoich synów w duchu pamięci o wielkim przodku. Jan Sobieski już jako dorosły mężczyzna wspominał, że pierwszymi słowami w języku łacińskim, jakie dane mu było poznać, była sentencja z ody Horacego wyrytej na grobie ich słynnego pradziadka po kądzieli: *Dulce et decorum est pro patria mori*, czyli „Słodko i zaszczytnie jest umrzeć za ojczyznę”. Matka często prowadziła synów na grób Żółkiewskiego, opowiadając chłopcom o jego wielkiej odwadze, starając się jednocześnie zaszcześcić w nich umiłowanie ojczyzny, męstwo i szacunek dla bohaterów narodowych.

Jakub, wybierając kolejną kandydatkę na swoją żonę, kierował się nie tylko jej koneksjami, pochodzeniem czy majątkiem, ale musiał zwrócić uwagę na jej dobre zdrowie i kondycję. Wszak Teofila miała obdarzyć go gromadką potomstwa, najlepiej synów. Z tego zadania pani Sobieska wywiązała się znakomicie, wydając na świat siedmioro dzieci. Niestety wieku dorosłego dożyła tylko czwórka: najstarszy Marek, Jan, Katarzyna oraz Anna Rozalia. Pozostałe dzieci — córeczka Zofia oraz dwóch chłopców o imieniu Jan, urodzonych kolejno w 1638 i 1641 roku — zmarły w dzieciństwie. Jeżeli wierzyć wspomnieniom bohatera naszej opowieści, Teofila, żelazną ręką zarządzająca dobrami swojej rodziny, trzymała dzieci bardzo krótko i praktycznie nie okazywała im czułości. Jedynym, który miał szczęście doświadczyć matczynej miłości, był jej najstarszy syn, Marek, zwany w rodzinie Maresiem, będący prawdziwym oczkiem w głowie pani Sobieskiej. Najwidoczniej pierworodny, urodzony w 1628 roku, Mareś całkowicie zawojował serce Teofili i dla młodszych dzieci zabrakło w nim miejsca. Z niewyjaśnionych przyczyn przez pierwszych pięć lat matka nie zajmowała się Jankiem, pozostawiając go pod opieką babci Zofii w Olesku, a sama wraz z Markiem towarzyszyła swemu mężowi w Żółkwi lub Złoczowie. Być może przyczyną takiego stanu rzeczy było słabe zdrowie najstarszego z synów Sobieskich, który wyjątkowo, w przeciwieństwie do zdrowego jak ryba Jana, często chorował, i to dość poważnie. Pewnego dnia zupełnie niespodziewanie dostał tak wysokiej gorączki, że czuwająca przy jego łóżu matka spodziewała się najgorszego, zwłaszcza kiedy specjalnie sprowadzony do Żółkwi medyk bezradnie rozłożył ręce. Zrozpaczona Teofila, kiedy Mareś praktycznie już tracił oddech, wymknęła się z zamku, wsiadła do karety i kazała woźnicy gnać przed siebie co koń wyskoczy. Nie miała siły, by towarzyszyć synowi w agonii. Kiedy była już daleko od domu, dogonił ją wysłany przez Jakuba posłaniec z radosną wieścią, że Markowi się polepszyło i nie ma już zagrożenia życia. Spłakana Teofila z ulgą wróciła do domu i znów spędzała godziny przy łóżu chorego dziecka, dbając o jego powrót do zdrowia.

Pomimo że młodszy zaledwie o rok Jan był bardzo spragniony matczynego ciepła, nie walczył z bratem o względy pani Sobieskiej, wręcz przeciwnie — z Markiem łączyła go silna więź

i braterskie porozumienie. Starszy z braci Sobieskich w 1639 roku otrzymał tytuł starosty jaworskiego, który scedował na niego ojciec, uzyskawszy wcześniej królewską zgodę.

Jakub Sobieski, sam będąc człowiekiem wykształconym i bywałym w świecie, doskonale zdawał sobie sprawę, że jeżeli jego synowie mają w przyszłości iść w jego ślady i pełnić ważne publiczne funkcje, musi im zapewnić stosowną edukację. Dlatego obaj chłopcy, zwyczajem innych szlacheckich rodów, początkowo pobierali nauki w domu, ale kiedy Marek skończył dwanaście, a jego młodszy brat jedenaście lat, ojciec wysłał ich obu do Krakowa, gdzie mieli wstąpić do Kolegium Nowodworskiego. Była to świecka szkoła, funkcjonująca w podwawelskim grodzie od 1586 roku, kiedy ówczesny Senat Uniwersytetu Jagiellońskiego specjalną uchwałą powołał ją do życia w celu wyrównania poziomu wiedzy przyszłych studentów krakowskiej uczelni. Obaj synowie Jakuba wyjechali do Krakowa w towarzystwie opiekuna, zaufanego sługi ich ojca, Pawła Orchowskiego, któremu Sobieski przekazał własnoręcznie przygotowaną instrukcję dotyczącą edukacji Marka i Jana. Największy nacisk kładł w niej na naukę języków obcych, nakazując chłopcom nie tylko gruntowne studiowanie słownictwa oraz gramatyki, ale przede wszystkim konwersację, gdyż jak słusznie zauważał: „milczeniem żaden się żadnego języka nie nauczył”⁴. Zdaniem Jakuba najważniejszymi językami, jakimi powinni władać jego męscy potomkowie, były łacina i niemiecki, aczkolwiek wskazane było, by chłopcy nauczyli się także francuskiego, włoskiego i tureckiego. Ten ostatni, jak argumentował, był im potrzebny jako ludziom mieszkającym „na Rusi w tym od nich [tj. Turków] sąsiedztwie i w tych ustawicznych poselstwach, wojnach i kłótniach, które się z nimi mają”⁵. Zalecał też dbałość o język ojczysty, zwłaszcza o poprawną wymowę, mówiąc, że to wstyd, gdy kto „po łacinie mądry, a po polsku błazen”⁶.

Pozostałe punkty instrukcji dotyczyły innych dziedzin wiedzy, które synowie Sobieskiego powinni dogłębnie opanować. Ojciec zalecał im także ćwiczenie pobożności, jak również obowiązkowy relaks w chwilach wolnych oraz utrzymywanie higieny osobistej. Jakub napominał Orchowskiego, by ten dopilnował, aby znajdujący się pod jego baczeniem młodzieńcy zażywali przynajmniej dwa razy w miesiącu kąpieli w wannie, a raz na dwa miesiące chadzali do miejscowej łaźni. Jak widać, pojęcie higieny w owych czasach dość drastycznie różniło się od tego, co rozumiemy pod nim obecnie. Sobieski nakazywał swoim synom także ćwiczenia fizyczne, w tym grę w piłkę, oraz cotygodniowe wycieczki za miasto, odbywane w celach rekreacyjnych. Zimą, kiedy aura wykluczała takie eskapady, chłopcy mieli chadzać na nabożeństwa do kościołów położonych jak najdalej od ich miejsca zamieszkania. Poza tym, zgodnie z zaleceniami ojca, nie wolno było się im objadać ani zbyt często spożywać owoców, które uznawano w owych czasach za główną przyczynę, często śmiertelnych, biegunek. Każdego piątku i w wigilie świąt kościelnych młodzieńców obowiązywał ścisły post, natomiast w sobotę, zgodnie z rodzinną tradycją, nie wolno im było spożywać niczego gotowanego.

Marek i Jan nie od razu po przyjeździe wstąpili do Kolegium i przez kilka pierwszych miesięcy pobytu w Krakowie zgłębiali znajomość łaciny. Okazało się, że ich domowa edukacja w tym zakresie była, delikatnie mówiąc, niezadowolająca. Jeśliby użyć dzisiejszego języka, trzeba by przyznać, że obaj chodzili na korepetycje. Owe prywatne lekcje musiały być wyjątkowo intensywne, skoro zaledwie po kilku miesiącach stan wiedzy obu braci władze Kolegium oceniły na tyle wysoko, że zdecydowano o ich przyjęciu od razu na drugi rok nauki. Po zakończeniu edukacji w tej szacownej placówce obaj zdecydowali się kontynuować studia na krakowskiej uczelni.

Przyszły monarcha studiował w latach 1643–1646 na Wydziale Filozoficznym Akademii

Krakowskiej, stając się w ten sposób jedynym polskim królem z uniwersyteckim wykształceniem, o czym nie zapominają wspomnieć przewodnicy oprowadzający turystów po wnętrzach szacownej Alma Mater. W tym okresie młody Sobieski zaprzyjaźnił się też z wybitną osobowością, jaką był dziekan Wojciech Dąbrowski, który przepowiedział pilnemu żakowi koronę królewską. Tak przynajmniej twierdził jeden z dworzan króla, Jakub Kazimierz Rubinkowski, który poświęcił postaci Jana III Sobieskiego swoje dzieło pt. *Janina zwycięskich tryumfów dziełami i heroicznym męstwem Jana III króla polskiego na Marsowym polu najjaśniejszy, po przełamanej otomańskiej i tatarskiej potencji nieśmiertelnym wiekom do druku podany* i właśnie tam umieścił wzmiankę o wspomnianej przepowiedni.

Okres spędzony w Kolegium Nowodworskim i Akademii Krakowskiej był bardzo płodny w życiu obu Sobieskich. Jan nauczył się biegle władać łaciną i językiem niemieckim, ale także zdobył podstawy tureckiego i greki. Obie szkoły podniosły jego umiejętności w pisarstwie i wymowie oraz dały mu rozległą wiedzę historyczną, przede wszystkim jednak doszedł dzięki nim do perfekcji w stojącej na wysokim poziomie w Krakowie retoryce, dzięki czemu był świetnie przygotowany do pełnienia funkcji publicznych. Nauka na uniwersytecie rozbudziła w Sobieskim rozległe zainteresowania, którym był wierny do końca życia — interesował się nie tylko matematyką, astronomią, architekturą oraz inżynierią, ale także literaturą klasyczną, przy czym nie unikał też lektury dzieł nowożytnych wolnomyślicieli. Z kolei Marek wkrótce dał się poznać jako wyśmienity mówca, kiedy w kwietniu 1642 roku, czyli jeszcze w trakcie trwania nauki w Kolegium, przemawiał w imieniu swego ojca na pogrzebie arcybiskupa krakowskiego Jakuba Zadzika. Rok później, gdy, już jako student, brał udział w przeprowadzce Kolegium do nowej siedziby, wygłosił mowę ku czci obecnego na tej uroczystości króla Władysława IV.

Ponieważ starszy z braci Sobieskich z cesji ojca został w 1644 roku starostą krasnostawskim, starostowo jaworskie scedował na Jana.

Ukończenie studiów nie oznaczało bynajmniej końca edukacji obu Sobieskich, wręcz przeciwnie — w lutym 1646 roku, zgodnie z wolą ojca, wyjechali za granicę, w swoją podróż kawalerską, by kontynuować naukę, ale też poznawać kulturę, sztukę i wojskowość innych państw.



Żółkiew, wjazd do miasta

Rozdział 2

Grand tour braci Sobieskich i tajemnica monsieur Brizardiera

Zanim Jakub Sobieski wysłał synów w zagraniczną podróż, swoim zwyczajem przygotował dla nich odpowiednią instrukcję i wręczył im dwa zeszyty z poleceniem, by notowali skrupulatnie wszystko, co zobaczą. Ojciec nakazał Markowi i Janowi, by systematycznie wysyłali korespondencję do domu, przy czym listy do matki mieli pisać po polsku, natomiast do ojca — po łacinie. Po przejechaniu przez Niemcy mieli na dłużej zatrzymać się w stolicy Francji, w Dzielnicy Łacińskiej — zdaniem Jakuba, który przed laty dość dobrze poznał Paryż — najspokojniejszej części miasta. Młodzieńcy otrzymali też przykazanie, by jak najrzadziej kontaktowali się z arystokracją francuską, ale też unikali mieszkających we Francji Polaków, których, według Sobieskiego, nie zajmowało nic prócz plotek, intryg i swarów. Ojciec przewidywał wizytę na francuskim dworze, ale dojść do niej miało dopiero, gdy Jan i Marek dobrze opanują język francuski, na naukę którego młodzieńcy mieli poświęcać codziennie godzinę po obiedzie. Poza tym mieli wprawiać się w konwersacji w tym języku, czyli rozmawiać z paryżanami, w tym oczywiście z gospodarzami wynajętego przez nich domu.

Codziennie rano, zgodnie z zaleceniami Jakuba, powinni pisać wypracowania po łacinie, natomiast wieczory poświęcać na lekturę Tacyta, Liwiusza i Swetoniusza. Ojciec zadbał też o kondycję fizyczną swoich synów, polecając, by jak najczęściej grali w piłkę, a po przyjeździe do Włoch zapisali się na lekcje fechtunku. Jakub napominał ich, by nie wydawali zbyt wiele pieniędzy, wszak mają jeszcze młodszą siostrę, Katarzynę, której należy się posag. Sobieski zadbał też o dusze młodzieńców, nakazując im codziennie uczestniczyć we mszy świętej i udzielać jałmużny siedzącym wokół świątyni żebrakom.

Zaopatrzeni w ojcowskie rady i przykazania, młodzi Sobiescy wyruszyli w drogę krótko przed Wielkanocą 1646 roku. Trasa ich podróży wiodła przez Lublin, Kazimierz, Radom i Poznań do Frankfurtu nad Odrą, a 1 kwietnia dotarli do Berlina, gdzie spędzili Wielkanoc. Po dotarciu do Wittenbergi zwiedzali izbę, w której niegdyś mieszkał Wielki Reformator Marcin Luter, oraz miejscową Akademię. Potem wyruszyli do Lipska, gdzie ich podziw wzbudziły potężne fortyfikacje zbudowane przez Szwedów po zdobyciu przez nich miasta w czasie, wciąż wówczas jeszcze trwającej, wojny trzydziestoletniej. Tam też podjął ich obiadem generał Torstensson, jeden z najwybitniejszych dowódców szwedzkich. Młodzi Sobiescy obejrzeni pole bitwy pod Lützen, pokazano im także miejsce, w którym 16 listopada 1632 roku zginął szwedzki król Gustaw II Adolf. Być może gdy je oglądali, ciarki chodziły im po plecach, ponieważ miejscowi twierdzili, iż w tym miejscu, niezależnie od pory dnia i nocy, można spotkać rozmaite duchy i demony, skrywające się pod różnymi, często z pozoru zwykłymi postaciami.

Dnia 6 czerwca przekroczyli granicę francuską, by zgodnie z planem osiąść w Paryżu, gdzie mieszkali przez niecały rok. Potem, tak jak zalecały wcześniejsze ustalenia, odwiedzili także Anglię, która znajdowała się wówczas w epicentrum wojny domowej, a zdradzony przez Szkotów król Karol I Stuart właśnie dostał się do niewoli, by ostatecznie trafić na szafot. Nie wiemy, jak bracia zapatrywali się na tę sytuację, gdyż wszystko wskazuje na to, iż tym razem nie posłuchali swego ojca i nie prowadzili zapisków z podróży. Choć niewykluczone, że takowe istniały, ale nie przetrwały do naszych czasów. Przebieg peregrynacji braci znamy dzięki diariuszowi prowadzonemu przez ich towarzysza, Sebastiana Gawareckiego. Zresztą kiedy bracia zawitali do Albionu, Jakub Sobieski, tuż przed śmiercią podniesiony do godności kasztelana krakowskiego, najwyższego świeckiego senatora, już nie żył. Zmarł na atak serca 13 czerwca 1646 roku w Żółkwi, pokłóciwszy się wcześniej z królem Władysławem IV — Sobieski zarzucił monarsze podjęcie przygotowań do wojny z Turcją bez wcześniejszego uzyskania zgody Senatu. Teofila czym prędzej zawiadomiła o wszystkim synów. Wieść

o śmierci ojca zastała braci w Paryżu 1 sierpnia. Pani Sobieska nie nakazała jednak synom powrotu do domu, wręcz przeciwnie — zaleciła kontynuowanie podróży. Uznała najwidoczniej, że wyprawa do kraju i późniejszy powrót do Francji będą zbyt drogo kosztować. Zresztą synowie nie byli jej do niczego potrzebni, już wcześniej mąż zostawiał ją samą na włościach i doskonale sobie radziła. Miała prawo sądzić, że i po jego odejściu podoła obowiązkom związanym z administrowaniem majątkiem. I rzeczywiście, miastem i podległymi jej dobrami rządziła żelazną ręką, dbając o finanse rodziny. Marek i Jan zostali więc w Paryżu i w jednym z miejscowych kościołów zamówili mszę za duszę ojca. Niedługo potem wyruszyli w podróż po Francji, w trakcie której odwiedzili największe miasta, z Tuluzą, Orleanem i Chartres na czele. W Lyonie zatrzymali się nawet w tej samej gospodzie, w której niegdyś mieszkał ich ojciec. Mało tego, w księdze gości znaleźli własnoręczny wpis Jakuba z datą 13 sierpnia 1611 roku. 12 października w Calais wsiedli na statek, który zawiózł ich, jak wcześniej wspomniano, do ogarniętej wojną domową Anglii. Tam, odziani na modłę francuską i posługujący się biegle francuszczyzną, bracia byli z reguły brani za Francuzów, a gubernator Dover, sądząc, iż ma do czynienia właśnie z przedstawicielami tej nacji, nie chciał ich wpuścić do warowni.

Po powrocie na kontynent bracia zatrzymali się na dłuższy okres w Niderlandach, gdzie nie tylko spotykali się z wybitnymi ludźmi z epoki, jak chociażby z Wilhelmem Orańskim czy admirałem Van Trompem, ale przede wszystkim uczestniczyli w wykładach z zakresu budowania fortyfikacji. A było czego i od kogo się uczyć, wszak to właśnie dzięki swoim twierdzom mała Holandia mogła opierać się wojskom hiszpańskich Habsburgów. Kiedy młodzi Sobiescy przyjechali do Brukseli, od przebywającego tam księcia Bogusława Radziwiłła dowiedzieli się o śmierci króla Władysława IV, który opuścił świat doczesny 20 maja 1648 roku w Mereczu. W kraju zapanowało bezkrólewie, ale najpoważniejszymi kandydatami do korony i schedy po zmarłym monarsze byli jego dwaj młodszy przyrodni bracia, Jan Kazimierz i Karol Ferdynand Waza. Wkrótce do przebywających w Niderlandach braci Sobieskich dotarła jeszcze smutniejsza wiadomość — o klęsce wojsk koronnych w bitwie z kozackimi powstańcami dowodzonymi przez Chmielnickiego pod Korsuniem 26 maja 1648 roku.

Dnia 16 lipca Marek i Jan otrzymali pismo od matki, w którym Teofila wzywała ich do natychmiastowego powrotu do domu. 24 lipca 1648 roku Sobiescy wyjechali z Brukseli, by we wrześniu tego samego roku zawitać do swojej ojczyzny. Czas był ku temu najwyższy — bezkrólewie i kozackie bunty wymagały obecności dziedziców jednego z największych latyfundiów na wschodzie Rzeczypospolitej, a zwłaszcza Marka, który po śmierci Jakuba stał się głową rodziny.

Jak już wcześniej wspomniano, najdłużej, bo niemal przez rok, panowie Sobiescy bawili w Paryżu. Niektórzy historycy twierdzą nawet, że w trakcie pobytu w stolicy Francji Jan wstąpił na pewien czas do gwardii królewskiej, ale nie ma wiarygodnych dowodów na potwierdzenie tej tezy. Podobnie ma się sprawa z jego domniemanym uczestnictwem w polowaniu królewskim w Saint-Germain-en-Laye, podczas którego przysły monarcha rzekomo miał okazję osobiście poznać księcia Walii, Karola Stuarta, syna wspomnianego wcześniej nieszczęsnego Karola I Stuarta. Polscy historycy kładą też między bajki rewelacje ich dziewiętnastowiecznego kolegi po fachu Salvandy'ego, który twierdził, iż obaj Sobiescy bywali w salonie księżnej de Longueville, gdzie mieli poznać księcia Kondeusza, czyli Ludwika Burbona. Rzekomo dlatego po latach Jan poparł kandydaturę jego syna do korony polskiej.

Echa pobytu w Paryżu prześladowały bohatera naszej opowieści jeszcze długo później, wywołując niemal międzynarodowy skandal. Otóż kiedy Jan Sobieski był od dawna

szczęśliwym mężem Marii Kazimierzy d'Arquien i z woli braci szlacheckiej panował w Rzeczypospolitej, objawił się jego nieślubny syn, niejaki Brizardier (według niektórych źródeł Briscadier lub Brisacier), owoc jego romansu z nieznaną bliżej Francuzką, jaki nawiązał podczas swego pobytu w tym mieście w trakcie odbywanej z bratem tury kawalerskiej. Tożsamości matki domniemanego bastarda Sobieskiego nigdy nie dało się ustalić, ale z pewnością nie była to markiza de Sévigné, jak głosiła plotka. Po pierwsze: owa dama swój słynny salon założyła dopiero w latach pięćdziesiątych XVII stulecia, kiedy Sobieskiego w Paryżu już nie było, a po drugie: dla młodego polskiego kasztelanica drzwi salonów prowadzonych przez Francuzki wywodzące się z tak znamienitych rodzin były zamknięte. Jan Sobieski zapewne zażywał rozkoszy z jakąś uroczą aktoreczką, śpiewaczką czy guwernantką i być może zupełnie nie zdawał sobie sprawy, że pozostawił jej „pamiętkę” w postaci nieślubnego syna. Najprawdopodobniej kochankowie uwili sobie miłosne gniazdko w paryskim hotelu de Brisach, stąd dziwnie brzmiące nazwisko rzekomego potomka króla, którego używał, gdy dorósł. Ponieważ, jak wiadomo, przyszyły zwycięzca batalii wiedeńskiej przebywał w Paryżu od czerwca 1646 roku do kwietnia 1647 roku, a nie wiedział o narodzinach Brizardiera, jego domniemany potomek musiał przyjść na świat w 1647 roku, kiedy Sobieskich już dawno w stolicy Francji nie było. Kiedy chłopiec dorastał, jego matka zapewne opowiedziała mu o swoim romansie z przybyszem z odległej Polski, a po latach młodzienciek postanowił poinformować domniemanego biologicznego ojca o swoim istnieniu.

Sam Sobieski, o Marysieńce nie wspominając, musiał czerwienić się ze wstydu na wieść o wyczynach swego domniemanego potomka, ponieważ o Brizardierze swego czasu było głośno w całej Francji. Młodzienciek, zostawszy w wieku dwudziestu jeden lat sierżantem armii francuskiej w Nantes, odkrył u siebie zupełnie nadzwyczajne zdolności, o których bezzwłocznie poinformował świat, a konkretnie miejscowe damy. Ogłosił mianowicie, że odkrył niezawodny sposób na spełnienie marzeń każdej kobiety. Sposób, dodajmy, dość osobliwy, gdyż polegał on na... wychłostaniu pani, która wcześniej zwierzała mu się ze swoich najskrytszych pragnień. Mężczyzna, wysłuchawszy delikwentki, kazał się jej rozbierać do naga, a następnie smagał ją aż do krwi różgą, co miało być pokutą za popełnione przez nią grzechy. Po jej odbyciu droga do spełnienia marzenia stała otworem. Pomimo że dla poddanej chłości kobiety był to nader bolesny sposób realizacji pragnień, dotyczących chociażby korzystnego zamążpójścia czy zdobycia serca ukochanego mężczyzny, chętne do odprawienia pokuty ustawiały się do, zapewne przystojnego, sierżanta w kolejce. A Brizardier bezkarnie realizował swoje seksualne pragnienia, dorabiając przy okazji do skromnego żołdu. Wśród „pokutnic” znalazły się głównie panie z kręgów arystokracji, w tym: prezydentowa de Magnan, hrabina de Kerollin, panna de Talet, a także żony miejscowych notabli. Znamy również pragnienia owych kobiet: prezydentowa prosiła Brizardiera o otrzymanie sukcesji, co wiązało się ze śmiercią trzech osób, hrabina Kerollin — o poznanie sposobu na produkcję złota, natomiast panna Talet — o bogatego męża. Ta ostatnia, porządnie smagana przez Brizardiera różgą, błagała go, by nie bił jej zbyt mocno, przekonując, że ewentualny małżonek nie musi być aż tak bogaty...

Syn Sobieskiego prowadził swoje oryginalne praktyki bez przeszkód, bynajmniej nie narzekając na brak klientek, do czasu, aż pewnego pięknego dnia zdemaskował go woźny miejscowego parlamentu, niejaki Bohamont. Mężczyzna zauważył z niekłamanym zdumieniem, że jego córki systematycznie odwiedzają pobliskie koszary, a po owych wizytach wracają do domu w dość kiepskiej formie. Przeprowadziwszy prywatne dochodzenie, Bohamont szybko zorientował się, jaki proceder uprawia sierżant, i poinformował o tym stosowne władze.

W efekcie Brizardier trafił do aresztu i wkrótce stanął przed sądem, oskarżony o libertynizm. Było to bardzo poważne oskarżenie. Libertynom, czyli ludziom, którzy, zdaniem konserwatystów, za nic mieli wszelkie normy moralne ustanowione przez Boga, groził nawet stryzyk. Na szczęście dla Brizardiera wstawiły się za nim niemal wszystkie jego najbogatsze klientki, dlatego skazano go jedynie na galery. Nie ucierpiał jednak za bardzo, ponieważ po krótkim okresie odbywania kary, znów dzięki wstawiennictwu tych samych kobiet, odzyskał wolność. Mało tego, zadowolone panie załatwiły mu nawet posadę w kancelarii samej królowej! Pytanie tylko, czy wstawiły się za nim, gdyż udało im się spełnić marzenia, tak jak obiecywał, czy też znajdowały w zafundowanej im przez Brizardiera chłóście jakąś perwersyjną przyjemność. Wszak już wiek później we Francji flagelacja stanie się popularnym afrodyzjakiem. Odkryto bowiem, że przez zwiększenie ukrwienia na skutek chłosty wzmacniają się doznania seksualne.

Królewski tatuś Brizardiera postanowił w końcu zadbać o los swego nigdy niewidzianego syna, ale niestety zabrał się do tego ze zręcznością godną słonia w składzie porcelany, omal nie wywołując skandalu o wymiarze międzynarodowym. Niedługo po wstąpieniu na tron Sobieski wysłał do Francji zaufanego posła, który miał przedłożyć królowi Ludwikowi XIV prośbę polskiego władcy o wydanie zezwolenia na zakup dóbr ziemskich, z nabyciem których wiązałoby się nadanie tytułu książęcego ich posiadaczowi. Jak się łatwo domyślić, w zamyśle Sobieskiego ów zakup miał być prezentem dla jego bastarda. Ponieważ polski król nie chciał się przyznać przed francuskim kolegą po fachu do posiadania nieślubnego syna, Ludwik XIV uznał, że chodzi o królewskiego teścia, pana d'Arquien. Miał przesłanki, by tak sądzić, ponieważ o awanse dla niego od dawna bezskutecznie zabiegała na francuskim dworze Maria Kazimiera. Nawiasem mówiąc, Sobieski miał zupełnie irracjonalne skrupuły — wszak francuski monarcha, jako ojciec sporej gromadki nieślubnych dzieci, z pewnością by go nie potępił, a wręcz przeciwnie — prawdopodobnie odniósłby się do jego prośby ze zrozumieniem. Tymczasem Ludwik zdumiał się niepomniernie, kiedy zorientował się, że polski król ma na myśli nie swojego teścia, tylko jakiegoś podrzędnego urzędnika z kancelarii królowej. Sprawa wydała się mocno podejrzana, dlatego władca Francji czym prędzej wystosował do Sobieskiego pismo z prośbą o wyjaśnienie, dlaczego polski monarcha stał się nagle protektorem jakiegoś Brizardiera. Gdyby tym razem bohater naszej opowieści wyjawiał Ludwikowi prawdę, sprawa zapewne dobrnęłaby do pożądanego przez Sobieskiego finału, ale nasz król dalej brnął w kłamstwo. Odpisał, tłumacząc, iż Brizardier jest potomkiem starożytnego rodu polskiego, spokrewnionego z królem, a on, Sobieski, nadaje jego matce tytuł „pierwszej damy polskiej ze złotym kluczem”.

Francuski monarcha był nie w ciemną bity, dlatego nie uwierzył w te pokrętne wyjaśnienia i kiedy po przeprowadzonym na jego polecenie śledztwie okazało się, że wspomniana przez polskiego króla tajemnicza „pierwsza dama polska” w ogóle nie istnieje, zirytował się na dobre. Czym prędzej chwycił za pióro, by wystosować do władcy Rzeczypospolitej pismo z żądaniem natychmiastowego wyjaśnienia sprawy i zarzutem kłamstwa. Sobieski i tym razem, zamiast przyznać się do grzechów młodości, po raz kolejny postąpił mało dyplomatycznie, pisząc, iż występuje o ziemskie nadania dla Brizardiera w imieniu... samej królowej Francji, która wcześniej poprosiła go o to w specjalnym liście, do którego, tytułem zachęty, dołączyła nawet swój portret w ramie z diamentami.

Otrzymawszy takie wyjaśnienie, nieszczęsny Ludwik powziął podejrzenie, że ów Brizardier musi być nieślubnym dzieckiem jego własnej żony, Marii Teresy. Było to dość absurdalne założenie, zważywszy na fakt, że królowa była starsza o Brizardiera zaledwie o dziewięć lat, ale

monarcha polecił wdrożyć śledztwo w tej sprawie. Dochodzenie co prawda uspokoiło króla, dowodząc, iż mężczyzna nie może być dzieckiem jego małżonki, ale przy okazji ujawniło fakty z przeszłości Brizardiera dyskredytujące go w królewskich oczach. Wyszło bowiem na jaw, że kancelista królowej nie dość, że jest libertynem, co niespecjalnie zmartwiło Ludwika, to jeszcze ma za sobą pobyt w więzieniu i nie do końca odbyty wyrok galernika, a tego już monarcha strawić nie mógł. Dla byłego więźnia o dwuznacznej reputacji, w dodatku galernika, nie było miejsca w kancelarii królewskiej małżonki, więc Brizardier stracił swoją intratną posadkę i trafił prosto do Bastylii. Na jego szczęście i wówczas nie zawiodły go jego możne protektorki, które w przeszłości tak ochoczo smagał różgami. Zaledwie po kilku miesiącach odsiadki odzyskał wolność. Co prawda nie wrócił już na swoje stanowisko w kancelarii, ale bynajmniej nie żył w nędzy, obracał bowiem całkiem sporym kapitałem. Prawdopodobnie jego królewski tatuś zadbał w końcu o przyszłość swego synalka. Niewykluczone jednak, że Brizardier poradziłby sobie i bez pomocy Sobieskiego, wracając do swoich poprzednich praktyk i „spełniając” marzenia kolejnych bogatych i ustosunkowanych dam.

Jak widać, opisany incydent nie zaszkodził zbytnio domniemanemu synowi polskiego króla, położył się za to cieniem na stosunkach polsko-francuskich, a wszystko przez dobre chęci Sobieskiego i jego krętactwa. Urażony do żywego Ludwik XIV zaprzestał używania w stosunku do polskiego króla tytułu „majesté”, należnego monarchom. Jednak największą ofiarą owego incydentu był niewątpliwie ojciec królowej Marysieńki, markiz d’Arquien, nawiasem mówiąc, także niecieszący się zbyt dobrą reputacją. Król Francji, nie chcąc już mieć nic do czynienia z rodziną Sobieskich, konsekwentnie odmawiał mu przyznania książęcego tytułu, o który starała się Marysieńka.

Nie wiadomo, jak dalej potoczyły się losy królewskiego bastarda, zresztą po dziś dzień nie ma pewności, czy libertyński Francuz był rzeczywiście synem Sobieskiego, aczkolwiek tego nie da się do końca wykluczyć. Być może monsieur Brizard był zwykłym oszustem, który usłyszawszy od swojej matki lub jakiejś innej kobiety historię o pobycie polskiego króla w Paryżu, a pewnie także o jego miłostkach — wszak młody Jan nie wiódł tam życia mnicha — postanowił podać się za jego bastarda. Niewykluczone też, że sam szczerze wierzył w swoje królewskie pochodzenie. Prawdy zapewne już nigdy nie poznamy.



Hetman kozacki Bohdan Zenobi Chmielnicki, przywódca kozackiego powstania przeciwko Rzeczypospolitej w latach 1648–1654

Rozdział 3
Wojna i polityka

Kiedy Marek i Jan Sobiescy wrócili do kraju po dwuletniej nieobecności, sytuacja w Rzeczypospolitej nie napawała nadmiernym optymizmem. Poprzedni król, umierając w Mereczu, nie wiedział, że właśnie wybuchło powstanie kozackie pod wodzą Bohdana Chmielnickiego. Nie był to ani pierwszy, ani ostatni bunt na Ukrainie, ale tym razem kozacka rebelia miała okazać się początkiem końca Rzeczypospolitej szlacheckiej. Wkrótce przekonano się, że powstanie Chmielnickiego w niczym nie przypomina żadnego z poprzednich, które udawało się ugasić z reguły bez poważniejszych problemów. Tym razem miało być inaczej.

Istnieje moim zdaniem ciekawa, a zarazem intrygująca teoria, zgodnie z którą bezpośrednią przyczyną brzemiennego w skutki buntu Chmielnickiego były... miłość, zazdrość i rywalizacja o piękną kobietę. Według jej zwolenników owdowiały pułkownik Chmielnicki starł się o względy pewnej nad wyraz urodziwej panny z podstarościem czehryńskim Danielem Czaplińskim. Ku niekłamanemu zdumieniu i oburzeniu pana starosty dziewczyna wybrała Kozaka, który zabrał ją do swego chutoru, Subotowa, gdzie żył z nią bez ślubu (według niektórych biografów Chmielnickiego para po kilku latach konkubinatu jednak się pobrała). Dla Czaplińskiego był to policzek wymierzony mu przez, jego zdaniem, ustępującego mu pod każdym względem rywala, dlatego zebrał bandę rzezimieszków, zlecając im napad na chutor Chmielnickiego. Bandyści wywiązali się nader sumiennie z powierzonego im zadania, uprowadzili dziewczynę, a przy okazji pobili do nieprzytomności najstarszego syna Chmielnickiego. Uszczęśliwiony Czapliński z miejsca pojął porwaną kobietę za żonę. Dumny Kozak, nie mogąc znaleźć sprawiedliwości w sądzie, zwrócił się o pomoc do króla Władysława IV, z którym był w bardzo dobrych stosunkach. Nawiasem mówiąc, monarcha miał poważne plany wobec Kozaków zaporoskich, ale w ich realizacji przeszkodził mu przedwczesny zgon. Planował mianowicie oswobodzenie Bałkanów spod tureckiego jarzma, w czym zasadniczą rolę mieli odegrać właśnie Zaporozcy. Niestety władca, nader swobodnie traktujący sprawy damsko-męskie, niezbyt przejął się problemem Chmielnickiego, ale nieopatrznie poradził mu, by ten poszukał sprawiedliwości na własną rękę.

Rozczarowany i rozsierdzony do białości Kozak poprzysiągł zemstę całej polskiej szlachcie. A tak się nieszczęśliwie złożyło, że jego uczucia podzielała większość kozackiej braci. Winę za to ponosiła polityka naszego państwa prowadzona przez lata względem Ukrainy. Jak pisze wybitny znawca tematu, Władysław Serczyk: „Większość [Kozaków] uważała politykę Rzeczypospolitej za wrogą i godzącą w najżywotniejsze interesy Kozaczyzny. Stosunek władz polskich do prawosławia, stałe ograniczenie rejestru, niczym nie hamowane represje wobec uczestników poprzednich powstań, mimo obietnic amnestii, a wreszcie udokumentowana czynami chęć schłopienia wojska zaporoskiego splotły się i przerodziły w falę powszechnej nienawiści”⁷. Te nastroje umiejętnie wykorzystał Chmielnicki i postanowił zmobilizować swych współbraci do powstania przeciwko ich ciemnocyfeliom. Jeżdżąc od wsi do wsi, od miasteczka do miasteczka, mówił nie tylko o własnych kłopotach, ale także o doznanych od Rzeczypospolitej krzywdach wszystkich Kozaków i namawiał współbraci do zbrojnego zrywu, oczywiście pod swoim przywództwem. Co prawda trafił za to do więzienia, ale szybko odzyskał wolność za poręczeniem. Nie czekając na dalszy rozwój wypadków, Chmielnicki zbiegł na Sicz, gdzie został ogłoszony hetmanem, a następnie zawarł sojusz z Tatarami i wyruszył na północ.

Kozacki hetman, który już wcześniej, walcząc dla Rzeczypospolitej, miał okazję udowodnić swoje męstwo i zdolności, okazał się geniuszem wojskowym i to obdarzonym niezwykle charyzmą. Kiedy wkroczył na gęsto zaludnione obszary Ukrainy, bez najmniejszego problemu nakłonił miejscową ludność, aby ta przyłączyła się do jego oddziałów, w których odtąd, obok

Zaporozców, służyli także ukraińscy chłopcy oraz mieszczenie, drobna szlachta ruska i prawosławni popi. Chmielnicki potrafił bez najmniejszego trudu utrzymać w jedności i karność Kozaków, co wbrew pozorom nie było sprawą łatwą. Dowodzone przez niego wojska wkrótce zaczęły odnosić znaczne sukcesy, a armia koronna okazała się praktycznie bezradna wobec połączonych sił kozacko-tatarskich. Wkrótce powstanie Chmielnickiego przeobraziło się w bezprecedensowy konflikt, niespotykany w dotychczasowych dziejach Rzeczypospolitej — w wojnę, którą dziś określono by mianem totalnej. Wcześniej nigdy nie dopuszczano się mordów na danej narodowości na tak wielkich obszarach, nie szczędząc nawet bezbronnych kobiet i dzieci. Ponieważ Chmielnicki wydał swoim podkomendnym rozkaz, by jeńców brać dopiero nad Wisłą, szlachtę polską i litewską zabijano na skalę masową, i to bezlitośnie. Mężczyzn pozbawiano życia w okrutny i wyszukany sposób, natomiast kobiety gwałcono, a potem także mordowano. Obiektem kozackiej nienawiści stali się również Żydzi. Historycy szacują, że ofiarą kozackich buntów mogło paść od 100 do 150 tysięcy osób tej narodowości. Żydowski kronikarz Natan Hannover pisał, że „kobietom ciężarnym rozpruwano brzuchy i wsadzano żywego kota do wnętrza i tak zostawiano przy życiu, zaszywając brzuchy. Następnie obcinano im ręce, żeby nie mogły wyjąć tego kota”⁸. Wieści o okrucieństwach zbuntowanych Kozaków dochodziły do uszu mieszkańców pozostałych obszarów kraju, napawając ich niekłamaną grozą.

Być może powstanie zdołano by zażegnać, gdyby żył król Władysław IV, który, w przeciwieństwie do magnaterii, jakoś potrafił dogadać się z kozacką bracią. Losy wojny mogły potoczyć się zupełnie inaczej, gdyby do gry wkroczył wyśmienity sztabowiec i dowódca, hetman wielki koronny Stanisław Koniecpolski, ale ten zmarł w marcu 1646 roku, zażywszy zbyt wiele konfortatyw, czyli odpowiednika współczesnej viagry, chcąc dogodzić swojej żonie, Zofii Opalińskiej, młodszej od niego o całe dwadzieścia dziewięć lat.

Młodzi Sobiescy wracali więc po dwuletniej peregrynacji ze świadomością, że muszą szykować się nie tylko do wyboru nowego króla, ale także do wojny z zupełnie nieprzewidywalnym wrogiem. Najpierw, zamiast na elekcję udali się prosto do Zamościa, gdzie zatrzymała ich matka, szukająca schronienia przed Kozakami, którym udało się dojść aż pod Lwów i opanować tereny znajdujące się w pobliżu majątków należących do Sobieskich. Przywitawszy się z synami, Teofila stanowczo zażądała, by obaj bezzwłocznie wstąpili w szeregi wojska, broniąc ojczyzny, podobnie jak czynili to ich znamienici antenaci. Zarówno Marek, jak i Jan posłuchali polecenia matki: po zaciągnięciu własnych oddziałów, obaj w stopniu rotmistrza, rozpoczęli służbę wojskową. Starszy z braci przedostał się do oblężonego Zbaraża bronionego przez bożyszczę szlachty, księcia Jaremę Wiśniowieckiego, bezwzględnie wobec Kozaków i odpłacającego się im pięknym za nadobne, w okrutny sposób mszcząc się za ich zbrodnie na ludności polskiej, litewskiej i żydowskiej. Tymczasem Jan także udał się pod Zbaraż, ale w szeregach idących na pomoc obrońcom wojsk pod wodzą nowo obranego króla Jana Kazimierza. Monarcha stanął wówczas na wysokości zadania i skutecznie dowodził w bitwie pod Zborowem. Historycy zgodnie przyznają, że gdyby nie twarda postawa władcy, batalia zakończyłaby się sromotną klęską Polaków. Bitwa o Zbaraż została zwieńczona, co prawda niekorzystną dla Rzeczypospolitej, ale dającą czas na przygotowanie się do kolejnych walk z Kozakami, ugodą zawartą 17 sierpnia 1649 roku w Zborowie.

W 1651 roku bracia Sobiescy wzięli udział w bitwie pod Beresteczkiem, gdzie Jan Kazimierz po raz kolejny dał się poznać jako wyjątkowo zdolny dowódca. Zastosowany przez niego trzeciego dnia bitwy manewr zwany szachownicą (czyli ustawienie oddziałów piechoty na

przemian z oddziałami jazdy) zdecydował o zwycięstwie strony polskiej. Dodajmy, że siły polskie liczyły około 60 tysięcy ludzi, podczas gdy w szeregach wojsk kozacko-tatarskich walczyło 100 tysięcy. Marek i Jan Sobiescy zostali obsadzeni na prawym skrzydle, pod dowództwem hetmana wielkiego koronnego Mikołaja Potockiego. Drugiego dnia bitwy bohater naszej opowieści został ciężko ranny w głowę i cudem uniknął niewoli, przed którą uratowali go jego podkomendni. Ze względu na poważne obrażenia Jan do domu powracał więc niemalże jako bohater wojenny, chociaż zdobył tylko niewielkie doświadczenie w tej materii. Następna okazja do zdobycia laurów na polu bitwy niestety przeszła mu koło nosa. A wszystko przez... kobietę.

Rok po wspomnianej bitwie Jan Sobieski wplątał się, zapewne nie pierwszy raz w życiu, w historię miłosną, która zakończyła się tragicznie. Młodzieniec zakochał się w, ponoć bardzo ładnej, pannie, córce wspomnianego w niniejszym opracowaniu ochmistrza Sobieskich, nieżyjącego już wówczas, Orchowskiego. O względy uroczej dziewczyny ubiegał się też litewski magnat Kazimierz Pac, który, w przeciwieństwie do Sobieskiego, nie zamierzał jej poślubić, a jedynie uczynić z niej swoją kochankę. Zakochany Jan wdał się z nim w pojedynek o honor ukochanej i został ranny na tyle poważnie, że zamiast wyruszyć ze starszym bratem na wojnę i wziąć udział w bitwie pod Batohem, musiał zostać w domu. Kiedy Teofila zorientowała się, jakie uczucia wobec panny Orchowskiej żywi jej młodszy syn, bezzwłocznie wybiła mu z głowy niestosowne amory i wydała dziewczynę za jakiegoś szlachetkę, znacznie bardziej odpowiadającemu jej statusowi. Jan musiał więc nie tylko leczyć ranę odniesioną w pojedynku z Pacem, ale przede wszystkim zranione serce. Wkrótce zyskał kolejny bolesny powód do zmartwień.

Jego starszy brat miał okazję przekonać się, ile prawdy jest w sentencji Horacego, której Teofila kazała mu się w dzieciństwie nauczyć na pamięć: „Słodko i zaszczytnie jest umrzeć za ojczyznę”. Marek Sobieski poległ w bitwie pod Batohem. Prawdę mówiąc, słowo „poległ” nie jest odpowiednie w tym przypadku, ponieważ Sobieski został brutalnie zamordowany w czasie zarządzanej przez Chmielnickiego rzezi jeńców polskich po bitwie zakończonej sromotną klęską strony polskiej. Owa rzeź, będąca z punktu widzenia dzisiejszego prawa zbrodnią wojenną, niebezpiecznie jest w naszej historiografii mianem sarmackiego Katynia.

Co ciekawe, przeciwko wymordowaniu jeńców ostro zaprotestowali sprzymierzeńcy Kozaków — Tatarzy. Powodem ich protestu nie były jednak wcale względy humanitarne czy też szczególna sympatia, jaką darzyli Polaków, ale zwykła chęć zysku — za żywego jeńca można było dostać od jego rodziny znacznie więcej pieniędzy niż za wydanie jego ciała. Chmielnicki wybrnął z tej sytuacji, płacąc Tatarom sowite wynagrodzenie za każdego przekazanego Kozakom Polaka, ale i tak część Tatarów wciąż przetrzymywała niektórych z nich w swoich namiotach, ratując im w ten sposób życie. Wśród zawdzięczających swoje ocalenie tatarskiej pazerności był chociażby Stefan Czarniecki, ale szczęścia zabrakło bratu bohatera naszej opowieści, podobnie zresztą jak drugiemu z braci Czarnieckich, Michałowi. Zdaniem wielu historyków rzeź pod Batohem była nie tylko aktem zemsty Chmielnickiego za odniesioną rok wcześniej porażkę pod Beresteczkiem, ale także desperacką próbą podniesienia jego prestiżu, mocno już nadszarpniętego wśród kozackiej braci.

Na rozkaz Chmielnickiego nieszczęsnych jeńców wyprowadzono na majdan, czyli plac w obozie, na którym Kozacy wraz z częścią Tatarów mordowali ich po kolei, ścinając im głowy bądź podrzynając gardła, a niektórych zakłuwano pikami. Dodatkowym aktem okrucieństwa było zmuszenie pozostałych, czekających na swoją kolej, by patrzyli na kaźń towarzyszy...

Okrutna rzeź trwała dwa dni, od 3 do 4 czerwca 1652 roku i, jak się obecnie szacuje, życie straciło wówczas ponad 3 tysiące polskich żołnierzy i oficerów, co stanowiło dotkliwy cios dla wojsk Rzeczypospolitej.

Kiedy hiobowe wieści dotarły do Jana Sobieskiego i jego matki, Teofila wpadła w czarną rozpacz. Jak wiadomo, Marek był jej ulubieńcem, młodszemu synowi nigdy nie okazała tyle ciepła i uczucia co Maresiowi. Miała Janowi za złe, że ten spokojnie siedział w domowych pieleszach, podczas gdy jego brat przelewał krew za kraj. Może nie powiedziała tego głośno, ale jej młodszy syn podświadomie czuł, że Teofila wolałaby, żeby pod Batohem znalazł się on, a nie Marek. Zrozpaczona kobieta udała się na pielgrzymkę do Italii, ofiarowując odpust za duszę syna i przywożąc stamtąd plany budowy kościoła i klasztoru dominikanów, których to sprowadziła do Żółkwi. Ufundowała im piękny kościół i klasztor wybudowane według włoskiego projektu, polecając jednocześnie zakonnikom, by po wsze czasy modlili się za spokój duszy Marka Sobieskiego. Jego zwłoki, wykupione za niemałe pieniądze, sprowadziła do Żółkwi i pochowała w tymże kościele, jednocześnie zaznaczając, by jej ciało po śmierci spoczęło obok ukochanego syna.

W 1653 roku Jan Sobieski, który po bracie odziedziczył tytuł starosty krasnostawskiego, stojąc na czele własnej chorągwi kozackiej, wziął udział w wyprawie żwanieckiej króla Jana Kazimierza, zakończonej podpisaniem, zdaniem wielu, haniebnej dla naszego państwa ugody z Tatarami. Przy okazji warto dodać, że wspomniana chorągiew nie składała się z Kozaków zaporoskich, *nota bene* lepszych piechurów niż jeźdźców. Kozakami bądź jazdą kozacką nazywano lekko- oraz średniozbrojną jazdę, doskonale sprawdzającą się jako wsparcie husarii, zwłaszcza w walkach z zagonami tatarskimi.

Tatarski chan Islam Gerej zażądał zakładników jako gwarancji dotrzymania przez Rzeczpospolitą warunków porozumienia. Wśród nich był także Jan Sobieski. Pobyt w tatarskim obozie wyszedł na dobre przyszłemu królowi, który nie dość, że opanował język tatarski, to jeszcze miał okazję poznać tajniki życia Tatarów. Jeszcze w tym samym roku, odzyskawszy wolność, znalazł się w składzie poselstwa Mikołaja Bieganowskiego, które zostało wysłane do Stambułu w konsekwencji niepokojącego i bardzo niebezpiecznego dla Rzeczypospolitej zbliżenia kozacko-moskiewskiego, w efekcie którego wojsko zaporoskie trafiło pod protekcję cara. Wobec takiego rozwoju wypadków istniało poważne niebezpieczeństwo wojny z połączonymi siłami Moskwy i Kozaków, co mogłoby nasz kraj kosztować bardzo wiele. Na szczęście dla Rzeczypospolitej Tatarzy, dotychczasowi sprzymierzeńcy Chmielnickiego, także z wielkim niepokojem przyglądali się temu sojuszowi, dzięki czemu pojawiła się realna szansa na pozyskanie sojusznika w postaci chanatu krymskiego. Ale chanat nie był bytem niezależnym, od 1476 roku zwierzchnictwo nad Krymem sprawowało Imperium Osmańskie, dlatego przed rozpoczęciem układów należało najpierw pozyskać zgodę na ewentualne przymierze od suwerena chana — ówczesnego sułtana tureckiego Mehmeda IV. I właśnie w tym celu w 1654 roku do Stambułu wysłano poselstwo, na czele którego stanął Mikołaj Bieganowski. W jego skład weszło wielu polskich magnatów, między innymi Jan Sobieski, aczkolwiek ten ostatni dołączył do grupy niemal w ostatniej chwili i to dosłownie na własną prośbę.

Poselstwo dotarło do celu 29 marca, a 1 kwietnia Bieganowskiego przyjął człowiek będący odpowiednikiem dzisiejszego premiera, wielki wezyr Koca Derwisz Mehmed pasza. Było to bardzo istotne spotkanie. W Imperium Osmańskim panował wówczas sułtan Mehmed IV, liczący sobie zaledwie dwanaście lat, więc w państwie faktycznie rządził wezyr i Dywan, czyli rada doradcza sułtana. 5 kwietnia polskie poselstwo zostało przyjęte przez Mehmeda IV na

oficjalnej audiencji, którą poprzedziła wystawna uczta. Sama audiencja trwała bardzo krótko i miała oficjalny charakter. Rokowania w imieniu władcy miał prowadzić wielki wezyr. Na szczęście dla Rzeczypospolitej Koca Derwisz Mehmed pasza był bardzo przychylnie ustosunkowany do propozycji przedstawionej mu przez polskich posłów, ponieważ trwająca wówczas już od przeszło dziesięciu lat wojna z Wenecją o Krete przybrała akurat niekorzystny dla Turcji obrót. W interesie tego państwa leżało utrzymanie pokoju na północnych rubieżach kraju. W efekcie rozmowy prowadzone przez Mikołaja Bieganowskiego zakończyły się pomyślnie. 15 kwietnia na audiencji u wielkiego wezyra udało mu się otrzymać praktycznie wszystko, o co z polecenia polskiego króla zabiegał. Przede wszystkim odnowione zostały przyjacielskie stosunki między państwami, a sułtan wydał oficjalny zakaz najeżdżania ziem Rzeczypospolitej przez Tatarów. Jeżeli chodzi o ewentualny sojusz antymoskiewski, chan otrzymał wolną rękę.

Co prawda Sobieski nie odegrał w negocjacjach prowadzonych przez Bieganowskiego żadnej roli, ale — zapewne wkrótce po jego znamienitych zwycięstwach nad armią turecką — narodziła się piękna legenda, jakoby dostojnicy sułtańscy rozpoznali w osobie młodego starosty jaworskiego przyszłego pogromcę ich wojsk, którego przepowiedziano w jednym z prorocत्व. Pisze o tym bodaj największy propagator kultu Jana III Sobieskiego w Rzeczypospolitej szlacheckiej, wspomniany już Jakub Kazimierz Rubinkowski. Według niego: „Turcy przyglądając się jego [tj. Sobieskiego] fizjognomii, powadze, w mowie roztropności, jakoby maiestatem w nim widząc, jeden drugiemu go ukazował i po turecku między sobą szeptali, czyli to nie ten przysły król, o którym Acham turecki [ów jasnowidz] prorokował, lepiej go zawczasu zgładzić, żeby nam nie zaszkodził”⁹. Bardzo prawdopodobne jest, iż całą historię zmyślił sam Rubinkowski na potrzeby swojej publikacji. Wszak gdyby rzeczywiście taka przepowiednia istniała, a Turcy rozpoznaliby w Sobieskim swego przyszłego pogromcę, zapewne próbowaliby go zawczasu zgładzić. A tymczasem nie zachowały się żadne informacje o jakiegokolwiek próbie zamachu na przyszłego króla. Faktem jest natomiast, że starosta jaworski miał wówczas okazję spotkać się z młodzieńcem Mehmedem IV, którego armię w 1683 roku pokona pod Wiedniem, a uczestnictwo w samym poselstwie można śmiało uznać za debiut bohatera naszej opowieści w jego działalności politycznej.

Po powrocie ze Stambułu Sobieski znów ruszył na wojnę. Tym razem Rzeczpospolita zaangażowała się w trwający trzynaście lat, oczywiście z przerwami, konflikt zbrojny z Moskwą, będący bezpośrednią konsekwencją zawartej w 1654 roku w Perejესławiu unii Moskwy z Ukrainą. Przysły król, stojąc na czele pułku, brał udział w największym i jednocześnie najbardziej krwawym starciu zbrojnym pierwszej fazy wojny — bitwie pod Ochmatowem, rozegranej w dniach 29 stycznia — 1 lutego 1655 roku. Pomimo początkowych sukcesów batalia nie zakończyła się powodzeniem wojsk Rzeczypospolitej. Ponad dwudziestotysięczna armia dowodzona przez hetmana wielkiego koronnego Stanisława „Rewerę” Potockiego i hetmana polnego koronnego Stanisława Lanckorońskiego, wspierana przez niemal 20 tysięcy Tatarów, pozwoliła armii moskiewsko-kozackiej wymknąć się z oblężenia. Dla Sobieskiego była to bolesna, aczkolwiek bardzo przydatna lekcja taktyki i sztuki wojennej.

Rok 1655 stanowi ważną datę w życiu naszego bohatera także z innego powodu. Wiosną tego roku na jednym z licznych balów organizowanych na królewskim dworze w Warszawie młody starosta krasnostawski poznał miłość swego życia — młodzieńką dwórkę królowej Ludwiki Marii, czternastoletnią Francuzkę, Marię Kazimierę d’Arquien.



Ludwika Maria, polska królowa, matka chrzestna i opiekunka Marii Kazimiery d'Arquien

Rozdział 4
Ulubienica królowej

Kiedy Maria Ludwika Gonzaga przyjechała do naszego kraju, by dopełnić zawartego *per procura* w Paryżu małżeństwa z łaskawie panującym w Rzeczypospolitej królem Władysławem IV, przywiozła ze sobą, obok niezliczonych kufrów swojej wyprawy, także dość osobliwy „bagaż”. Były to piękne, aczkolwiek niezbyt majątne panny z dobrych francuskich rodzin, które dworzanin królowej Jean de Laboureur określił mianem „ładnych pyszczków bez posagu”. Faktem jest, że uroda była jedynym atutem sprowadzonych przez królową dziewcząt, a sprytna monarchini zamierzała to w przyszłości wykorzystać. Nie naśladowała przy tym francuskiej władczyni, Katarzyny Medycejskiej, która swoje rozwiązłe dwórki wysyłała do łoża rozmaitych mężczyzn, próbując ich skaptować dla ważnych dla niej i jej dzieci spraw. Maria Ludwika chciała po prostu jak najwięcej z nich wydać dobrze za męż. W zamyśle królowej mężowie jej dwórek mieli stworzyć stronnictwo przychylne jej polityce, co jej się zresztą udało. O mężach owych dwórek mawiano, iż są „zięciami dworu”. I tak: Claire de Mailly-Lascaris wyszła za kanclerza polnego litewskiego, Krzysztofa Paca, który nabył, a następnie rozbudował dla swej małżonki willę w Warszawie, nadając posiadłości nazwę Belweder, Amata de Langeron została żoną wojewody płockiego, Jana Krasińskiego, natomiast panna Katarzyna Gordon poślubiła podskarbiego wielkiego koronnego, Jana Andrzeja Morsztyna. Niewątpliwie największą karierę zrobiła ulubienica Marii Ludwiki — Maria Kazimiera d’Arquien, aczkolwiek królowa zapewne tego się po niej nie spodziewała.

„Mała d’Arquien”, jak zwykła ją nazywać monarchini, była najmłodsza z gromadki „ładnych pyszczków” i trudno byłoby ją nawet zaliczyć do dwórek królowej, gdyż w chwili przyjazdu do naszego kraju miała zaledwie cztery lata. Maria Ludwika, która po przybyciu nad Wisłę musiała zmienić swoje imię, a właściwie szyk imion, stając się Ludwiką Marią (zgodnie z polską tradycją kobiety nie mogły nosić imienia Matki Boskiej), traktowała małą jak własną córkę. Ponieważ nie była już pierwszej młodości i miała za sobą burzliwą przeszłość, w tym związek z młodszym bratem króla Ludwika XIII i markizem Cinq-Mars, jej przywiązanie okazywane jawnie do czteroletniej dziewczynki wzbudziło podejrzenia, jakoby Maria Kazimiera w rzeczywistości była nieślubnym dzieckiem królowej, pochodzącym z romansu z drugim z wyżej wymienionych mężczyzn. Ludwika Maria była rzeczywiście zakochana w markizie, para planowała nawet ślub, ale Cinq-Mars nieopatrznie wplątał się w zamach na kardynała Richelieu, w efekcie kończąc swój żywot na szafocie. Rozpowszechniane w Warszawie pogłoski głosiły, jakoby księżna Gonzaga ukrywała przed światem ciążę, a kiedy w końcu urodziła dziecko, oddała je na wychowanie zaufanej ochmistrzyni. Gdy tylko Maria Ludwika poślubiła *per procura* polskiego władcę, wzięła córeczkę pod swoje skrzydła i zabrała do Polski. Z czasem plotki o rzekomej nieślubnej córce królowej tak się nasiliły, że Władysław IV zarządził nawet specjalne dochodzenie w tej sprawie. Śledztwo oczywiście nie dowiodło, że Ludwika Maria jest biologiczną matką Marii Kazimierzy, aczkolwiek królowa rzeczywiście miała słabość do wyjątkowo urodziwej dziewczynki, a panie były ze sobą faktycznie spokrewnione, choć nie w takim stopniu, jak plotkowano w Warszawie. Poza tym Ludwika Maria trzymała małą do chrztu, była więc jej matką — tyle że nie rodzoną, ale chrzestną.

W rzeczywistości Marysieńka była córką Henryka Alberta de la Grange d’Arquien i spokrewnionej z rodem Gonzagów Franciszki de la Châtre, piastującej godność ochmistrzyni na dworze księżniczki Marii Ludwiki Gonzagi. Ród d’Arquien mógł poszczycić się znamienitymi przodkami, ale wyjątkowo mizernym majątkiem. Poza Marią Kazimierą państwo d’Arquien wychowywali sześcioro dzieci: dwóch chłopców i cztery córki, z których dwie — Joanna i Franciszka — wstąpiły do klasztoru, najprawdopodobniej ze względu na sytuację

finansową rodziny. Dwie pozostałe — Maria Anna i Maria Ludwika — miały w przyszłości dołączyć do siostry w Polsce. Zdaje się, że spośród wszystkich czterech córek Alberta i Franciszki to Maria Kazimiera była najładniejsza. Uroczą czarnulka, o wielkich, mądrze patrzących na świat, ciemnych oczach, bez najmniejszego trudu zawojowała serce pracodawczyni swojej matki, i to do tego stopnia, że kiedy Maria Ludwika została żoną polskiego monarchy, postanowiła zabrać ze sobą zaledwie czteroletnią Marię Kazimierę.

Nie wiadomo, jak małutka ulubienica królowej zniosła bardzo męczącą, bo trwającą aż cztery miesiące, podróż. Zapewne droga nie dała się jej tak bardzo we znaki jak samej królowej, która musiała jakoś zatuszować ślady zmęczenia niekorzystnie odbijające się na jej urodzie. Niezbyt jej się to udało, skoro kiedy w końcu 10 marca 1646 roku dojechała do miejsca przeznaczenia i zaprezentowała się swemu mężowi, ten nie krył rozczarowania. Gdy nieszczęsna Ludwika padła mu do nóg w katedrze św. Jana, monarcha nie wykonał najmniejszego gestu. Tłumaczono to atakiem podagry, jakiego wcześniej doznał, ale ci, którzy znali Władysława, doskonale wiedzieli, że królowi najzwyczajniej w świecie oblubienica nie przypadła do gustu. I nie ma się czemu dziwić: gustujący w młódkach władca ujrzał kobietę nie pierwszej młodości, bo już trzydziestopięcioletnią, przy tuszy, o zszarzałej z zimna i zmęczenia twarzy. Monarcha nie omieszkął później z rozdrażnieniem poinformować architektów tego małżeństwa, że „nie taką w królowej JM gładkość widział, jako mu obiecowano i na konterfektach z Francycji posyłanych malowano”. Szczerze mówiąc, Ludwika Maria na widok swego oblubieńca też raczej nie oszalała z nadmiaru szczęścia. Jej małżonek również prezentował się nie najlepiej: miał już pięćdziesiąt jeden lat, był bardzo otyły, a doskwierające mu problemy zdrowotne często wręcz uniemożliwiały mu chodzenie i normalne funkcjonowanie. Ale był królem i to on miał prawo kapryścić, a nie kobieta, którą mu swatano.

Poza tym, z czego jego żona nie zdawała sobie sprawy, monarcha od śmierci swojej pierwszej żony, Cecylii Renaty, uwikłany był w romans z jedną z jej dwórek, młodą i piękną panną Eckenberg, która nie zamierzała rezygnować z królewskich względów dla kolejnej małżonki Władysława IV. Zapewne to właśnie uroczą dwórkę sprawiła, że władca nie zaszczycił żony swoją obecnością w noc poślubną, nie zawitał też do jej alkowy w następne noce. Sprawa była bardzo poważna: królewskie małżeństwo — kwestia wagi państwowej, a nawet międzynarodowej — dla swej ważności wymagało skonsumowania. Mało tego, w orszaku francuskich pań towarzyszących w podróży Ludwice Marii znajdowała się nawet dama, której zadaniem było odprowadzenie pary królewskiej do łożnicy. Jak dotąd pani Renée de Guébriant, bo takie nazwisko nosiła kobieta, której władze Francji powierzyły tę delikatną i bardzo ważną misję, była bezrobotna. Zdezorientowana Ludwika Maria, obwiniana przez wszystkich o oziębłość okazywaną jej przez małżonka, informowała nawet o tym kardynała Mazzariniego, prosząc go o interwencję w tej drażliwej materii. Z kolei Krzysztof Opaliński, chcąc pomóc królowej, sporządził pismo do ówczesnego ambasadora Francji, pana de Brégy, w którym pisał:

Wierność, z którą pragnę służyć mojej królowej, zniewala mnie do udzielenia jej podwójnego ostrzeżenia, które zechcesz W. M. Pan jej zakomunikować, nie wyrażając, iż pochodzi ode mnie. A najpierw, żeby nie była tak nieśmiałą względem króla i wchodziła rezolutnie do jego pokoju, jak to królowa nieboszczka zwykła była czynić, bez żadnego natręctwa z jej strony; Król Jegomość bowiem bierze przeciwne zachowanie się za dowód niedostatecznego dlań afektu Jej Kr. Mości. Prócz tego, należy jej być cokolwiek śmiałą w pieszczaniu go i udzielaniu mu miłosnych

satysfakcyj, *come si dice Italio: gli scherzi amorosi* [wł. „jak to się mówi po włosku: igraszki miłosne”], ponieważ król nasz miłościwy jest cokolwiek lubieżnym w tej materii miłosnej, co Waszmość Pan zrozumiesz dobrze, aczkolwiek nie umiem użyć należytych do wytłumaczenia się terminów, lepiej się znając na praktyce w tych rzeczach niż na rozprawianiu o nich¹⁰.

Na szczęście dla królowej wszystko dobrze się skończyło. 7 kwietnia 1646 roku, czyli niemal miesiąc po przyjeździe francuskiej oblubienicy do Warszawy, Władysław IV zaprosił ją w końcu na polowanie. Najwyraźniej para, poznawszy się lepiej, przypadła sobie do gustu, skoro jeszcze tego samego wieczora małżonkowie położyli się spać we wspólnym łożu, a *madame de Guébriant*, z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku, zasunęła nad nim kotarę.

Kiedy Ludwika Maria na dobre rozgościła się w Polsce, zaczęła wprowadzać francuskie porządki, a właściwie — należałoby powiedzieć — „francuską modę”, budząc niekłamane zgorzsenie wśród szlacheckich tradycjonalistów. Nie podobały im się na przykład mocno wydekoltowane suknie noszone przez monarchinię i damy z jej fraucymeru, sarkano też na zbyt wymyślne i „nieskromne” fryzury Francuzek. Nic dziwnego, skoro wcześniej polskie szlachcianki, nawet jeżeli nosiły wydekoltowane suknie, to pod nie wkładały tak zwane giezło, czyli cienką płócienną koszulkę, skutecznie osłaniającą mniej lub bardziej ponętny dekolt. Czesły się zaś bardzo prosto, zaplatając warkocze, a głowę ozdabiały jedynie wianuszkami. Kiedy wychodziły za mąż, zakładały czepki, które, podobnie jak później obrączki, były oznaką, że kobieta nie jest już wolna. Tymczasem, za sprawą dwórek królowej, rozpowszechniła się moda nie tylko na głębokie dekolty, ale i na fryzury odsłaniające twarz, w postaci drobnych, misternie ułożonych loków. Gdyby tak czesały się jedynie panny, może różnej maści moralisci przełknęliby nową modę bez problemu, ale wkrótce i mężatki odrzuciły czepce, chodząc z gołą głową i czesząc włosy w loczki. Urażony do żywego takim postępowaniem poeta Wacław Potocki poświęcił nawet całej sprawie jeden ze swoich wierszy, pisząc z niekłamany oburzeniem:

Biała płeć bredzi na ostatek,
nie rozeznać w ich stroju
panien od mężatek

Wraz z modą na wydekoltowane suknie i utrefione włosy nad Wisłę trafiła także moda na muszki, które przyklejano sobie na twarz. Rozsierdzeni tradycjoniści sarkali na naganny, ich zdaniem, zwyczaj „lepiania sprośnych much na gębie”, ale ani królowa, ani damy z jej fraucymeru, o ich polskich naśladowczyniach nie wspominając, wiele sobie z tego nie robiły. Podobnie jak nie przejmowały się fałszywymi pogłoskami o siedlisku nieobyczajności, za jakie uchodził dwór Ludwiki Marii. Historycy także nie zgadzają się z tym zarzutem, zwracając uwagę, że obyczaje wniesione przez francuskie damy dawały kobietom więcej swobody, ale to nie znaczy, że fraucymer królowej stał się gniazdem rozpusty. Wręcz przeciwnie, Ludwika Maria dbała bardzo o moralność panien znajdujących się pod jej opieką. Jeżeli w stosunku do którejkolwiek z nich zachodziły wątpliwości co do jej zachowania, najpierw bacznie ją obserwowano, a jeżeli podejrzenia się sprawdziły, odsyłano do domu. Wszak królowej zależało, by jej podopieczne znalazły jak najlepszych kandydatów na mężów, najlepiej spośród magnaterii, a niemoralne prowadzenie się panny stawiało ją na z góry straconej pozycji.

Silne poczucie moralności królowa starała się także zbudować u swojej najmłodszej i zarazem ukochanej podopiecznej, Marii Kazimierzy, chociaż trzeba przyznać, iż trochę ją rozpieszczała, z czego Francuzka doskonale zdawała sobie sprawę. Nie wiemy, czy małej d'Arquien spodobała się Polska i Warszawa, ale zapewne na królewskim dworze, gdzie niemal wszyscy ulegli jej czarowi, czuła się bardzo dobrze. Początkowo zajmowała się nią pani Galman, osoba z bliskiego otoczenia Ludwiki Marii, i być może to ona była autorką zdrobienia, które potem na dobre przyłgnęło do przyszłej pani Sobieskiej, a mianowicie: Marysienka. Wkrótce na śliczną dziewczynkę mówili tak wszyscy na dworze, z wyjątkiem królowej, tytułującej wciąż swoją pupilkę „mała d'Arquien”.

Marysienka była świadkiem, jak jej królewska opiekunka zaledwie po dwóch latach małżeństwa została wdową i stanęła przed widmem powrotu do swojej ojczyzny, co bynajmniej nie było szczytem jej marzeń. Ludwika Maria od dawna czuła się wyśmienicie w polityce i marzyła się jej władza, aczkolwiek zmarły mąż skutecznie trzymał ją z dala od rządów w państwie. Na poparcie poddanych też nie liczyła. W trakcie dwuletniego pobytu nad Wisłą nie zdążyła wszak zyskać ich poparcia ani zbudować swego stronnictwa. Wówczas zdecydowała się poprzeć kandydata na kolejnego króla, przyrodniego brata Władysława IV, Jana Kazimierza. A ponieważ swego czasu, kiedy Jan Kazimierz odwiedził ją we Francji, jeszcze jako księżniczkę, przysłała bratowa wzbudziła w nim żywsze uczucia — plotkowano nawet o ich ślubie — owdowiała Maria Ludwika zdecydowała się wyjść za niego za mąż i wspomóc go w wyścigu o koronę Rzeczypospolitej. To głównie dzięki jej zabiegom drugi syn Zygmunta III Wazy zasiadł na tronie. Uroczysta koronacja miała miejsce w katedrze na Wawelu 17 stycznia 1649 roku. 4 marca tego samego roku zaś odbyły się zaręczyny Jana Kazimierza i Ludwiki Marii.

Matrymonialne plany nowo obranego króla nie podobały się wielu poddanym. Po pierwsze, związek z wdową po zmarłym bracie uznawany był za kazirodczy, a po drugie, wielu poddanych uważało Ludwikę Marię za nieodpowiednią kandydatkę na żonę monarchy, głównie ze względu na jej zaawansowany wiek, który przekreślał szansę na zdrowe potomstwo. Pierwszy problem załatwiało uzyskanie dyspensy papieskiej, natomiast w przypadku drugiego zastrzeżenia trudno było nie zgodzić się z utyskującymi malkontentami, wszak Ludwika miała już trzydzieści osiem lat i jak dotąd była bezdzietna. Ale pozostawały i argumenty przemawiające za zawarciem tego związku. Przede wszystkim posag królowej zostawał w kraju, a poza tym, jak zauważono: „skarb królewski jest wyczerpany, a jeśli zjawiłaby się nowa królowa, to Rzeczpospolita musiałaby zadbać o wydatki na poselstwa i jej wiano, przytoczono więc liczne okoliczności za tym, by wdowa żona brata, na nowo ukoronowana, wstąpiła w związek małżeński”¹¹. Ostatecznie para stanęła na ślubnym kobiercu.

Trzeba przyznać, że związek tych dwojga był bodaj najdziwniejszym, ale też jednym z najbardziej burzliwych małżeństw władców w historii naszego państwa. Z listów pisanych zarówno przez Ludwikę Marię, jak i jej królewskiego małżonka wyraźnie wynika, że oboje darzyli się uczuciem, co nie przeszkadzało Janowi Kazimierzowi zdradzać swojej żony z kim popadnie. Ludwika, która doskonale wiedziała, że poślubia jednego z największych donżuanów swoich czasów, na mężowskie romanse przymykała oko. Król bowiem, ku jej nieklamanej radości, dosłownie złożył na jej barki ciężar obowiązków związanych z rządami krajem. Szczerze mówiąc, Jan Kazimierz raczej nie nadawał się na władcę, a już z pewnością nie na władcę w czasach, w jakich z wyroku losu przyszło mu panować. Był to bowiem wyjątkowo burzliwy okres w naszych dziejach: w latach 1648–1649 i 1651–1654 trwało, wspomniane już, powstanie Chmielnickiego, które wsparte w 1654 roku przez Rosję doprowadziło do wybuchu

wojny polsko-rosyjskiej w latach 1654–1667, przerwanej w okresie 1656–1660 wybuchem wojny polsko-szwedzkiej. Konflikt ze Szwecją zyskał później miano „potopu szwedzkiego”, ponieważ prawie cała Rzeczpospolita została wówczas opanowana przez wrogie wojska. Taki natłok wojen i najazdów obcych wojsk na nasz kraj doprowadził do tego, że łacińskie inicjały Jana Kazimierza: ICR, stanowiące skrót od łacińskiego tłumaczenia słów: Jan Kazimierz Król — *Ioanes Casimurus Rex*, odczytywano jako *Initium Calamitatis Regni* — „Początek Nieszczęść Królestwa”.

Tymczasem pupilka królowej dorosła na tyle, że mogła rozpocząć naukę. Protektorka wysłała ją do rodzinnego Nevers, gdzie dziewczynka uczyła się w miejscowej szkole prowadzonej przez urszulanki. Ponieważ edukacji ówczesnych dziewcząt nie poświęcano tyle uwagi co wykształceniu chłopców, mała Maria Kazimiera, skończywszy zaledwie dwanaście lat, wróciła do Polski, pod opiekuńcze skrzydła swojej matki chrzestnej. Kiedy ponownie pojawiła się na dworze Ludwika Marii, była rozkwitającym podlotkiem. Co prawda nader często zdarza się, że małe, urocze dziewczynki w okresie dojrzewania zmieniają się w niezbyt atrakcyjne, niezgrabne istoty, ale z pupilką królowej czas obszedł się wyjątkowo łaskawie. Panna d’Arquien, pojawiwszy się na zamku po długim okresie nieobecności spowodowanym wyjazdem do szkoły, wzbudziła powszechny zachwyt. Stanowiła ucieleśnienie ówczesnego kanonu piękna — apetycznie zaokrąglona, nie była „ani tłusta jak kwiczoł, ani jak sztokfisz chuda”. Zachwycano się też jej gęstymi czarnymi włosami, ponieważ był to czas, kiedy po dwustuletnim zachwycie nad blondynkami w dobie średniowiecza i renesansu zaczęto dostrzegać także piękno pań obdarzonych ciemnymi włosami i ciemnymi oczami. Maria Kazimiera mogła poszczycić się nieskazitelną cerą, zgodną z wymogami epoki, a jej bladą skórę ozdabiały naturalne rumieńce. Gdyby było inaczej, Marysieńka zapewne poradziłaby sobie, idąc za przykładem dwórek stosujących dla uzyskania idealnie jasnej cery bielidło i kładących róż na policzkach. Nawet panie wywodzące się z uboższych sfer, które nie miały dostępu do drogich kosmetyków, radziły sobie wówczas, wywołując rumieniec przez szczypanie się w policzki. Ulubienica królowej była szczęśliwą posiadaczką idealnego, małego i zgrabnego noska, zgodnego z ówczesnym kanonem piękna, oraz małych i pełnych ust, skłaniających do pocałunku. Zachwyt budziły też jej kształtne i białe dłonie, z drobnymi, jak się wówczas mówiło, „pieszczonymi” paluszkami. Warto dodać, iż duże dłonie oraz długie palce uważano za poważny mankament kobiecej urody.

Jak na chrześniaczkę królowej przystało, Maria Kazimiera nosiła się zgodnie z kanonami francuskiej mody i eksponowała swój kształtny biust w mocno wydekoltowanych sukniach. Wzorem innych pań z fraucymeru musiała zapewne dbać o wygląd swego dekoltu, okładając go liśćmi mięty. Bardzo lubiła się kąpać. Z zachowanych przekazów wiemy, że jako panna zażywała kąpieli codziennie, budząc tym niekłamane zdziwienie. W owych czasach panował powszechny pogląd, iż woda ma zły wpływ na organizm ludzki, a gorące kąpiele otwierają pory ciała, pozwalając na swobodne wnikanie rozmaitych chorób. Nad częste mycie przedkładano więc używanie rozmaitych pachnideł, które niezbyt skutecznie maskowały odór brudnego ciała.

Ponieważ Ludwice Marii zależało, by jej ulubienica wyrosła na elegancką pannę, znającą się na modzie i obdarzoną dobrym gustem, oddała ją pod opiekę specjalistów, dbających o odpowiednią oprawę samej królowej i jej fraucymeru. Do grona owych fachowców należeli wyłącznie Francuzi. Wśród nich znaleźli się: szatny, czyli funkcjonariusz czuwający nad procesem powstawania oraz użytkowania strojów — Karol Marchand, fryzjer monsieur Champagne, perukarz Stefan Dagobert, krawcy, w osobach Caltiana, Joachima Fysiera, Jana Gilles’a oraz Krystiana Kozlara, i szewc Jakub Aubert. Śmiało można postawić tezę, że to

właśnie dzięki nim Marysieńka nauczyła się doskonale podkreślać swoją urodę odpowiednim strojem, fryzurą i ozdobami. Do końca swych dni pozostała wierna modzie francuskiej i z biegiem lat stała się, używając dzisiejszych określeń, niekłamana ikoną mody i stylu.

Uroczą Maria Kazimiera przyciągała uwagę mężczyzn, co nie uszło uwadze królowej, powoli zaczynającej rozglądać się za odpowiednim kandydatem na męża jej ulubienicy. Na razie miała na nią baczenie, by ta urodzona kokietka niestosownym zachowaniem nie ściągnęła na siebie podejrzeń o niemoralne prowadzenie się. Takie podejrzenie znacznie osłabiłoby jej pozycję na rynku matrymonialnym i nawet protekcja królowej nie pomogłaby jej znaleźć dobrego kandydata na męża.

W 1655 roku pojawił się taki pretendent. Chociaż oficjalnie nie poprosił o rękę pięknej Francuzki, to jego zainteresowanie panną d'Arquien nie uszło niczyjej uwadze. Był nim bohater naszej opowieści, Jan Sobieski, mężczyzna młody, przystojny i postawny, który z pewnością dawał się zauważyć na tle innych, zwłaszcza w tłumie dworzan ubierających się na modłę francuską. Do Warszawy przyjechał w 1655 roku na sejm, opromieniony sławą uwodziciela. Plotki głosiły, że przystojny młodzian, budzący drzenie serca u niejednej panny, ma nieślubne dziecko z nieznaną z imienia szlachcianką. Ponoć nawet chciał się z nią żenić, ale zrezygnował w obliczu stanowczego sprzeciwu swojej matki. Nie wiadomo, czy w owych pogłoskach był choćby cień prawdy, czy też było to jedynie echo jego wcześniejszego zauroczenia panną Orchowską.

Uczucie do pięknej Francuzki poraziło Sobieskiego niczym grom z jasnego nieba — zakochał się w niej bez pamięci. Być może myślał nawet o ożenku, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że obiekt jego westchnień pozostanie dla niego nieosiągalny. Przede wszystkim jego matka nigdy nie zgodziłaby się, by jej syn poślubił cudzoziemkę, „zwyczajną” dwórkę królowej, co zdaniem Teofili godziło w świetność rodu Sobieskich. Dotyczyło to zresztą wszystkich dzieci wdowy po Jakubie Sobieskim. Kiedy jej córka, Katarzyna, chciała poślubić Dymitra Wiśniowieckiego, w którym miała nieszczęście się zakochać, pani Sobieska nie tylko zakazała jej się z nim spotykać, ale zmusiła dziewczynę do poślubienia starszego od niej o całe dwadzieścia lat księcia Władysława Dominika Zasławskiego-Ostrogskiego. Zawarty z początkiem 1650 roku mariaż był dla pana młodego najwyraźniej bardzo korzystny, skoro nie przeszkadzał mu posag wniesiony przez Katarzynę w postaci... nieślubnego syna, urodzonego 6 marca, zaledwie miesiąc po tym, jak Ostrogski zaprowadził pannę Sobieską do ołtarza. Sobieski wiedział, że ani jego pochodzenie, ani majątek, ani sukcesy na polach bitewnych nie czynią z niego w oczach królowej dobrego kandydata na męża jej ulubienicy. Dlatego pozostało mu platoniczne uczucie i wielbienie swojej bogdanki z oddali.

Z wyroku losu, a właściwie historii, wkrótce drogi Marysieńki i jej nowego adoratora rozeszły się. A wszystko za sprawą szwedzkiego potopu, jak w naszej historiografii bywa nazywany atak Szwecji na Rzeczpospolitą, do którego doszło w 1655 roku. Nawiasem mówiąc, ponoć miała rolę w tej kwestii odegrały królewskie amory, a konkretnie — jeden z romansów Jana Kazimierza, który to na nieszczęście swoje i państwa, jakim przyszło mu władać, zapalał afektem do pięknej żony jednego z magnatów, Elżbiety ze Słuszków Radziejowskiej. Ludwika Maria, chociaż z reguły na romanse męża patrzyła przez palce, z zadziwiającą wręcz intuicją potrafiła w porę zareagować, kiedy sprawy zachodziły zbyt daleko i z pozoru błahy romans przekształcał się w poważniejsze uczucie, zagrażające jej małżeństwu, lub gdy jej królewski małżonek nieopatrznie pakował się w miłosną awanturę, której konsekwencje mogły mieć niekorzystny wpływ na pozycję monarchy. Tym razem jednak czujność ją zawiodła, być może

dlatego, że kiedy jej małżonek uganiał się za piękną panią Radziejowską, Ludwika Maria była w ciąży i bardzo źle znosiła ten stan.

Kiedy Jan Kazimierz zainteresował się Elżbietą, ta była już dwukrotną mężatką. Po raz pierwszy wyszła za mąż za nieodłącznego druha króla Władysława IV, Adama Kazanowskiego. Panowie byli ze sobą tak blisko, że po dziś dzień historycy zastanawiają się, czy ich relacje nie miały przypadkiem zabarwienia homoerotycznego. Prawdopodobnie jednak nie łączyły ich intymne relacje, skoro cała Warszawa trzęsła się od plotek, jakoby Kazanowski utrzymywał na potrzeby króla cały harem bezpruderyjnych dam, które w razie potrzeby dostarczał do królewskich łaźni, by przydawały monarsze rozkoszy. Monarcha, żeniąc swego przyjaciela z Elżbietą, chciał podreperować jego mocno nadwątlone finanse, ponieważ panna wniosła pokaźny posag. Trudno orzec, czy para była ze sobą szczęśliwa. O związku tych dwojga krążyły sprzeczne opinie. Nie brakowało i takich, którzy twierdzili, iż pani Kazanowska chętnie gościła nawet w królewskim łożu. Coś musiało być na rzeczy, skoro Elżbieta asystowała monarsze w jego wyjeździe do wód, a konkretnie do Baden, dokąd Władysław IV udał się w 1638 roku. Było to o tyle dziwne, że jego przyjaciel i mąż towarzyszącej mu kobiety pozostał w domu... Kazanowski zmarł rok po zgonie swego królewskiego przyjaciela, w 1649 roku, pozostawiając swojej małżonce spory majątek, dzięki czemu wciąż piękna Elżbieta stała się najbogatszą wdową w Rzeczypospolitej. Nic dziwnego, że wkrótce dosłownie zaroilo się wokół niej od adoratorów, marzących o tym, by zaciągnąć atrakcyjną wdówkę przed ołtarz. Byli wśród nich Jerzy Lubomirski i Bogusław Leszczyński. Świadkowie pisali, że owdowiała kobieta „Liczyła 22 rok życia, była niewysoka, ale nader zgrabnej postaci, miała czarne, wielkie, podłużne oczy, których blask i słodycz wzbudzały tkliwe uczucia u wszystkich, co ją ujrzeli; nos miała kształtny, usta wdzięczne, a oblicze nader foremne. Jeżeli dodać do tego umysł błyskotliwy i wykwinny, to trudno doprawdy wyobrazić sobie doskonalszą istotę”¹². Rywalizację o względy uroczej Elżbiety wygrał ostatecznie Hieronim Radziejowski, który był tak zdeterminowany, by poślubić wdowę, że zaledwie rok po śmierci Kazanowskiego, w maju 1650 roku, stanął z nią przed ołtarzem. Młodej kobiecie musiało wydawać się, że spotkało ją wielkie szczęście, wyszła bowiem nie tylko za członka zacnej, bogatej i wpływowej rodziny, syna wojewody łęczyńskiego Stanisława Radziejowskiego i ciotki Jana Sobieskiego, Katarzyny Sobieskiej, ale też za mężczyznę legitymującego się gruntownym wykształceniem i znajomością kilku języków. Jej małżonek stosunkowo szybko zrobił też karierę na dworze Władysława IV, by później równie prędko zyskać zaufanie jego przyrodniego brata i następcy na tronie.

Niestety pięknej Elżbiecie dane było niedługo po ślubie przekonać się, że nawet najbardziej gruntowne wykształcenie nie zastąpi braków wychowania wyniesionych z domu rodzinnego. Hieronim słynął z gwałtownego charakteru, za sprawą którego co rusz ładował się w burdy i bijatyki. Trzeba przyznać, że wychodził z nich zawsze obronną ręką, w czym była zasługa głównie jego możnych protektorów — Jana Kazimierza i jego małżonki Ludwiki Marii. Radziejowski dał się też poznać jako wielki tchórz, kiedy jako jeden z pierwszych uciekał z pola bitwy pod Piławcami, rozegranej na pograniczu podolsko-wołyńskim w dniach 23–25 września 1648 roku pomiędzy wojskami Rzeczypospolitej a dowodzonymi przez Chmielnickiego Kozakami. Szczególnie złą sławę zyskał, kiedy w tym samym roku, udając organizowanie obrony Lwowa, bezczelnie okradł tamtejszych mieszczan, czym ściągnął na siebie gniew szlacheckiej braci. Tymczasem król w 1651 roku mianował go podkanclerzym koronnym, co wzbudziło niekłamane oburzenie większości dostojników i dygnitarzy państwowych.

Małżeństwo Radziejowskiego z piękną Elżbietą nie było szczęśliwe. Kłopoty zaczęły się

krótko po ślubie, kiedy młoda mężatka „poczęła swawolić i szaleć, wymawiając Radziejowskiemu słabość”¹³. W tym miejscu należy wyjaśnić, iż to, co tłumacz łacińskiego tekstu przetłumaczył jako „słabość”, w oryginale brzmiało *impotens* i oznaczało impotencję. Radziejowski chyba rzeczywiście miał poważne problemy związane z życiem, ale winą za to obarczał swoją małżonkę, przynajmniej tak twierdziła Elżbieta podczas sprawy rozwodowej. W dokumentacji procesowej zapisano: „Pewnej nocy wprowadził do jej komnaty hajduka i kazał mu się położyć obok niej, krzycząc: nie chcesz ze mną copulare, czyń to z hajdukiem”¹⁴. Ale to nie wszystkie przewiny Radziejowskiego: mężczyzna miał zwyczaj wymuszania posłuszeństwa na swojej żonie biciem. Elżbieta znajdowała pocieszenie w ramionach kochanków, a w końcu nawiązała romans z Janem Kazimierzem, który na osłodę obdarzył jej męża stanowiskiem podkanclerzego koronnego. Najwyraźniej jednak zdaniem Radziejowskiego nie była to odpowiednia rekompensata, gdyż urażony do żywego mężczyzna postanowił powiadomić o całej sprawie ciężarną królową, a z sojusznika monarchy przedzierzgnął się w jego zagorzałego wroga.

Tymczasem jego małżonka, słusznie obawiając się gniewu Hieronima, schroniła się w klasztorze klarysek, nieopodal miejsca zamieszkania jej ówczesnego kochanka, Jana Kazimierza. Poleciała jednocześnie swojemu bratu, Bogusławowi Słuszce, by usunął Radziejowskiego z majątku. Butny Hieronim ani myślał ustępować szwagrowi i wyzwał go na pojedynek, ale ten odmówił. Wówczas Radziejowski przystąpił do oblężenia klasztoru, w którym przebywała jego niewierna małżonka. Na to tylko czekał Słuszka — wykorzystując nieobecność Hieronima, zajął należący do Radziejowskich pałac w Warszawie. Tymczasem zaalarmowana gwardia królewska skutecznie zapobiegła zdobyciu klasztoru przez Radziejowskiego, ale kiedy zdradzany mąż Elżbiety dowiedział się, że jego pałac został zajęty przez Słuszkę, czym pręcej ponownie zebrał ludzi, by go odbić. Nawiasem mówiąc, gdyby cała sprawa rozgrywała się dzisiaj, Radziejowski nie miałby żadnych praw do rezydencji, która, zgodnie z współczesnym prawem, stanowiła odrębny majątek jego żony. Elżbieta odziedziczyła pałac po swoim zmarłym pierwszym mężu, a sam budynek był prezentem od króla Władysława IV. Radziejowskiemu nie udało się odbić pałacu, ale przy okazji napytał sobie biedy: został oskarżony o obrazę majestatu. Zgodnie z obowiązującym wówczas prawem terminem obrazy majestatu określano każde zajście zbrojne dotyczące posłów lub dostojników państwowych, które miało miejsce w okresie czterech tygodni poprzedzających sejm. Dodatkowo Radziejowskiemu postawiono zarzut narażenia na niebezpieczeństwo królewskiej rezydencji, ponieważ wspomniany pałac, który usiłował odbić podkanclerzy, podobnie jak oblegany przez niego klasztor, znajdowały się w pobliżu królewskiego zamku.

Mężczyzna nie zamierzał jednak stawać przed sądem. Skutecznie ukrył się przed wysłannikami Jana Kazimierza usiłującymi dostarczyć mu pozew, dzięki czemu mógł później przysięgać, że nie wiedział o czekającym go procesie. Na nic mu się to jednak nie zdało — 22 stycznia sąd skazał go na śmierć, a ponieważ oskarżony, czując pismo nosem, zawczasu uciekł za granicę, karę zamieniono na banicję i infamię, przy okazji zarządzając konfiskatę majątku. Zasądzony wyrok, wydany nie do końca zgodnie z prawem, oburzył całą szlachecką brać, nie brakowało też głosów oskarżających monarchę o prowokację. Dwaj synowie Hieronima z poprzedniego małżeństwa usiłowali wstawić się za ojcem u Jana Kazimierza, ale ich usiłowania nie przyniosły skutku.

Tymczasem sam Radziejowski wyjechał do Wiednia, gdzie bezskutecznie namawiał cesarza do udzielenia mu zbrojnej pomocy w rozprawie z polskim królem. Uznany za politycznego

awanturника, opuścił Austrię i w 1652 roku udał się do Sztokholmu. Tam został nadspodziewanie dobrze przyjęty przez królową Krystynę, która, jak się wydaje, uwierzyła w jego rzekomą krzywdę. Ale to nie szwedzka monarchini stała się największym sprzymierzeńcem banity, tylko jej następca, Karol Gustaw, na rzecz którego Krystyna abdykowała w 1654 roku. Nowy król miał wielkie ambicje, marzyły mu się podboje na miarę Aleksandra Wielkiego i zwiększenie potęgi Szwecji, która przecież i tak utwierdziła swoją dobrą międzynarodową pozycję na skutek wojny trzydziestoletniej. Karol Gustaw pragnął nie tylko raz na zawsze uregulować kwestię Inflant, od lat stanowiących kość niezgody między Szwecją a Rzeczpospolitą, i ostatecznie zlikwidować rojenia polskich Wazów o koronie szwedzkiej, ale też przejąć kontrolę nad portami południowego Bałtyku. Niebagatelne znaczenie miała również perspektywa zdobycia łupów, dzięki którym można byłoby opłacić zaległy żołd dla armii, zwłaszcza że królewski skarbiec świecił pustkami.

Oslabiona wojnami Rzeczpospolita wydawała się Karolowi Gustawowi dość łatwym celem, a Radziejowski spadł mu jak z nieba. Co prawda monarcha z dużą rezerwą podchodził do rewelacji banity o jego rzekomo wysokim autorytecie wśród polskiej szlachty, ale informacje przekazywane przez niego o sytuacji wewnętrznej Rzeczypospolitej, jej armii i możliwościach obronnych były nie do pogardzenia, podobnie jak twierdzenia Hieronima o ewentualnym poparciu Karola Gustawa przez polską szlachtę, niezadowoloną z panowania Jana Kazimierza. W efekcie zdradzony mąż walnie przyczynił się do najazdu Szwecji na Polskę w 1655 roku i do sukcesów najeźdźców w pierwszym okresie wojny, zwanej w naszej historiografii potopem szwedzkim.

Armia szwedzka szła przez nasz kraj jak burza, wojska Rzeczypospolitej, które opuściły Warszawę we wrześniu, poniosły dotkliwą klęskę pod Żarnowcem i Wojniczem, a miesiąc później skapitulował Kraków, którego obroną dowodził Stefan Czarniecki. Na domiar złego Janusz Radziwiłł, wielki hetman litewski, i jego brat, książę Bogusław, oddali się pod protekcję Karola Gustawa, a pospolite ruszenie walczące w Wielkopolsce pod dowództwem Krzysztofa Opalińskiego i Andrzeja Grudzińskiego uległo Szwedom bez walki pod Ujściem. Na stronę szwedzkiego monarchy przechodziło coraz więcej polskiej szlachty, na czele z Janem Sobieskim, który w armii szwedzkiej walczył w randze pułkownika wojsk kwarcianych, oraz hetmanami koronnymi: Stanisławem Potockim i Stanisławem Lanckorońskim. Para królewska zmuszona była ratować się ucieczką. Przy Janie Kazimierzu ostali się nieliczni, a jego rozpaczliwa próba szukania pomocy u Habsburgów spaliła na panewce — cesarz Ferdynand III nie miał najmniejszego zamiaru angażować się w konflikt polsko-szwedzki, chociaż teoretycznie powinien jakoś zareagować, w jego żyłach płynęła przecież krew Jagiellonów. Prababką cesarza była Anna Jagiellonka, córka Władysława Jagiellończyka, swego czasu panującego na Węgrzech i w Czechach.

Król i królowa znaleźli azyl na Śląsku, gdzie pogrążający się w depresji monarcha bezsilnie słuchał wieści o kolejnych magnatach składających przysięgę na wierność Karolowi Gustawowi i stopniowo dojrzewał do decyzji o abdykacji. Humoru z pewnością nie poprawiły mu wieści o poczynaniach najeźdźców, o rabunku cennych dzieł sztuki, w tym bardzo cennego księgozbioru jego brata, królewicza Ferdynanda, o niszczeniu Warszawy i Krakowa, gdzie Szwedzi splądrowali katedrę wawelską, profanując przy tej okazji królewską nekropolię, w tym grób jego brata i poprzednika na tronie, Władysława IV, którego trumnę zniszczono dla dwóch srebrnych gwoździ nabitych na niej. Na szczęście ocalały klejnoty koronne, które wraz z innymi kosztownościami zdołał zawczasu wywieźć marszałek wielki koronny Jerzy Lubomirski. Warto

dodać, że w czasie potopu tylko trzy twierdze nie poddały się Szwedom: Gdańsk, Jasna Góra i Zamość.

Kiedy król ubolewał nad losem swoim i swoich poddanych, jego małżonka, chociaż już niemłoda i schorowana, tryskała energią właściwą monarchini. Nie oglądając się na niedomagającego męża, wzięła sprawy w swoje ręce. W Głogówku zorganizowała zbrojne powstanie przeciw Szwedom. Przede wszystkim skutecznie wybiła z głowy Jana Kazimierza pomysł abdykacji, jednocześnie namawiając go do wysyłania do kraju memoriałów wzywających cały naród do zbrojnego oporu przeciwko najeźdźcy. Poza tym wspomagała broniącą się przed Szwedami Częstochowę i inne miasta, utrzymywała również kontakty z oddziałami partyzanckimi, walczącymi z najeźdźcą na ziemiach polskich i korespondowała z samym Stefanem Czarnieckim, który jak wiadomo, dał się Szwedom mocno we znaki. Udało jej się także uzyskać poparcie Francji dla Rzeczypospolitej i dla polskiego monarchy. Co prawda Francja była daleko i nie należało liczyć na jej zbrojną pomoc, ale istotna była już sama deklaracja. Mało tego, królowa zjednała dla sprawy polskiej papieża i dwór wiedeński, a nawet... chana tatarskiego oraz samego Chmielnickiego, przywódcę zbuntowanych Kozaków.

Jej działania przyniosły spodziewane efekty. Na Litwie sprzymierzone ze Szwecją wojska litewskie Janusza Radziwiłła zostały pobite przez wojewodę Pawła Sapiechę. Do walki przyłączyły się oddziały partyzanckie, a kiedy po stronie Jana Kazimierza opowiedział się Jerzy Lubomirski, wojska koronne dowodzone przez Stanisława Rewerę Potockiego i Stanisława Lanckorońskiego także odstąpiły od Karola Gustawa. Trzeba zresztą przyznać, że Szwedzi skutecznie zrazili do siebie polskich popleczników, gdyż, zgodnie z wyznawaną przez nich zasadą, że wojna wyżywi się sama, rabowali i niszczyli, co się dało, nie oszczędzając siedzib magnatów, którzy przeszli na stronę najeźdźcy. Ostatecznym aktem poparcia polskiego króla była konfederacja tyszowiecka zawiązana 29 grudnia 1655 roku. Monarcha i jego dzielna żona mogli wreszcie wrócić do kraju.

Zrozpaczona królowa była przerażona stanem, w jakim najeźdźcy zostawili zamek królewski w Warszawie. „Szwedzi tak bardzo zanieczyścili zamek, że nie jest on zdatny do zamieszkania. Konie wprowadzali nawet do komnat trzeciego piętra, które są pełne gnoju i ciał poległych szwedzkich żołnierzy”¹⁵ — czytamy w relacji jednego z dworzan. Na domiar złego Szwedzi ogołocili królewską rezydencję ze wszystkich kosztowności i dzieł sztuki, a czego nie mogli wywieźć, to zniszczyli. Ze ścian i podłóg zerwali marmury, a nawet zeszkrobywali złoto z ram i listew. Sam Karol X Gustaw chciał podobno zabrać ze sobą... kolumnę Zygmunta, ale nie mógł znaleźć wystarczającej liczby rzemieślników, którzy zdemontowaliby ten pomnik, po dziś dzień będący symbolem stolicy naszego państwa. Udało mu się za to zabrać „nawet stare spódnice panien pokojowych królowej i poodsyłał je do Szwecji”¹⁶.

Wróciwszy do kraju, Ludwika Maria nie zamierzała osiąść na laurach. Wciąż trzymała rękę na pulsie i pilnowała interesów Rzeczypospolitej oraz władającego nią Jana Kazimierza. W ostatnim etapie wojny dzielna królowa potrafiła nawet osobiście stanąć na polu walki, dokonując przeglądu szanów i zagrzewając do boju polskich żołnierzy pod Warszawą. Była obecna pod Toruniem, kiedy wojska Rzeczypospolitej zdobywały miasto. Ponoć w trakcie oblężenia mieszkała nawet w ziemiance. Nie zabrakło jej też pod Gdańskiem, kiedy ważyły się losy potopu.

Bohater naszej opowieści także w końcu przeszedł na stronę Jana Kazimierza. Stało się to 24 marca 1656 roku pod Łañcutem, gdzie Sobieski oddał się pod komendę Stefana Czarnieckiego. Rozeźlony do białości szwedzki monarcha, nie mogąc osiągnąć zdrajców, za jakich uznał

dowódców, którzy wrócili do prawowitego władcy, rozkazał powiesić na szubienicy ich portrety. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Zdrada Sobieskiego, kładąca się cieniem na jego biografii, a zwłaszcza jego służba w armii szwedzkiej cieszącej się zasłużoną opinią jednej z najlepszych w ówczesnej Europie, ostatecznie okazały się dla niego korzystne. Przy tej okazji bowiem przyszły hetman nauczył się trudnej sztuki operowania piechotą i dragonią, nowoczesną formacją, której żołnierze przemieszczali się konno, ale walczyli pieszo, używając głównie broni palnej. Wszystko to przydało mu się później, gdy jako hetman walczył w obronie Rzeczypospolitej i kiedy jako król rozgromił turecką armię pod Wiedniem.

Ulubienica królowej, Maria Kazimiera d'Arquein, towarzyszyła jej we wszystkich peregrynacjach, uważnie obserwując, jak matka chrzestna praktycznie przejmuje ster rządów i organizuje walkę ze szwedzkim najeźdźcą. Wówczas też piękną Francuzką zainteresował się jeden z nielicznych magnatów dochowujących wierności Janowi Kazimierzowi — Jan Sobiepan Zamoyski, wnuk zasłużonego dla Polski wielkiego kanclerza Jana Zamoyskiego. Posiadacz bajecznej fortuny, pan na Zamościu, był niewątpliwie jedną z najlepszych, o ile nie najlepszą partią w ówczesnej Rzeczypospolitej, a nadany mu przydomek świadczył o tym, że magnat cenił niezależność i nie dawał sobie niczego narzucić. W czasie potopu jako zwolennik prawowitego króla wsławił się obroną Zamościa, za co Jan Kazimierz i jego małżonka byli mu dożgonnie wdzięczni. Nic więc dziwnego, że Ludwika Maria przychylnie patrzyła na zaloty Zamoyskiego w stosunku do swojej pupilki.

Ale Sobiepan nie był idealnym kandydatem na męża, a jedynym jego walorem był wielki majątek. Trudno uznać go za przystojnego mężczyznę, co widać na zachowanych portretach. Był tak niski, że znający go Krzysztof Opaliński nazywał go wręcz karłem. Magnat nie miał prawie w ogóle ambicji politycznych, nie przyjmował żadnych zaszczytów, dostojęństw i stanowisk, jakie chciał mu przyznać wdzięczny Jan Kazimierz. Zadowolił się niezbyt eksponowanym urzędem wojewody sandomierskiego. Akurat ten fakt nie powinien martwić jego potencjalnej małżonki — wszak jego bogactwo i nazwisko stanowiły dostateczną gwarancję dobrej pozycji i wpływów w państwie, ale Zamoyski miał też znacznie gorsze przywary: był pijakiem i, nazwijmy rzecz po imieniu, dziwkazem. W swoich dobrach utrzymywał prawdziwy harem, a o hulankach i orgiach z udziałem Sobiepana głośno było w całej okolicy.

Gwoli sprawiedliwości trzeba dodać, że Zamoyski, utrzymujący sporą grupę bezpruderyjnych dam, nie był wyjątkiem wśród magnaterii.

Taki na przykład Marcin Mikołaj Radziwiłł, krajczy litewski, założył sobie hodowlę małych dzieci, które łapał po wsiach lub kupował od rodziców. Trzymał te nieszczęsne dzieci w zamknięciu i cierpliwie czekał, aż dojrzeją płciowo, aby je wówczas skonsumować. Aby żona i dzieci własne mu w tym nie przeszkadzały, zamknął je w drugim skrzydle pałacu i głodził w nadziei, że rozstaną się z tym światem długo przed nim. Jego rodzina, która także nie była święta, ale przy nim uchodzić mogła za zgromadzenie kwaków, postanowiła otoczyć go opieką, czyli innymi słowy zamknąć i nie wypuszczać, aby szkód i wstydu nie narobił. I tak Radziwiłłowie urządzili zajazd na dobra księcia, porwali go i uwięzili w sobie tylko znanym kierunku. Uwolniono biedne dziewczynki, którym szykował stary zboczeniec „los gorszy od śmierci” i wypuszczono z zamknięcia struchlałą z przerażenia małżonkę¹⁷.

Z kolei Mikołaj Potocki, starosta kaniowski, kolejny posiadacz własnego haremu, znalazł dla kobiet, które uznał za zbyt leciwe, by mogły dogadzać mu w łożu, wielce oryginalne „zastosowanie”. Kazał im wchodzić na drzewa, zadzierać do góry spódnicę, a następnie strzelał ze śrutówki w ich wypięte zadki. Kiedy nieszczęsne niewiasty spadały z krzykiem na ziemię, on i towarzyszący mu mężczyźni dosłownie pokładali się ze śmiechu. Warto dodać, że magnat lubujący się w tak osobliwych rozrywkach miał ponad siedemdziesiąt lat.

Trudno powiedzieć, czy Ludwika Maria wiedziała, jakim ziółkiem jest adorator „małej d'Arquien”. Może nikt jej nie uświadomił o wybrykach Sobiepana, a może słyszała o nich, ale je zbagatelizowała, sądząc, iż mężczyzna, poślubiwszy śliczną Marysieńkę, pod jej wpływem zmieni się w kochającego i dobrego męża, bez zarzutu wywiązującego się z obowiązków głowy rodziny. Z pewnością miała na uwadze dobro wychowawcy, sądziła, że swatając ją z bajecznie bogatym Zamoyskim, sprawi, że Marii Kazimierze nie zabraknie ptasiego mleka. Przyszłość miała pokazać, że bardzo się w tych rachubach pomyliła. Wydając swoją pupilkę za Sobiepana, wyświadczyła jej iście niedźwiedzią przysługę.

Tymczasem Jan Sobieski nie mógł zapomnieć o czarnych oczach uroczej Francuzeczki, którą ujrzał w 1655 roku na zamku, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że nie ma najmniejszych szans na jej poślubienie, i to pomimo że zdążył w międzyczasie zaskarbić sobie sympatię Ludwiki Marii swoimi sukcesami w wojnie ze szwedzkim najeźdźcą. W dowód uznania Jan Kazimierz nadał mu nawet, wakujące po śmierci Krzysztofa Koniecpolskiego, grodowe starostwo stryjskie. Ale wciąż nawet nie mógł marzyć, by królowa oddała mu za żonę swoją ulubienicę. Zresztą nadal żyła jego matka, niechętna związkowi jedyne go syna z kobietą niskiego, zwłaszcza w porównaniu do Sobieskich, rodu, w dodatku cudzoziemką. Pani Teofila wymarzyła sobie na synową którąś z Radziwiłłowien. Mimo to wiadomość o planowanym ślubie Marii Kazimierzy z panem na Zamościu musiała być dla Sobieskiego wielkim ciosem.

Być może Ludwika Maria wydałaby za mąż „małą d'Arquien” za Zamoyskiego nieco później lub wcale, gdyby nie kolejny romans, w który wdał się kochliwy Jan Kazimierz. Jeszcze podczas pobytu królewskiej pary w Głogowie uwagę monarchy zwróciła jedna z dwórek królowej, panna Schönfeld. Kiedy okazało się, że po powrocie władcy do Warszawy romans trwa nadal, Ludwika Maria zagroziła, że usunie dziewczynę z dworu. Zakochany Jan Kazimierz nie chciał rozstawać się z kochanką, dlatego wymyślił iście szatański plan: postanowił wydać nadobną pannę za jednego ze swoich lojalnych poddanych, mając nadzieję, iż jej przyszły mąż zgodzi się, oczywiście za odpowiednią gratyfikacją, używać monarsze wdzięków swojej małżonki. Jego wybór padł właśnie na Zamoyskiego. Nie wiemy, jak Sobiepan zapatrywał się na plany Jana Kazimierza, ale prawdopodobnie zgodziłby się na ich realizację, chociaż był wyraźnie zauroczony Marysieńką. Pannie Schönfeld też na urodzie nie zbywało, dlatego Zamoyski bez specjalnych oporów mógłby zastąpić nią ulubienicę Ludwiki Marii. Poza tym, żeniąc się z królewską kochanką, nie musiałby odprawiać z Zamościa swojego haremu.

Wtedy do akcji wkroczyła jednak Ludwika Maria, dając Sobiepanowi wyraźnie do zrozumienia, iż widzi w nim męża Marii Kazimierzy. W takiej sytuacji pan na Zamościu oświadczył się o rękę dziewczyny i oczywiście został przyjęty, tym bardziej że w prezencie ślubnym ofiarował swojej wybrance milion talarów jednorazowo, 12 tysięcy rocznie na drobne wydatki oraz, dodatkowo, 4 tysiące dochodów ze starostwa. Królowa była uszczęśliwiona, Marysieńka również, natomiast Jan Kazimierz chodził z nosem spuszczonej na kwintę. Wystrychnięty na dudka przez swoją żonę, postanowił wydać pannę Schönfeld za francuskiego dyplomatę rezydującego w Polsce. Niestety los szykował mu niemiłą niespodziankę — jego

kochanka nieoczekiwanie zakochała się we własnym mężu i niedługo po ślubie wyjechała z nim za granicę, porzucając polskiego króla.



Katedra w Zamościu, miejsce spoczynku Jana Sobiepana Zamoyskiego, pierwszego męża Marii Kazimiery d'Arquien

Rozdział 5
Pani Zamoyska

Józef Ignacy Kraszewski w poświęconym Janowi III Sobieskiemu rozdziale swojego dzieła *Wizerunki księżąt i królów polskich* pisze, iż mimo że Marysienkę wydano za mąż za potężnego Zamoyskiego, ona sama, ponoć za namową Marii Ludwiki, wciąż miała Sobieskiego nadzieją. „Przyszła królowa tak wszystko liczyła, ażeby nic nie stracić. Pożycie ze starym nie było ani zgodne, ani szczęśliwe; po cichu trzymano chorążego na pasku, karmiono go listami, wysługiwano się nim; kazano mu rosnać, aby stał się godny ręki obiecanej”¹⁸. Przytoczone zdanie, podobnie jak twierdzenie Kraszewskiego, że wychowanie przyszłej pani Sobieskiej przez rozpieszczającą ją Ludwikę Marię uczyniło z niej istotę „samolubną i obrachowaną”¹⁹, było zgodne z opinią, jaką w ówczesnej historiografii cieszyła się Maria Kazimiera d’Arquien. Dziś wiemy, że jest to osąd bardzo dla Marysienki krzywdzący, a teza, jakoby trzymała Sobieskiego „na pasku”, zupełnie mija się z prawdą. Wychodząc za Zamoyskiego, uroczą Francuzka nawet nie pamiętała o przystojnym chorążym, a z pewnością nie rozpatrywała jeszcze jego kandydatury pod kątem ewentualnego zamążpójścia. Zresztą Sobiepan, gdy wraz z Marysienką stanął na ślubnym kobiercu, nie był, jak twierdzi Kraszewski, starcem, ale młodym mężczyzną w sile wieku — miał trzydzieści jeden lat i był co prawda starszy od Sobieskiego, ale zaledwie o dwa lata! Maria Kazimiera nie mogła więc liczyć na szybkie wdowieństwo i poślubienie zakochanego w niej podchorążego.

Ponieważ rodzice Marysienki, przebywający we Francji, zapewne z powodu trudności finansowych wечно nękających rodzinę d’Arquien nie mogli przybyć do Polski, by uczestniczyć w przygotowaniach do ślubu swojej córki ani w samej ceremonii zawarcia małżeństwa, wszystkim zajęła się królowa Ludwika Maria. Przede wszystkim dopilnowała szczegółów umowy przedmałżeńskiej, po podpisaniu której wyprawiono wystawną ucztę, a po niej huczny bal. Nazajutrz odbyły się zaręczyny. Zgodnie ze zwyczajem jeden z przyjaciół narzeczonego wygłosił na ceremonii orację, wychwalając zalety Sobiepana, a następnie poprosił króla i królową o oddanie panny adoratorowi. Kiedy oboje królestwo wyrazili zgodę, Jan Zamoyski ofiarował narzeczonej pierścień w bogatej oprawie i bardzo kosztowny diadem.

Matka chrzestna panny młodej, pragnąc uwypuklić doniosłość małżeństwa swojej ukochanej dwórki z najbogatszym człowiekiem w państwie, postanowiła wzorować się na relacji ze ślubu dziadka pana młodego po mieczu, Jana Zamoyskiego, który 12 czerwca 1583 roku poślubił bratanicę króla Stefana Batorego, Gryzeldę. Królewska protektorka zafundowała nawet swojej ulubienicy swego rodzaju wieczór paniński, aczkolwiek nikt w ówczesnej Polsce czy Europie nie znał tego zwyczaju. Ów wieczór miał miejsce w ekskluzywnej łaźni, będącej odpowiednikiem współczesnego spa. Opis owej ceremonii zawdzięczamy pewnemu francuskiemu pamiętnikarzowi, który przebywał wówczas w Warszawie. Niestety nie wiadomo, skąd ów przybysz znał szczegóły dotyczące przebiegu owego wydarzenia. Niewykluczone, że było ono tak niezwykle, iż komentowano je w stolicy. Przecież niemożliwe, by mężczyzna był świadkiem kąpieli przyszłej panny młodej w towarzystwie jej przyjaciółek. W każdym razie Francuz skrupulatnie zapisał, iż:

Panna d’Arquain [właśc. Arquien] zaprosiła przyjaciółki swoje, by się z nią kompać przyszły. Zebrawszy się wszystkie, udały się do sali przeznaczonej do kompieli. Znajduie się tam niezmierna wmurowana wanna, do której po sześciu stopniach się schodzi. Gdy podług przyiętych obrządków rozebrano Pannę młodą, kompała się z przyjaciółkami swemi w pachnących wodach, lejących się z rur srebrnych. Gdy się narzeczona kompie, Zamoyski kazał zanieść do innego pokoju gotowalnię złocistą,

wysadzaną dużymi perłami, formującymi cyfry nowożeńców, i więzy miłości. Zwierciadło i inne naczynia były równej piękności i ceny, lecz równać się nie mogło szlafrokowi z soboli, i innym najwspanialszym sukniom. [...] Gdy nadeszła chwila wyjścia z kompieli, dwunastu młodych Paziów w liberyi Ordynata, każdy z iarzącą pochodnią w ręku, stanęło u drzwi, i odprowadziło ią do drugiego pokoju, gdzie Pan ich czekał na nią²⁰.

Ceremonia ślubna odbyła się dopiero następnego dnia, czyli 3 marca 1658 roku, w kaplicy zamkowej, w obecności króla Jana Kazimierza i jego małżonki, a zarazem matki chrzestnej panny młodej, królowej Marii Ludwiki Gonzagi. Obecni byli także wszyscy dworzanie oraz przyjaciele państwa młodych. Zabrakło chorążego Jana Sobieskiego, ale wieści o hucznych zaślubinach jego bogdanki zapewne dotarły także i do niego.

Zarówno ślub, jak i wesele państwa Zamoyskich były bardzo wystawne, nie mogło zresztą być inaczej, skoro na ślubnym kobiercu stanął najbogatszy człowiek ówczesnej Rzeczypospolitej i wychowanica królowej. Do kościoła, a w zasadzie do kaplicy zamkowej, młodych odprowadzał orszak, w skład którego wchodziło stu hajduków, stu lokajów, rzesza paziów i jeźdźców. Uroczystości weselne trwały aż pięć dni, i to pomimo trwającej zawieruchy wojennej — wszak Rzeczpospolita wciąż wojowała ze Szwecją.

Zanim Sobiepan wprowadził do Zamościa swoją nowo poślubioną małżonkę, musiał pozbyć się haremu, który umiłał mu jego kawalerski żywot. Plotkowała o tym cała Rzeczpospolita, a barokowy poeta Jan Andrzej Morsztyn, zainspirowany owym wydarzeniem, napisał nawet wiersz pod wymownym tytułem *Paszport kurwom z Zamościa*:

*Zośka z Zamościa, Baśka z Turobina,
Jewka ze Zwierzyńca, z Krzeszowa Maryna.
Te cztery kurwy, z piątą panią starą
Pod dobrą idą na wędrówkę wiarą.
Służyły wiernie, póki pański długi
Kuś potrzebował ich pilnej usługi.
Teraz, że z ślubną związku zawarte żonę,
Precz ich zapewne od dworu wyżeną.*

W ten sposób, dzięki niepozbawionemu humoru i bezpruderyjnemu mistrzowi pióra, dla potomności zachowały się imiona kobiet należących do haremu Sobiepana. Hulaszczy tryb życia Zamoyskiego pozostawił na nim trwały ślad w postaci choroby wenerycznej, którą zaraził się bądź od którejś z wymienionych wyżej dam, lub we wczesnej młodości, w czasie tury kawalerskiej. Magnat należał bowiem do tej grupy młodych panów, którzy miast teatrów i galerii zwiedzali głównie zagraniczne domy rozpusty. Krótco po ślubie musiało dojść do zaostrzenia choroby, ponieważ państwo młodzi spali oddzielnie: Maria Kazimiera w wygodnym małżeńskim łóżu, natomiast jej małżonek na kobiercu położonym na podłodze obok, o czym doniósł królowej Ludwice Marii jeden z dworzan Sobiepana, szpiegujący nowożeńców na polecenie królowej. Przyczyną separacji od łoża nie mogło być nadużywanie alkoholu, jak sugerują niektórzy biografowie Marysieńki, gdyż z późniejszej korespondencji dworaka wynika, że małżeństwo zostało skonsumowane wyjątkowo późno, bo dopiero w miesiąc po ślubie. Współżycie z wenerykiem miało swoje przykre konsekwencje — nieszczęsna Maria Kazimiera zaraziła się

od męża kiłą, co spowodowało jej późniejsze kłopoty z donoszeniem ciąży i problemy zdrowotne jej potomstwa.

I tu dochodzimy do dość drażliwej kwestii. Wydaje się, że Marysieńka, która często jeździła do Francji na kuracje, została z choroby wyleczona, skoro dzieci jej i Sobieskiego nie miały symptomów kiły wrodzonej, ale stosowane wówczas lekarstwo — maść rtęciowa, miało poważne skutki uboczne. Doktor hab. n. med. Janusz Kubicki, który, jako wielki pasjonat historii, badał zagadnienie zdrowia polskich monarchów, twierdzi wręcz, iż „maść rtęciowa, którą ją leczono, zabiła wprawdzie krętki blade powodujące kiłę, ale skutkiem ubocznym kuracji było wypadnięcie włosów i zębów”²¹. Czyżby więc Jan III Sobieski, Lew Lechistanu, szalał z pożądania za łysą i bezzębną damą? Być może jednak udało się uniknąć przykrych konsekwencji, skoro, co wiemy z listów króla, Marii Kazimiery maść nie pozbawiła włosów łonowych, a przecież rtęć wcierano głównie w miejsca intymne. Kiedy jej małżonek wyjeżdżał, wyskubywała kilka z nich i słała mu w liście, a wdzięczny mąż w odpowiedzi dosłownie rozplątywał się z zachwytu nad tą osobliwą przesyłką, pisząc: „Nic tak ślicznego koloru i tak delikatnego nie było pod słońcem. Wszystkie moje kłopoty i myślenia, gdzie to mieć i gdzie to chować, aby nie przestając całować patrzeć na to”²². Z całą pewnością Marysieńka miała ubytki w uzębieniu, gdyż już we wczesnej młodości nękała ją próchnica, wywołująca silne bóle zębów, a w konsekwencji także migrenę. W owych czasach owe dolegliwości leczono w jeden sposób — usuwając zepsute zęby. O tych kłopotach z uzębieniem wiemy z relacji nadwornego lekarza króla Jana III Sobieskiego, Irlandczyka, Bernarda O’Connora. Na szczęście dla Marii Kazimiery w czasach, w jakich przyszło jej żyć, niekompletny uśmiech był tak powszechny u przedstawicieli obu płci, że bynajmniej nie uważano go za mankament urody i nawet bardzo szczerbate panny uchodziły za piękności.

Nieszczęsna Marysieńka zapewne nie zdawała sobie sprawy, na jakie niebezpieczeństwo się naraża, wywiązując się z małżeńskich obowiązków. Poza tym, przynajmniej w pierwszym okresie małżeństwa, szczerze kochała Zamoyskiego, o czym świadczą jej listy pisane pełną błędów polszczyzną. Nazywała w nich męża „kochanym Tiaptutą”, ale kiedy swoim postępowaniem rozsierdził ją do białości, groziła mu: „nie będę cie miała za sinka, ale za gnoyka, szfinia ty, i nie będziesz ciacia”²³. Ale kiedy wyjeżdżał, bardzo tęskniła i pisała: „Wracaj Wć jak najspieszniej, najdroższe serce moje [...] nie oddawaj się Wć swawoli”²⁴, a potem: „Wci kochaną buzię w imaginacji milion razy całuję”²⁵. Dla ukochanego męża gotowa była się przemóc i nauczyć pić alkohol, którego nie cierpiała. W jednym z listów złożyła obietnicę: „Z miłości do Wci nauczyłam się pić trochę wina; na waści powrót wypiję go pół szklanki”²⁶. Marysieńka co prawda opanowała język polski bardzo dobrze, ale jedynie w mowie, pisząc, robiła, jak widać w zacytowanym fragmencie, okropne błędy. Później, już jako żona Sobieskiego, posługiwała się swoistą mieszanką wykwentnej francuszczyzny i języka polskiego.

Ku niekłamanemu niezadowoleniu Marii Kazimiery jej małżonek krótko po ślubie postanowił wrócić do swoich kawalerskich zwyczajów i wolał spędzać czas na popijawach z przyjaciółmi niż z piękną żoną. Bardzo często też zostawiał Marysieńkę samą i wyjeżdżał, by dokonać oglądu swoich rozległych włości czy też spotkać się z tak zwanymi klientami, czyli szlachtą nieposiadającą własnej ziemi i najmującą się na służbę u majątnej magnaterii — patronów. Owe wyjazdy były niezbędne i zabierały Sobiepanowi sporo czasu, podobnie zresztą jak innym magnatom. Maria Kazimiera, od dziecka mieszkająca w Polsce, powinna być przygotowana na taką ewentualność i wiedzieć, czego oczekuje się od małżonki właściciela potężnego latyfundium, która musiała się zajmować nadzorem nad służbą i domem, rodzić i wychowywać

dzieci, a czasem, w razie konieczności, zastępować małżonka. Pytanie tylko, czy rozpieszczana przez królową panna rzeczywiście gotowa była do przejęcia owych obowiązków.

Osamotnionej kobiecie, przyzwyczajonej do dworskiego życia pełnego rozmaitych rozrywek, zaczęła doskwierać nuda. Na domiar złego przyjaciele Zamoyskiego usiłowali nastawić go przeciwko żonie, co im się w końcu udało. Sobiepan z czasem stracił zupełnie zaufanie do swojej francuskiej małżonki, ograniczając jej swobodę i praktycznie uniemożliwiając zarząd domem i majątkiem. Służba, świadoma tego faktu, otwarcie ignorowała jej polecenia, traktując ją jak intruza, a nie swoją panią. A tymczasem Maria, która — wbrew temu, co twierdziła historiografia z XIX i początków XX stulecia — była kobietą inteligentną, w mig zorientowała się, że potężny majątek jej męża jest wyjątkowo nieudolnie zarządzany, w efekcie czego rozległe dobra Zamoyskich dosłownie tonęły w długach. Gwoli sprawiedliwości trzeba dodać, iż to ostatnie wojny, w tym ze zbuntowanymi Kozakami pod wodzą Chmielnickiego i ze Szwedami, mocno zrujnowały majątek Sobiepana i zaciągnięcie pożyczek stało się koniecznością. Maria Kazimiera już na początku małżeństwa zajęła się kwestią uporządkowania małżeńskich dóbr, ale służba bardzo szybko wybiła jej ten pomysł z głowy. Tymczasem pani Zamoyska doskonale zdawała sobie sprawę, że skoro w przyszłości cały majątek odziedziczą jej dzieci, musi usprawnić system zarządzania nim. A że jej małżonek wykazywał się w tej dziedzinie zupełną indolencją, poważyła się nawet na dość ryzykowny krok, by doprowadzić do uznania Sobiepana za osobę niepoczytalną, dzięki czemu mogłaby przejąć nadzór nad jego majątkiem i w końcu wyprowadzić go z długów. W realizacji owych planów przeszkodzili jej jednak zaufani ludzie i przyjaciele Zamoyskiego.

Sobiepan, trzymając małżonkę z dala od spraw związanych z gospodarzeniem jego dobrami, pozwalał jej się bawić i robić zakupy, co bardzo poprawiało humor Marii Kazimiery. Wojewodzina sandomierska zamawiała sprawunki w Warszawie, ale nie jeździła sama do stolicy, tylko prosiła o pośrednictwo mieszkających tam przyjaciół, włącznie z jej możną protektorką, Ludwiką Marią, doradzającą jej w kwestii zakupu biżuterii. W Zamościu organizowała bale karnawałowe i kostiumowe, a nawet przedstawienia teatralne. Zamiłowanie do teatru i opery pani Zamoyska wyniosła jeszcze z czasów młodości na dworze Wazów, gdzie funkcjonował doskonale wyposażony teatr, założony przez króla Władysława IV. Wystawiano w nim głównie opery włoskie, których inscenizacje wzbudzały niekłamaną podziw cudzoziemców. Monarcha, który zakochał się w operze podczas swojej tury kawalerskiej, przebywając w słonecznej i rozśpiewanej Italii, sprowadził do Polski wybitnie uzdolnionego inżyniera włoskiego, Bolzonięgo. Fachowiec na polecenie Władysława IV konstruował i tworzył wymyślne maszyny do teatru operowego, znacznie uatrakcyjniające wystawiane sztuki. W efekcie funkcjonujący na zamku w Warszawie teatr stał się wręcz unikatem na skalę europejską, gdyż tak nowoczesnej sceny teatralnej, wyposażonej w urządzenia do efektów specjalnych, nie posiadał żaden z dworów w Europie. Dzięki Bolzoniemu widzowie mogli nie tylko słuchać najwybitniejszych włoskich śpiewaków swojej epoki, ale także podziwiać w trakcie przedstawień sztuczne błyskawice i gromy, oglądać okręty pływające po morzu i zmagające się z morskimi nawałnicami. Jakby tego było mało, występujący na scenie aktorzy latali w powietrzu (oczywiście podczepieni na specjalnych linach), a nawet... zapadali się pod ziemię. O warszawskich premierach głośno było w całej Europie.

„Zarażona” miłością do teatru i opery Maria Kazimiera także i w Zamościu starała się wystawiać rozmaite sztuki, pracując nad inscenizacjami w dworskim teatrze. Nawiasem mówiąc, teatralną pasję swojej małżonki podzielał także Sobiepan, który jeszcze jako kawaler założył

w Zamościu teatr z prawdziwego zdarzenia. Warto odnotować, że to właśnie na deskach zamojskiego przybytku Melpomeny odbyła się w 1661 roku (dwa lata wcześniej niż w królewskim teatrze w Warszawie) premiera słynnej tragedii Corneille'a *Cyd* w tłumaczeniu Andrzeja Morsztyna. Oczywiście inscenizacja tym daleko było do warszawskich spektakli, ale znudzonej pani Zamoyskiej skutecznie poprawiały humor. A nieszczęsna Marysieńka miała powody do zmartwień, i to bardzo poważne. Nie tylko dlatego, że na skutek złego zarządzania dobrami przez Sobiepana zabrakło jej pieniędzy na opłacenie służby i że dworzanie jej męża traktowali ją jak intruza, o nienawidzącej jej siostrze Sobiepana, Gryzeldzie, nie wspominając. Jej szwagierka przebywała w Zamościu razem z synem od śmierci męża, księcia Jeremiego Wiśniowieckiego, w 1651 roku i uważała, że jako siostra magnata ma więcej do powiedzenia niż jego żona. Czuła się zresztą lepsza od bratowej, wywodzącej się ze zubożałej francuskiej szlachty, wszak była córką Tomasza Zamoyskiego i księżnej Katarzyny z Ostrogskich. Z pewnością była lepiej wykształcona od Marii Kazimiery, skoro w młodości, podobnie jak jej młodszego brata, uczyli ją profesorowie słynnej Akademii Zamojskiej, a panna, co było pełnym ewenementem wśród przedstawicielek płci pięknej, nawet wywodzących się z możliwych rodów, studiowała te same przedmioty co uczący się w tej placówce mężczyźni. Mężem Gryzeldy był ubóstwiany przez szlachtę książę Jeremi Michał Wiśniowiecki, pan na Wiśniowcu i Łubniach, skuteczny pacyfikator powstań kozackich, z którym doczekała się syna, Michała. Przepych jej dworu przewyższał nawet luksus panujący na dworze Wazów, o czym osobiście przekonała się Ludwika Maria, kiedy wraz z Janem Kazimierzem zawitała do majątku Wiśniowieckich. W prezencie od gospodarzy dostała poszóstną karetę, obitą wewnątrz czarnym aksamitem i złotą lamą. Kosztowne dary otrzymali także wszyscy dworzanie i królewska służba, a części panien z fraucymeru królowej tak bardzo spodobała się hojność Wiśniowieckich, że przeszły na służbę księżnej Gryzeldy, za nic mając zaszczyt bycia dwórką Ludwiki Marii.

Bogata i ustosunkowana księżna zapewne sądziła, że jej brat, żeniąc się z panną d'Arquien, popełnił mezalians. Fakt, iż jej bratowa była ulubienicą królowej, nie miał tu nic do rzeczy. Gryzelda była na tyle perfidna, że dokuczała Marii Kazimierze nawet podczas swojej nieobecności, przydzielając jej służącą, która skutecznie uprzykrzała życie nowej pani.

Te wszystkie niedogodności zapewne Marysieńka znosiłaby bez szemrania, gdyby doczekała się wymarzonych dzieci. Kiedy jednak wkrótce po ślubie zaszła w upragnioną ciążę, znosiła ten stan tak źle, że obawiała się, iż umrze w połogu. Nie umarła, ale jej pierwsze dziecko, dziewczynka, było chorowite i słabe i odeszło z tego świata, przeżywszy zaledwie miesiąc. Druga ciąża zakończyła się poronieniem, kiedy Maria wypadła z sań. Te traumatyczne wydarzenia zupełnie ją załamały. Na pocieszenie ze strony męża nie mogła liczyć, ponieważ nurzający się w pijaństwie Zamoyski zaczął miewać napady szału, będące niewątpliwie symptomem trapiącej go choroby alkoholowej. Pewnego dnia rzucił się na Bogu ducha winnego sługę, którego miał zamiar zabić. W sukurs nieszczęśnikowi przyszła sama Maria, szpadą broniąc go przed szaleńcem. Mimo tych perturbacji Maria Kazimiera robiła, co mogła, by jej małżeńskie stadło funkcjonowało normalnie — dbała o męża, obsypywała go prezentami i pisała do niego pełne oddania listy. Na próżno. Małżonkowie stopniowo oddalali się od siebie, a Zamoyski coraz bardziej niedomagał, tracąc rozum, co było nie tylko efektem jego opilstwa, ale także pogłębiającej się kiły. Nadal szastał pieniędzmi, a w czasie suto zakrapianych uczt ustawiał na stołach piramidy z dukatów, by następnie obdarowywać nimi swoich pijackich kompanów. Żona i jej problemy z urodzeniem dziecka niespecjalnie go obchodziły. Marzącej o macierzyństwie Marii udawało się jednak zaciągać męża do łóżka, skoro w 1660 roku znów

była w ciąży. I tym razem czuła się bardzo źle, co zaniepokoiło jej protektorę, królową Ludwikę Marię. Na wieść o kłopotach swojej wychowawicy bezzwłocznie sprowadziła ją do Warszawy.

Marysienka nie była pierwszą ciężarną dwórką, która czekała na poród na dworze, otoczona opieką najlepszych medyków i położnych. Monarchini dbała o wszystkie swoje podopieczne, a kiedy były w ciąży, często brała je pod swoje skrzydła, ciesząc się z każdego narodzonego dziecka. Jej samej nie dane było zaznać rozkoszy długiego macierzyństwa, aczkolwiek po posłubieniu Jana Kazimierza, wbrew utyskującym na jej podeszły wiek malkontentom, dwukrotnie rodziła. Pierwsze dziecko przyszło na świat, kiedy miała trzydzieści dziewięć lat, a drugie, kiedy przekroczyła czterdziestkę. Od pierwszych dni swego małżeństwa z Janem Kazimierzem Ludwika nie ustawała w modlitwach, prosząc Boga o zdrowe dziecko, najlepiej syna, ale jednocześnie bała się ciąży i porodu. Miała powody do obaw, gdyż nadworny astrolog, stawiając jej horoskop, przepowiedział, że umrze, wydając na świat potomka. Dlatego ilekroć nabierała podejrzeń, że może być w błogosławionym stanie, miewała napady lęku, który wraz z rozwojem płodu nabierał cech obsesji. Uspokoić ją umiała tylko jedna osoba — przeorysza karmelitanek, Teresa Marchocka. Monarchini, bojąc się poronienia, podróżowała lektyką, unikała jazdy powozem, nosiła specjalny ochronny pas z niedźwiedziej skóry, dużo spacerowała i nie przejadała się.

Kiedy wydawała na świat swoje pierwsze dziecko, mogło wydawać się jej samej i jej otoczeniu, że złowroga przepowiednia się spełni, gdyż poród był wyjątkowo długi i ciężki. Nieszczęsna królowa cierpiała katusze, a tymczasem część zgromadzonych wokół niej medyków i położne twierdziły, że mają do czynienia z porodem pośladkowym, inni stanowczo temu zaprzeczali, natomiast jej królewski małżonek, jak na prawdziwego mężczyznę przystało, biegał tam i z powrotem w rozpacz. W końcu, nie mogąc znieść dłużej krzyków rodzącej żony, schronił się w najdalszych komnatach zamku. Ostatecznie wszystko dobrze się skończyło. Na świat przyszła ledwie żywa dziewczynka, ale fakt jej narodzin niezwykle ucieszył króla, chociaż ten spodziewał się syna. Niestety, „królewiczka”, jak nazywano córeczkę królewskiej pary, Maria Anna Teresa, przeżyła zaledwie rok. Pewnym pocieszeniem dla zbolełych rodziców był fakt, że Ludwika w chwili śmierci królowny była od trzech miesięcy w ciąży. Tym razem na świat przyszedł chłopiec, Jan Zygmunt, niestety i w tym przypadku okrutny los nie dał Ludwice zbyt długo cieszyć się upragnionym dzieckiem, ponieważ jej synek zmarł, przeżywszy zaledwie miesiąc. Te bolesne przeżycia sprawiły, iż doskonale rozumiała strapienia pani Zamoyskiej i, zapewne jako jedna z nielicznych osób, potrafiła ją pocieszyć.

Jednak Marysieńce nie dane było urodzić kolejnego dziecka w Warszawie, korzystając z opieki matki chrzestnej, gdyż zanim doszło do rozwiązania, jej mąż stanowczo zażądał, by wróciła do domu. Cóż było robić? Posłuszna małżonkowi pani Zamoyska czym prędzej spakowała manatki i wyruszyła w drogę, pomimo wyraźnego sprzeciwu królowej, zaniepokojonej stanem zdrowia swojej chrześniaczki. Tymczasem, zanim Marysienka dotarła do Zamościa, jej małżonek zdążył wyjechać w kolejny objazd po swoich włościach i nieszczęsna kobieta znów była sama, nękana obawą o zdrowie swoje i swego nienarodzonego dziecka. Na szczęście tym razem los okazał się dla Marysieńki łaskawszy, ponieważ urodzona w grudniu 1660 roku Katarzyna Barbara była co prawda wątła i chorowita, ale żyła, przysparzając niemało radości swojej matce.

Pani Zamoyska znalazła sobie w międzyczasie także innego pocieszyciela. Był nim zupełnie przez nią zapomniany, niegdysiejszy adorator, chorąży koronny Jan Sobieski, przebywający

wówczas w swoim majątku Pielaszkowice, położonym niedaleko Zamościa. Dziś trudno powiedzieć, kto z nich pierwszy zainicjował korespondencję, czy był to Sobieski, wciąż śniący o czarnych oczach swojej bogdanki, czy też Marysienka, znudzona życiem żony wiecznie nieobecnego i niestroniącego od kieliszka magnata. Z całą pewnością przystojny, zwłaszcza w porównaniu z niewysokim i zapijaczonym Zamoyskim, chorąży bywał w Zamościu, Sobiepan uważał go bowiem za swego przyjaciela. Bywał także na dworze królewskim w Warszawie, a Marysienka spragniona była wieści i ploteczek ze stolicy. Poza tym pani Zamoyska mogła wykorzystać go jako pośrednika w robieniu zakupów w stolicy, gdzie łatwiej niż w Zamościu można było dostać sprowadzane z zagranicy koronki, holenderskie płótno czy biżuterię. Obarczony takim nietypowym zadaniem Sobieski bynajmniej nie narzekał na swój los, skrupulatnie wypełniając wszystkie polecenia Marii Kazimiery. Mało tego, kobieta uczyniła z niego doradcę w swoich małżeńskich problemach, a kiedy samotnie oczekiwała na narodziny Katarzyny Barbary, właśnie jego prosiła, aby nakłonił Sobiepana do powrotu do domu. Pisała: „Jeżeli urodzę mu pięknego syna, który będzie się bił równie dobrze jak jego tatuś, i powierzę go panu, aby się od pana nauczył wszystkich tych pięknych czynów, których pan dokazuje co dzień; jeżeli będzie córka, będzie pan miał do niej pierwsze prawa”²⁷. Krótko mówiąc, Zamoyska wybrała Sobieskiego na męża swojej nienarodzonej jeszcze córeczki.

Początkowo korespondencja tych dwojga miała zupełnie niewinny charakter i dotyczyła głównie dworskich plotek, ale również rozmaitych wydarzeń politycznych oraz innych, przyziemnych spraw. Wydaje się, że mimo iż Marysienka traktowała Sobieskiego jako przyjaciela i powiernika, o tyle on po tej korespondencyjnej znajomości obiecywał sobie znacznie więcej, o czym pani Zamoyska przekonała się, kiedy przystojny chorąży odwiedził ją w 1660 roku. Wówczas, jak wynika z listów tych dwojga, najwyraźniej wciąż zakochany mężczyzna pozwolił sobie wobec niej na zbyt wiele, otrzymując stanowczą odprawę. Na krótko wymiana listów między nimi ustała, a Jan zachodził w głowę, jak odzyskać sympatię ukochanej. W końcu wpadł na oryginalny pomysł i wysłał jej w prezencie karła Muszkę. W tym miejscu warto dodać, że modę na posiadanie karłów na dworze rozpętała Katarzyna Medycejska, która jako pierwsza władczyni przywiozła malutkich błaznów do Paryża. Prawdziwe apogeum owej mody przypadło jednak na czasy baroku i rokoka, kiedy ludzie cierpiący na karłowatość, czyli niedobór wzrostu, cieszyli się wielką popularnością na dworach arystokracji i monarchów całej Europy, zwłaszcza jeżeli byli inteligentni i cechowali się błyskotliwym dowcipem. Wówczas robili zawrotną karierę, dorabiając się niemałego majątku. Faktem jest, że traktowano ich nie jak istoty ludzkie, ale raczej jak żywe zabawki, ubierając błaznów w wymyślne stroje i często otwarcie kpiąc z ich ułomności, a nawet wręczając ich w charakterze żywych prezentów czy zapisując w spadku jako składnik majątku ruchomego. Ale prawdą też jest, iż karłom nie działa się krzywda, dlatego w spokoju i dostatku dożywali swoich dni na dworach chlebobawców. Wielu z nich wiodło się zresztą o wiele lepiej niż ich krewnym obdarzonym normalnym wzrostem. Z czasem jednak popyt na karły stał się tak duży, że rozmaici oszuści i amatorzy łatwego zarobku kupowali niemowlęta z ubogich rodzin, a następnie krępowali ich maleńkie ciała bandażami, związując je dostatecznie mocno, by uniemożliwić ich wzrost, a także kąpali nieszczęsne maleństwa w alkoholu lub poili je wódką i piwem. Skutek owych barbarzyńskich praktyk był tragiczny. Zdarzało się to przede wszystkim w Hiszpanii, gdzie niemal każdy arystokrata chciał mieć w swoim domu jak największą drużynę karłów. W Polsce takie przypadki nie miały miejsca, a przynajmniej kroniki o nich nie wspominają. Na dworze polskich Wazów karły, zwane niziołkami, pełniły nawet role nauczycieli szermierki, szkoląc w tej trudnej

sztuce małych królewiczów, synów Zygmunta III Wazy.

Podarowany przez Sobieskiego karzeł najwidoczniej przypadł Marysieńce do gustu, gdyż wznowiła korespondencję, dziękując chorążemu za prezent i puszczając w niepamięć incydent, jaki miał miejsce podczas ich ostatniego spotkania. Odwdzięczyła się adoratorowi, przysyłając mu swój ulubiony szkaplerz oraz złoty krzyżyk, by, jak pisała w liście, który dołączyła do prezentów: „znaleziono przy Wci znak chrześcijanina, w razie gdybyś Wć został zabity”²⁸. Żeby jednak jej adorator nie obiecywał sobie zbyt wiele po tych podarunkach, dodała: „nie wyobrażaj sobie Wć, że to jakiś dowód mojej szczególnej łaski”²⁹. Z czasem sprytny Muszka przedzierzgnął się w zaufanego człowieka Marysieńki, jednego z nielicznych na dworze jej męża, jak również w doręczyciela korespondencji między jego panią a Sobieskim.

Owa korespondencja zaś zaczęła wkrótce przybierać zgoła inny niż przyjacielski charakter — bardziej osobisty, a w końcu intymny. Doszło do tego, że pani Zamoyska prosiła adresata swoich listów, by otrzymane od niej pisma wrzucał do ognia bezzwłocznie po przeczytaniu. Było to o tyle dziwne, że Marysieńka przybrała wobec starszego od niej, ale wciąż tkwiącego w stanie bezżennym mężczyzny pozę matki i opiekunki, udzielającej mu rad i napominającej go w razie potrzeby. Swojemu przyjacielowi, protekcyjnie nazywanemu przez nią „synkiem”, zwierzała się także ze swoich, wciąż narastających, kłopotów małżeńskich, pisząc na przykład, iż jej małżonek wychodzi nad ranem z jej sypialni, a potem ona nie widzi go już do późnych godzin wieczornych. Zdaje się, że urodzona kokietka chciała w ten sposób wzbudzić zazdrość adresata listów, bo informacja o wychodzeniu męża z sypialni rano wyraźnie sugeruje, iż wcześniej Sobiepan spędził z nią noc. Wizja ukochanej w ramionach innego mężczyzny dopiekle Sobieskiemu tak bardzo, że musiał to sobie zrekompensować małymi orgietkami w łaźni, z udziałem Czerkiesek i Wołoszek, starając się jednocześnie, by wieści o owych ekscesach dotarły także i do Zamościa. Ale chorąży wyraźnie się rozczarował, czytając odpowiedź pani Zamoyskiej, gdyż jej reakcja nie wskazywała na to, że udało mu się wzbudzić w niej zazdrość. „Bardzo się zmartwiliśmy, że Wci Jaworów spłonął, a w nim votre lasznia avec plusieurs Czerkieski, które uciekając przed zamieszkami na Ukrainie, schroniły się do Jaworowa; wiedziały dobrze, że znajdą w Wci opiekuna — a to nie byle jaka reputacja. Niech Wć uważa, żeby Wci nie zaśpiewano jeszcze raz: Czy ja toby nie mówiła, nie bery Wołoszki!”³⁰. Urażony wielbiciel znacznie ograniczył wysyłkę listów, za co dostało mu się po uszach od zagniewanej Marysieńki, dla której korespondencja z nim stanowiła jedną z nielicznych rozrywek w ponurym Zamościu.

Okolo 1660 roku pisane przez tych dwoje listy zaczęły zmieniać charakter, na co niewątpliwie miała wpływ lektura bardzo wówczas modnych francuskich romansów. Marysieńka czytała je od zawsze, a Sobieski zapoznał się z nimi właśnie dzięki pani Zamoyskiej, regularnie wysyłającej mu kolejne egzemplarze. Obojgu najwyraźniej szczególnie przypadła do gustu powieść z gatunku tak zwanych romansów pasterskich, pióra Honoré d’Urfé, pod tytułem *Astrea, opisująca miłosne perypetie pasterza Celadona i pięknej Astrei*. Owe romanse pasterskie opowiadały o wyidealizowanym, mającym niewiele wspólnego z rzeczywistością, sielankowym życiu pasterzy, cieszących się pięknem przyrody i poświęcających niewiele uwagi powierzonym ich opiece zwierzętom, które właściwie pasły się same, nie przysparzając problemów swoim opiekunom. A tymczasem pasterze przeżywali niewiarygodne wręcz przygody miłosne, które nie zawsze kończyły się szczęśliwie. I właśnie o takiej zakochanej parze opowiadał romans przesłany Sobieskiemu przez Zamoyską. Celadon i Astrea, chcąc zachować swój związek w tajemnicy, umówili się, że mężczyzna będzie udawał miłość do innej pasterki. Wkrótce sama

Astrea boleśnie przekonała się, że nie był to dobry pomysł, ponieważ udawane zaloty wzbudziły w niej jedynie zazdrość i zupełnie nieuzasadnione podejrzania o niewierność kochanka. Sytuacja, zgodnie z założeniami barokowej powieści, skomplikowała się jeszcze bardziej, a w końcu nieszczęśliwy Celadon popełnił samobójstwo. Na szczęście, dzięki interwencji nimfy Galatei, wszystko dobrze się skończyło: Galatei udało się uratować młodzieńca, a ten, po kolejnych, mniej lub bardziej skomplikowanych perypetiach, w końcu szczęśliwie połączył się z Astreą.

Zupełnie dla siebie nieoczekiwanie Sobieski i Marysienka ujrzeni w losach literackich bohaterów odbicie rodzącego się między nimi uczucia. Od tej pory przejęli role Celadona i Astrei i tak tytułowali siebie w kolejnych listach. Biografowie Marii Kazimierzy, omawiając tę kwestię, spierają się, czy w tym okresie była ona rzeczywiście szczerą przyjaciółką Sobieskiego, czy starała się świadomie rozbudzić w nim wielkie uczucie.

Niezależnie od wszystkiego miłość tych dwojga rozkwitła. Wciąż pisywali do siebie, posługując się specjalnym szyfrem, zgodnie z którym Sobieski nazywany był przez Marysienkę nie tylko Celadonem, ale także „Prochem”, „Sylwandrem” albo „Jesienią”, a on zwał swą ukochaną „Różą”, „Esencją” czy też „Jutrzenką” oraz oczywiście Astreą; oboje określali łączące ich uczucie „pomarańczami”.

A ponieważ nieszczęsna Astrea wciąż była żoną Zamoyskiego, w korespondencji nie mogło zabraknąć wzmianek o, coraz bardziej obojętnym Marysience, mężu, którego nazywano „Fujarą”, „Konieciem” bądź „Makrelą”. Gryzelda Wiśniowiecka, która zdążyła dość boleśnie zająć pani Zamoyskiej za skórę, otrzymała przezwisko „Basetla” lub „Brytfanna”. Oto, jak Maria opisywała Sobieskiemu sytuację w rezydencji męża: „Z Fujarą i Brytfanną siadam do stołu i widuję się tylko wtedy, kiedy nie można inaczej. Fujara się na mnie z tego powodu gniewa, ale choćby miał się gniewać jeszcze bardziej, to i tak będę się starała ich widywać jak najrzadziej”³¹. Nie wiadomo, czy imię „Makrela” domyślał się, że jego małżonka tuż pod jego nosem prowadzi korespondencję z sąsiadem, za sprawą którego na jego głowie może wyrosnąć malownicze poroże. Jest to mało prawdopodobne, ponieważ, w przeciwieństwie do swojej siostry, nie odznaczał się szczególną bystrością umysłu, którą z czasem zupełnie przytępiły wypijane przez niego hektolitry alkoholu. Bardzo trafnie określił go Boy w swojej książce poświęconej Marii Kazimierze: „dzielny żołnierz, ale bez większych talentów, jako głowa był raczej zerem. Wesoły kompan, hojny, rozrzutny nawet niedbały, kochający się w grubym zbytku, popularny, ordynarny, klnący rubaszenie, pijak, podagryk — niestety i coś więcej — nie był pan Jan Zamoyski miłym towarzyszem dla wykwintnej kobiety”³². Wspomniane przez Żeleńskiego „coś więcej” to oczywiście choroba weneryczna, na którą cierpiał pierwszy mąż Marysienki. Z kolei Gryzelda z pewnością nabrała podejrzeń, w których upewniły ją doniesienia zaufanych sług, z jej polecenia uważnie obserwujących małżonkę Zamoyskiego.

Jesienią 1661 roku para spotkała się w końcu w Warszawie i tam, w kościele karmelitów, zakochany Sobieski w obecności kapłana złożył Marii Kazimierze przyrzeczenie, iż ze względu na uczucie, jakim ją darzy, będzie żył samotnie i zachowa czystość. Marysienka jako poślubiona przed Bogiem i ludźmi żona Zamoyskiego takiego przyrzeczenia złożyć nie mogła, ale oboje nazywali to wydarzenie ślubami karmelickimi. Wówczas też para, niczym biorący ślub nowożeńcy, wymieniła się pierścionkami. W grudniu tego samego roku państwo Zamoyscy wyjechali do Warszawy, a towarzyszył im właśnie Sobieski. Marysienka co prawda nie miała nadziei na upojne chwile w ramionach ukochanego, ze względu na obecność męża i jego sług, ale cieszyła się, że będzie mogła spędzić z nim wspólnie święta i koniec roku. Niestety, czekała ją niemiła niespodzianka — Sobieski musiał zawrócić w pół drogi, gdyż dotarła do niego

wiadomość o śmierci matki. Pani Teofila odeszła na zawsze 27 października 1661 roku, a Jan musiał udać się do Żółkwi, by zająć się przygotowaniami do pogrzebu. Ku wielkiemu strapieniu Marii Kazimiery para w tym roku już się nie zobaczyła, co przesądna Francuzka uznała za zły omen dla ich przyszłości. Jak pisała strapiona do Sobieskiego: „kto się nie spotyka w Nowy Rok, nie spotka się potem przez cały rok”³³. Również karnawał zakochani spędzili osobno, a pani Zamoyska była tak rozczarowana tym stanem rzeczy, że nawet nie chciała jadać z mężem przy jednym stole.

Stosunki w stadle Zamoyskich pogarszały się dosłownie z dnia na dzień. Niemały wpływ na to miała Gryzelda, która, dowiedziawszy się o ślubach karmelickich Marysieńki i Jana, ze zrozumiałych względów utrzymywanych przez tę parę w sekrecie, zupełnie straciła szacunek dla swojej bratowej i jeszcze bardziej niż wcześniej utrudniała jej życie. Poirytowana Zamoyska, zmęczona ciągłymi utarczkami z dokuczającymi jej na polecenie Wiśniowieckiej sługami Sobiepana, zażądała od męża, by pozbył się tej części swoich służących, którzy szczególnie jej dopiekli i nie okazywali swojej pani należytego szacunku. Ten jednak stanowczo odmówił. W liście do jednego ze swoich przyjaciół, czy też raczej kumpli od kieliszka, pisał: „Ona chce, żebym wygnał moich ludzi, nie, nie rozstanę się z nimi nigdy, niech sobie jedzie, gdzie jej się podoba, nigdy tego nie zrobię dla niej”³⁴. Tym razem życzeniu Zamoyskiego stało się zadość — jego małżonka wyjechała „gdzie jej się podobało”, a konkretnie do Francji, pod pretekstem odwiedzin dawno niewidzianych rodziców i rodzeństwa. Musiała być rzeczywiście zmęczona atmosferą panującą w domu, skoro przed wyjazdem nie powstrzymała jej nawet choroba jej jedynej córki, Katarzyny Barbary. Wyjazd Zamoyskiej odbił się głośnym echem w całym kraju, wywołując niekłamane oburzenie.

Bez woli i wiadomości swego męża wzięwszy zły umysł i radę, zabrawszy dostatki i skarb, złoto, srebro, klejnoty, pieniądze, o których powiadano być miało 70 000, podmówiwszy sługę starszego i innych pacholąt do kilkunastu, ujeżdża do cudzej ziemi pod niebytność samego p. wojewody, który na sejmie bawił się w Warszawie. Lepiej było w domu się ożenić ze szlachcianką jaką polską, zdrowiej by było i pożyteczniej i każdemu takowemu dobrze taką żonkę pojmować rozpustnemu³⁵

— zanotował w prowadzonej przez siebie kronice, obejmującej wydarzenia z lat 1620–1673 i zatytułowanej *Latopisiec albo kroniczka różnych spraw i dziejów dawnych i terażniejszych czasów, z wieku i życia mego na tym padole* ruski szlachcic piszący po polsku, Joachim Jerlicz.

Pomimo że Sobieski nie był pani Zamoyskiej obojętny, wciąż walczyła o swoje małżeństwo. We Francji dołączyć miał do niej małżonek i para miała spędzić jakiś czas razem, z dala od pijackich kompanów Sobiepana i jego siostry, wiecznie knującej przeciwko Marysieńce. Ale Zamoyskiemu niezbyt się spieszyło, by wyjechać. Wobec takiego obrotu spraw Maria Kazimiera postanowiła ściągnąć do Paryża, gdzie się zatrzymała, Sobieskiego — i nawet rozglądała się za odpowiednim domem, w którym mogliby zamieszkać. Projekty ukochanej niezbyt przypadły go gustu Celadonowi, urzeczonemu francuskimi romansami, któremu co prawda marzył się wyjazd do Francji, ale do Prowansji, gdzie rozgrywała się akcja większości owych sielskich opowieści. Wydaje się jednak, że z czasem zupełnie zrezygnował z pomysłu przeprowadzki do innego kraju, gdyż odrzucał kolejne propozycje zakupu nieruchomości co jakiś czas przesyłane mu przez Marysieńkę. A swoją kuzynkę, Helenę Teklę Lubomirską, zapewniał w listach, że z kraju do Francji nie wyjedzie, „lubo by mnie tam i największa ciągnąć miała pasya”³⁶.

Tymczasem jego ukochana w trakcie pobytu we Francji odpoczęła psychicznie, wiodąc życie pełne rozrywek, bywając na salonach i dotrzymując towarzystwa dawno niewidzianym rodzicom. Maria Kazimiera sporo czasu poświęciła też na podreperowanie swego bardzo nadwątlonego zdrowia. W tym celu wyjechała do znamienitego uzdrowiska Pau w południowej Francji i piła tamtejsze wody lecznicze, ale zamiast spodziewanego polepszenia nastąpiło pogorszenie stanu jej zdrowia. W liście z dnia 10 listopada 1662 roku pisała: „Już prawie trzy tygodnie leżę tknięta niemocą, miałam febrę i wciąż mam wysoką gorączkę [...]. Minionej nocy [...] oka nie mogłam zmrużyć i czułam od żołądka aż po gardło jakby płomień [...], taki był bowiem skutek wody, którą piłam, a kiedy mi dano syropu, to zwymiotowałam zgnitym mięsem. Myślano, że to wrzód, co pękł sam z siebie”³⁷.

We Francji Marysienka prowadziła żywot na stopie odpowiadającej statusowi *princesse de Zamość* — księżnej na Zamościu, a to słono kosztowało. Zresztą życie w ówczesnym Paryżu było bardzo drogie. Początkowo Zamoyski słał pieniądze, finansując wszystkie poczynania swojej małżonki, ale z czasem przestał, dlatego Maria Kazimiera nie miała innego wyjścia, jak tylko spakować kufry i ruszyć w drogę powrotną do kraju. We Francji piękna pani Zamoyska nie zrobiła wielkiej kariery. Ludwik XIV zupełnie ją zignorował, nie chcąc przyznać jej tytułu księżnej, a sama Maria zupełnie nikła na tle strojnych i wypomadowanych francuskich arystokratek brylujących na dworze w Wersalu.

Marysienka nie wracała więc w radosnym nastroju, tym bardziej że w domu nikt na nią nie czekał. Małżonek był na kolejnym objeździe swoich dóbr, a jej maleńka córeczka, w czasie, gdy pani Zamoyska przebywała we Francji, ciężko zachorowała i zmarła. Na szczęście nie wracała sama. Towarzyszył jej bowiem jej brat, Ludwik, mający ją wspierać i wspomagać w ewentualnych konfliktach z mężem. Jak się łatwo domyślić, „Fujara” nie zapalał sympatią do szwagra, a i pan d’Arquien go nie polubił, co stało się zarzewiem kolejnych awantur. W trakcie jednej z nich Sobiepan omal nie zabił Ludwika. Przerażona Marysienka natychmiast kazała bratu wyjechać. Tymczasem jej stosunki z mężem czasowo się poprawiły i pani Zamoyska znów zaszła w ciążę. Dręczona wyrzutami sumienia, postanowiła poinformować o tym Sobieskiego i jednocześnie zwolnić go ze ślubów złożonych jej w 1661 roku w warszawskim kościele karmelitów.

Kto wie, jak potoczyłyby się losy jej małżeństwa i związku z Sobieskim, gdyby nie fakt, że urodzona przez nią kolejna córka przeżyła zaledwie kilka miesięcy. Strata kolejnego dziecka zupełnie zniechęciła Marię Kazimierę do podejmowania dalszych prób ratowania związku z Zamoyskim. Sama zaś stała się obiektem niewybrednych plotek, za sprawą wprowadzonego przez nią, zupełnie nieznanego w ówczesnej Polsce, francuskiego zwyczaju ruelle, polegającego na... przyjmowaniu gości w łóżku. Nazwa tego osobliwego i szokującego polskich tradycjonalistów obyczaju, oznaczająca w języku francuskim uliczkę, wzięła się od pasa przestrzeni między bokiem łóżka a ścianą, gdzie ustawiano krzesła dla gości, którzy salonowymi rozmowami zabawiali panią domu. Zwyczaj przyjmowania gości w łóżku w eleganckiej pościeli jako pierwsza wprowadziła Catherine de Rambouillet, prowadząca najsłynniejszy salon literacki epoki. Podyktowały to względy praktyczne — arystokratka była bardzo chorowitą osobą i z konieczności dużo czasu spędzała w łożu. Pewnego dnia wpadła na pomysł, by przyjmować tak gości, a wkrótce zwyczaj ten podchwyciły inne właścicielki salonów i cała śmietanka towarzyska Francji. Oczywiście takie wizytowe łoże wymagało odpowiedniego przygotowania, podobnie jak kreacja, w której damy przyjmowały. Jak można się domyślić, pani Zamoyska zadbała o stosowny mebel oraz pościel, o czym informowała Sobieskiego w jednym z listów:

„Kupiłam też łóżko z baldachimem z karmazynowego adamaszku [...]. Brak mi tylko łóżka z aksamitnym baldachimem na zimę, gdybym ją tutaj miała spędzić, bo adamaszek nadaje się tylko na wiosnę i na jesień”³⁸. W takim pięknym łożu Marysieńka przyjęła marszałka mężowskiego dworu, Mikołaja Podlodowskiego, i jego dworzanina, Hieronima Żaboklickiego, co odbiło się głośnym echem w Rzeczypospolitej. Nieobeznany z francuskimi zwyczajami profesor Akademii Zamoyskiej Bazyl Rudomicz zachowanie Marii Kazimiery uznał po prostu za dworski żart, ale cała Polska z oburzeniem mówiła o rozpustnej żonie Zamoyskiego, przyjmującej w swoim łóżku mężczyzn. Co ciekawe, obyczaj ten nie znalazł także uznania w oczach Jana Sobieskiego, który nie omieszkał poinformować o tym damy swego serca. Marysieńka niezbyt się jednak tym przejęła.

O wiele bardziej niż utyskiwania Celadona trapiła ją sytuacja w domu, która stała się nie do zniesienia. Królowa, zmartwiona losem swojej pupilki, doradzała jej rozwód lub przynajmniej separację majątkową, ale Maria Kazimiera jakoś się do tego nie kwapiła. Kto wie, może widząc coraz bardziej utyskującego na swoje zdrowie Sobiepana, w skrytości ducha liczyła, że los sam uwolni ją od niekochanego męża? Jej przeczucia okazały się trafne — Jan Zamoyski zmarł na skutek zabójczej kombinacji syfilisu i choroby alkoholowej 7 kwietnia 1665 roku, w pierwszy wtorek po Wielkanocy.

Jego siostra, która doskonale wiedziała, jak mają się sprawy między jej bratową a panem Sobieskim, była święcie przekonana, że Marysieńka pomogła mężowi opuścić doczesny padół, podając mu truciznę, dlatego zarządziła sekcję zwłok. Podejrzewanie Marii Kazimiery o truciicielstwo jest o tyle irracjonalne, że nie było jej wówczas w Zamościu. Pani Zamoyska wyjechała bowiem do Warszawy, dokąd ściągnęła ją sama królowa. Przeprowadzona autopsja nie potwierdziła podejrzeń Wiśniowieckiej, natomiast wykazała zmiany spowodowane chorobą i nadużywaniem alkoholu, między innymi kompletnie zniszczoną wątrobę. Wyniki badania nie przekonały jednak „Basetli”, która nadal obwiniała bratową o śmierć Sobiepana i w ramach zemsty postanowiła pozbawić ją spadku. Ale skomplikowane kwestie dziedziczenia początkowo nie zaprzętały głowy młodej wdówki. Była nareszcie wolna i mogła bez wyrzutów sumienia cieszyć się swoim Celadonem!



Maria Kazimiera Sobieska

Rozdział 6
Dwa śluby, czyli „gruntowny” ożenek Sobieskiego

Jan Sobieski w okresie, gdy jego ukochana cierpiała w małżeństwie z Sobiepanem, nie siedział oczywiście beczynnie w swoich dobrach, czekając z utęsknieniem na wieści od Marii Kazimiery. Wręcz przeciwnie, wciąż wojował z wrogami Rzeczypospolitej, jako poseł ziemi hadziackiej wybrany w 1659 roku, brał udział w sejmach, zaczął paruć się polityką i w końcu na dobre związał się z dworem, a konkretnie z królową Ludwiką Marią, stając się jednym z najzagorzalszych, a jednocześnie najbardziej zaufanych stronników monarchini. A był to czas, kiedy małżonka Jana Kazimierza podjęła się wielce trudnego dzieła naprawy Rzeczypospolitej, którego najważniejszym etapem była próba wprowadzenia elekcji *vivente rege*, czyli obioru nowego władcy jeszcze za życia aktualnie panującego króla. Ludwika Maria, wbrew temu, co można o niej przeczytać w opracowaniach nieprzychylnych jej historyków, kochała kraj, w którym przyszło jej spędzić swoje dojrzałe lata, i jego dobro leżało jej na sercu. Do swojej przyjaciółki, madame de Choisy, pisała: „Polska jest niezrównanym królestwem, którego sami krajowcy nie doceniają, a które niweczy wolność ich, nieokiełzana porządkiem. Lecz jeśli kiedykolwiek do rządu samowładnego dojdzie, świat cały podbije”³⁹. Ponieważ znająca francuski absolutyzm władczyni jedną z głównych przyczyn słabości państwa upatrywała w braku ciągłości dynastycznej, a jednocześnie doskonale zdawała sobie sprawę, że nie obdarzy już swego królewskiego męża męskim potomkiem, który w przyszłości, oczywiście z woli szlachty, mógłby zasiąść na tronie jako kolejny Waza, czyli władca wywodzący się od Jagiellonów, postanowiła dopilnować, by stery w państwie przejął odpowiedni człowiek.

Pierwszym posunięciem królowej było adoptowanie swej siostrzenicy, Anny Henryki, którą zamierzała wydać za arcyksięcia Karola Habsburga, o którym mówiono, iż jest niemal stuprocentowym kandydatem na przyszłego króla Rzeczypospolitej. Jednakże w tym przypadku posunęła się stanowczo za daleko, gdyż pod wpływem ambasadora cesarskiego, Franciszka Lisoli, skłoniła Jana Kazimierza do poważnych ustępstw w Prusach, ze szkodą dla naszego państwa. Pomimo desperackich poczynań Ludwiki Marii plan małżeństwa Anny Henryki z Habsburgiem spalił na panewce. Wówczas królowa z nadzieją spojrzała w stronę Francji, gdzie mieszkał jej zdaniem najodpowiedniejszy kandydat na przyszłego władcę naszego kraju — księżę Henryk Juliusz de Burbon d’Enghien, syn Kondeusza. Tym razem poszło znacznie lepiej i siostrzenica królowej 13 grudnia 1663 roku poślubiła wskazanego jej przez ciotkę kandydata.

Nieszczęsna dziewczyna zapewne czuła się, jakby złapała Pana Boga za nogi. Za sprawą Ludwiki Marii trafił się jej bardzo przystojny mąż, cieszący się sławą bożyszczka francuskich arystokratek, podczas gdy pannę młodą trudno było uznać za piękność. Anna Henryka była garbata i, delikatnie mówiąc, nie grzeszyła inteligencją. Zeswatana przez polską królową para była więc wyjątkowo niedobrana. Panu młodemu braki w urodzie oraz intelekcie jego oblubienicy skutecznie zrekompensowała nie tylko obietnica korony Rzeczypospolitej, ale przede wszystkim wniesiony przez żonę, otrzymany od ciotki, a zarazem adopcyjnej matki, posag w wysokości 300 tysięcy liwrow w gotówce, miliona liwrow w kosztownościach, a do tego księstwa opolskie i raciborskie, mające w zamiarach królowej stanowić dodatkowy argument przemawiający za elekcją syna Kondeusza. W trakcie finalizacji zaaranżowanego przez Ludwikę Marię mariażu nie obyło się bez zgrzytów, gdyż we Lwowie, gdzie odbywały się przedmałżeńskie negocjacje, francuscy posłowie stanowczo zażądali do Jana Kazimierza natychmiastowego zrzeczenia się korony na rzecz księcia i przekazania w ręce Francji sprawy osadzenia go na tronie Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Ale Ludwika Maria zachowała się, jak na władczynię samodzielnego państwa przystało: bezzwłocznie odrzuciła stawiane przez Francuzów warunki, traktując je jako próbę mieszania się w wewnętrzne sprawy naszego

państwa. Jedynym ustępstwem, na jakie się zgodziła, było podpisanie przez Jana Kazimierza tajnej klauzuli, w której zrzekał się na rzecz księcia d'Enghien pretensji do korony szwedzkiej, jako że, przynajmniej teoretycznie, Wazowie wciąż mieli do niej prawo.

Plany Ludwika Marii znalazły uznanie w oczach kardynała Mazzariniego, który już jesienią 1660 roku przyznał, iż chce osadzić Francuza na tronie Rzeczypospolitej i planuje jednocześnie wziąć rządzone przez Habsburgów „Cesarstwo w kleszcze pomiędzy Francję a Polskę, jak poprzednio Francja tkwiła pomiędzy cesarstwem a Hiszpanią”⁴⁰. Kochająca władzę i doskonale czująca się w polityce, w przeciwieństwie do swego męża, Ludwika Maria, zapewniając tron Rzeczypospolitej ustosunkowanemu, aczkolwiek młodemu i wciąż niewyrobnemu politycznie francuskiemu księciu, liczyła na udział w przyszłych rządach — jako „matka i teściowa”. Faworyta królowej, podobnie jak jej plany elekcji *vivente rege*, popierało stronnictwo, z niemałym trudem przez nią utworzone za pomocą aranżowanych małżeństw z Francuzkami z jej fraucymeru i hojnych datków finansowych, których nie skąpił francuski monarcha. Wśród zwolenników królowej opowiadających się za przeprowadzeniem elekcji jeszcze za panowania Jana Kazimierza znalazł się także bohater naszej opowieści. W zamiarach Marii Ludwika miał on podjąć się trudnej, aczkolwiek nie niemożliwej, misji przekonania do jej planów szlachty na sejmikach królewskich. Sobieski miał jechać w tej sprawie do Wiszni i Lublina. Warto nadmienić, że przyszły król nie związał się bynajmniej ze stronnictwem królowej z wyłącznie patriotycznych pobudek. Za swoje poparcie planów osadzenia na tronie francuskiego księcia otrzymywał od Ludwika XIV sowite wynagrodzenie. Z zachowanej dokumentacji wynika, że w 1661 roku francuski monarcha wypłacił Sobieskiemu 4800 tysięcy liwrow, a w roku następnym — prawie dwa razy tyle. Co ciekawe, z punktu widzenia Francji były to na tyle uzasadnione wydatki, że ówczesny minister skarbu tłumaczył swojemu władcy: „Wściekam się o tysiąc funtów wydanych na ucztę, ale kiedy chodzi o miliony dla Polski, zastawiłbym w potrzebie mienie żony i dzieci, chodziłbym całe życie pieszo, aby na to znaleźć”⁴¹.

Czas pokazał, że pieniądze płynące szerokim strumieniem nad Wisłę zostały wyrzucone w błoto, ponieważ z ambitnych planów królowej ostatecznie nic nie wyszło, i to nie tylko na skutek knozań niechętnych sojuszowi francusko-polskiemu Habsburgów. Projekty Ludwika Marii natrafiły bowiem na twardy opór zwolenników złotej wolności szlacheckiej, dla których stanowiły one jawny zamach na przywileje tej warstwy, traktowane przez szlachecką brać niemal jak religia. Zresztą nieszczęsna królowa nigdy nie cieszyła się popularnością szlacheckiej braci, zwłaszcza kiedy zauważono, że król powoli odsuwa się od spraw państwa, przekazując je żonie. Kobięcie rządu nigdy nie podobały się szlachcie.

Borykający się z cyklofrenią, cierpiący na napady manii, które zmieniały się w okresy ciężkiej depresji, Jan Kazimierz raczej nie nadawał się do sprawowania władzy, zwłaszcza w tak niespokojnych czasach, w jakich przyszło mu panować. Doskonale zdawał sobie sprawę, że jego małżonka jest znacznie silniejszą indywidualnością i lepiej niż on poradzi sobie z rządami w Rzeczypospolitej. Dostojnicy z jego otoczenia musieli dostrzegać problemy psychiczne króla, skoro Jan Leszczyński zauważał z niekłamanym smutkiem, iż na monarsze nie można polegać, gdyż zdanie zmienia niemalże co godzinę, ale nie oznacza to, że akceptowali przejęcie władzy przez jego żonę. Wręcz przeciwnie, powszechnie uważano, że królewskie problemy wynikają z tego, iż zbyt ulega Ludwice Marii. Już w 1650 roku Krzysztof Opaliński, pisząc do swego brata Łukasza, zauważył, że król słucha we wszystkim swej żony, a ta bezustannie go łąja. Rosnący wpływ Ludwika Marii na męża, jak również niestabilny charakter króla, zauważyli także zagraniczni posłowie. Poseł francuski de Brégy, w liście do kardynała Mazarina, pisał:

„Jego humor jest dość dziwaczny, ma dosyć sprytu, aby się sprzeciwić cudzym argumentom, ale nie ma tyle trwałości, aby stanąć silnie przy jakimś trwałym postanowieniu”⁴². Z kolei inny poseł, Hovenberck, zauważał, że królowa kieruje swym mężem, wykorzystując banalne kobiece sztuczki — płacz, awantury i „nieustanne nalegania”. Jan Kazimierz rzeczywiście odczuwał respekt przed swą energiczną małżonką i chcąc uniknąć kłótni, godził się spełniać wszelkie jej żądania, ale prawdą też jest, iż z niekłamaną ulgą sprawy państwa cedował na Ludwikę. W efekcie popularność królowej spadała na łeb na szyję. Doszło w końcu do tego, że publicznie określano ją mianem „bezpiecznej Jezabel”, „francuskiej megiey” czy „przeklętej Harpii”. Mało tego, zaczęto krytykować wszystko, co cudzoziemskie, a zwłaszcza francuskie, a rozmiar nienawiści do Francji i francuszczyzny osiągnął taką skalę, że stronnicy królowej, a nawet przebywający w Polsce Francuzi czuli się coraz mniej bezpiecznie.

Ostateczny cios planom Ludwiki położył jednak marszałek wielki koronny, a jednocześnie hetman polny koronny Jerzy Lubomirski, ten sam, który jako jeden z nielicznych magnatów dochował wierności Janowi Kazimierzowi w czasie potopu szwedzkiego i dzięki któremu udało się ochronić przed rabunkiem królewskie regalia. Niektórzy historycy sądzą, że Lubomirski nie chciał dopuścić do realizacji planów królowej dotyczących elekcji nowego władcy, gdyż sam liczył, iż panowie szlachta obiorą go królem po śmierci lub abdykacji Jana Kazimierza, o której władca coraz częściej przebąkiwał. Pomimo poparcia okazywanego władcy przez hetmana Lubomirski miał od dawna na pieńku z Janem Kazimierzem. Na początku lat pięćdziesiątych XVII stulecia monarcha nie poparł jego starań o ożenek ze wspomnianą wcześniej Elżbietą Kazanowską, której rękę oraz niemały majątek, jak wiadomo, ostatecznie zdobył Hieronim Radziejowski. Waza odrzucił też kandydaturę Lubomirskiego na stanowisko podkanclerzego po śmierci Jerzego Ossolińskiego.

Hetman prowadził podwójną grę, nad sensem której także i dziś zastanawiają się niektórzy historycy. W 1658 roku z jego inicjatywy zwołano zjazd senatorów, na którym miała być omówiona kwestia *vivente rege* i na którym magnat występował oficjalnie jako rzecznik dworu. Jednocześnie przed szlachtą i wojskiem opowiadał się przeciwko tej koncepcji i dał się poznać jako zwolennik zupełnie innego kandydata do tronu niż przedstawiany przez króla i królową. W 1664 roku, kiedy wyszło na jaw, że kolaboruje z obcymi monarchami, a nawet pojawiły się głosy o rzekomym planowaniu przez niego zamachu na Jana Kazimierza, wytoczono przeciwko niemu proces sejmowy. Ostatecznie nie udało się udowodnić hetmanowi planów obalenia króla, ale większość senatorów opowiedziała się przeciwko niemu, zaś sam magnat wyrokiem sądu, za spiskowanie z Wiedniem i Berlinem, został pozbawiony wszystkich piastowanych wcześniej urzędów i skazany na banicję. Odebrana mu buława hetmańska trafiła w ręce Stefana Czarnieckiego, któremu zresztą należała się od dawna za zasługi oddane Rzeczypospolitej na wojnach z Moskwą i Szwecją. Niestety nowo mianowany hetman zmarł wkrótce po otrzymaniu godności, 16 lutego 1665 roku. Z kolei łaskę marszałkowską otrzymał wypróbowany już stronnik królowej, trzydziestopięcioletni Jan Sobieski, który, ku zaskoczeniu Jana Kazimierza i jego małżonki, początkowo odmówił przyjęcia ofiarowanego mu stanowiska i, nękany naleganiami dworu, wyjechał z Warszawy do swoich posiadłości w Żółkwi. Otwarcie mówił, że wyrok sejmowego sądu uważa za niesłuszny, zresztą miał dług wdzięczności wobec byłego hetmana, który uratował mu życie w bitwie pod Beresteczkiem. Do zmiany zdania skłoniła go... miłość do Marysieńki. 21 kwietnia Sobieski przyjechał do Warszawy, gdzie na królewskim dworze przebywała jego ukochana. Na to tylko czekała Ludwika Maria, która spotkała się z chorążym i swoim zwyczajem wzięła go pod włos, obiecując pomoc i błogosławieństwo

w zdobyciu ręki ubóstwianej przez Jana Marii Kazimierzy, ale pod warunkiem przyjęcia przez niego wakującego urzędu marszałka. Cóż było robić? Zakochany Celadon uległ możnej protektorce swojej Astrei i przystał na tę propozycję, co nie spotkało się z zadowoleniem braci szlacheckiej. Rękę ukochanej także zdobył, i to nie czekając na zakończenie przez nią okresu żałoby, ale o tym opowiemy nieco później.

Tymczasem urażony do żywego Lubomirski szukał sprzymierzeńców na cesarskim dworze w Wiedniu, jednocześnie rozważając nawiązanie porozumienia z Moskwą. W końcu powziął bardziej drastyczne kroki. W 1665 roku doprowadził do zerwania sejmu, jednocześnie stając na czele konfederacji części wojska, która stała się zarzewiem bratobójczej wojny domowej, w historiografii polskiej określanej mianem rokoszu Lubomirskiego. Jej pierwszym etapem było pokonanie wojsk wiernych królowi w bitwie pod Częstochową, rozegranej 4 września 1665 roku. Po tym wydarzeniu Lubomirski połączył się z wiernymi mu wojskami w Wielkopolsce, dzięki czemu zdobył militarną przewagę nad siłami Jana Kazimierza. Trzeba przyznać, że była to dziwna wojna, skoro większa część szlachty z obozu królewskiego po cichu sprzyjała Lubomirskiemu, widząc w nim jedynie szlachcica dopominającego się o swoje prawa, dotkliwie naruszone przez monarchę. Wspomina o tym chociażby, z pozoru rojalista, Jan Chryzostom Pasek w swoich *Pamiętnikach*: „Ale po staremu chociażby tu byli, tośmy tamtej stronie bardziej wygranej życzyli widząc *iniuriam* [łac. źle] Lubomirskiego a w jego osobie *totius nobilitatis* [łac. wszystką szlachtę] [...] To nie wojna była, ale właśnie goniony taniec, abośmy ustawicznie z miejsca na miejsce gonili nie goniąc, a oni też przed nami uciekali nie uciekając”⁴³. Apogeum konfliktu stała się bitwa pod Mątwami, rozegrana 13 lipca 1666 roku, w której niespełna 20-tysięczna armia Jana Kazimierza starła się z ponad 15-tysięcznymi siłami rokoszan, ponosząc sromotną klęskę. Jak szacują historycy, w batalii zginęło niemal 4 tysiące żołnierzy monarchy, z których większość walczyła jeszcze pod rozkazami niedawno zmarłego Czarneckiego, i niespełna dwustu rokoszan. Rozmiar rzezi przeraził obie strony, a Lubomirski, dostrzegając, iż za jego sprawą zginęli najlepsi polscy żołnierze i oficerowie, zgodził się na rokowania. Na mocy ugody podpisanej w Łęgonicach Jan Kazimierz ostatecznie zrezygnował z planów regencji *vivente rege*, natomiast Lubomirski został przywrócony do czci, ale nie odzyskał utraconych urzędów. Ostatecznie największą przegraną była jednak Ludwika Maria, inicjatorka odbudowy silnej monarchii, a także zaangażowana w całą sprawę dyplomacja francuska.

Sobieski w czerwcu 1665 roku wystawił własnym sumptem wojsko i walczył przeciwko rokoszanom, także w batalii pod Mątwami, w której stracił aż 1500 żołnierzy. Nie wziął jednak udziału w obradach sejmu zwołanego na dzień 17 listopada 1665 roku, nie chcąc drażnić szlachty, która w przeważającej większości uważała, że urząd marszałka dostał się mu bezprawnie. Stawił się za to 8 sierpnia 1666 roku w obozie pod Jaroszynem, gdzie Lubomirski w obecności dygnitarzy i dostojników państwowych uroczyście przeprosił króla. Zgodnie z relacją obecnego na wydarzeniu posła francuskiego były hetman ścisnął po kolei dłonie wszystkich senatorów, ale kiedy podszedł do Sobieskiego, w milczeniu ujął jego dłoń i położył ją sobie na głowie, jakby na znak, że piastowany wcześniej przez niego urząd marszałka przeszedł w godne ręce. Był to ostatni raz, kiedy obaj panowie mieli okazję się widzieć. Lubomirski wyjechał do Wrocławia, gdzie zmarł w styczniu następnego roku.

Kiedy rozgrywały się wyżej opisane wydarzenia, bohater naszej opowieści był już człowiekiem żonatym. Swoją ukochaną poślubił w atmosferze skandalu, ponieważ nie dość, że Marysieńka nie odbyła wymaganego okresu żałoby, to jeszcze para stanęła na ślubnym kobiercu, zanim jej zmarłego męża złożono do grobu! W owych czasach z ceremonią pochówku czekano

często bardzo długo, nawet kilka miesięcy, aż na uroczystość mogła zjechać się cała rodzina, w tym krewni z najdalszych stron. Warto dodać, że pogrzeby sarmackie, zwłaszcza członków możnych rodów, były niezwykle doniosłymi uroczystościami, wzorowanymi na ceremoniale pogrzebowym władców Rzeczypospolitej. W kościele, w którym miała się odbyć ceremonia, budowano specjalny, wysoki i wyjątkowo ozdobny katafalk, tak zwane *castrum doloris*, na którym stawiano trumnę, wykonaną zazwyczaj nie z drewna, ale z bogato zdobionych metali. Jeżeli jednak zdecydowano się na trumnę dębową, obijano ją kosztownymi materiałami. W XVII stuleciu, kiedy odbywał się pogrzeb Sobiepana, najmodniejsze były trumny cynowe, zaopatrzone w specjalne okienka, przez które można było oglądać leżących w nich zmarłych, natomiast u dołu wieka umieszczano portret trumienny.

Zazwyczaj zmarły sam jeszcze za życia w swoim testamencie ustalał szczegółowy scenariusz uroczystości, zaplanowany nader często na wiele dni. Opisywał w nim dokładnie wystrój świątyni, katafalku, wygląd trumny i podawał nawet spis zaproszonych gości. Wierzano, że odpowiednio przygotowana ceremonia pogrzebowa skróci umarłemu okres mąk czyścicowych, a splendor, z jakim ją wystawiano, miał świadczyć o potędze i wielkości rodziny. Był to tak istotny aspekt sarmackiej rzeczywistości, że wiele rodzin zadłużało się, by wyprawić zmarłemu odpowiednio wystawny i kosztowny pochówek. Co ciekawe, takie pogrzeby były istnym rajem dla żebraków, których tłumnie spraszano do kościoła, by modlili się za duszę zmarłego, ponieważ powszechnie wierzano, iż modlitwy ludzi ubogich są szczególnie miłe Bogu. Oczywiście za swoje modły otrzymywali odpowiednie wynagrodzenie, a po ceremonii urządzano nawet dla nich specjalny poczęstunek zwany dziadowskim obiadem. Ponieważ, jak wspomniano wcześniej, z pogrzebem czekano nawet kilka miesięcy, a w wyjątkowych przypadkach nawet lat, ciało zmarłego balsamowano, uprzednio usunąwszy z niego wnętrzności. Bywało też, że urządzano dwa pogrzeby w dwóch różnych miejscach: w jednym grobie chowano zabalsamowane ciało, w drugim — serce zmarłego.

Księżna Gryzelda Wiśniowiecka sama zajęła się organizacją pogrzebu swego zmarłego brata, dbając oczywiście o jego należyłą oprawę. Oczekujące na pochówek, wcześniej zabalsamowane zwłoki złożono w ozdobnej trumnie na katafalku pokrytym kirem, wokół którego jarzyły się świece. Nie wiadomo, ile ich było, ale można podejrzewać, że Gryzelda starała się wyprawić uroczystość dorównującą ceremonii pogrzebowej jej wielkiego dziada, Jana Zamoyskiego, na którego pogrzebie w kaplicy paliło się, bagatela, 10 tysięcy świec. Zadbała o to, by codziennie po obiedzie przy ciele jej brata kapela odgrywała muzykę żałobną. Cały Zamość pogrążony był w głębokiej żałobie, a do miasta przybywali krewni zmarłego i zaproszeni goście. Zabrakło tylko jednej, ale za to bardzo ważnej osoby — wdowy po Sobiepanie, Marii.

Jak już wcześniej wspomniano, Marysienki w dniu śmierci Zamoyskiego nie było w Zamościu. Przebywała wówczas w Warszawie, na dworze swej protektorki, królowej Ludwiki Marii, i być może już zaangażowała się w trudną i skomplikowaną procedurę unieważnienia małżeństwa z wojewodą. O zgonie Sobiepana dowiedziała się dopiero 12 kwietnia z ust samego króla, który rzucił jej pod nogi list zawierający tę wiadomość, mówiąc: „Oto rozwód, któregoś żądała!”. Było bardzo symptomatyczne, że Gryzelda nie powiadomiła bratowej bezpośrednio o śmierci Zamoyskiego, informując o tym jedynie dwór królewski. Księżna Wiśniowiecka nie miała najmniejszego zamiaru traktować Marysienki tak, jak powinno się traktować wdowę po zmarłym krewnym, mało tego, nie uznawała jej praw do spadku po Sobiepanie. 5 maja rozesłała do dzierżawców pismo, w którym stanowczo zabroniła wpuszczać wdowy na teren dzierżawionych przez nich majątków, wydała także bratowej zakaz wjazdu do samego Zamościa.

A tymczasem osamotniona Marysienka czekała na swego Celadona i... nie mogła się go doczekać. Sobieski ani myślał odwiedzać ją w Warszawie, mało tego, nie pisał do niej listów. Przyczyn takiego zagadkowego zachowania zakochanego przecież Jana może być kilka. Mógł bać się, że uwolniona od balastu małżeństwa Zamoyska zażąda od niego deklaracji odnośnie do ich przyszłości, a Sobieski, co wielokrotnie podkreślał w listach, nie był jeszcze gotowy do małżeństwa. Być może jednak po prostu uznał, że jego obecność u boku świeżo upieczonej wdowy będzie sporym nietaktem i może wywołać skandal kompletnie rujnujący i tak już mocno nadszarpniętą reputację Marii Kazimierzy, skutecznie utrudniając jej sprawy spadkowe. Prawdopodobne jest też, że zdawał sobie sprawę z tego, iż Ludwika Maria będzie chciała wykorzystać jego ukochaną do nakłonienia go do przyjęcia niechcianej laski marszałkowskiej. Cokolwiek leżało u podstaw tego zachowania, nie zagłuszyło jego tęsknoty za ukochaną i w końcu, 21 kwietnia, Celadon zjawił się w Warszawie, by spotkać się ze swoją Astreą. Pierwsze kroki skierował na dwór, by tam poprosić króla i królową o rękę ukochanej. Zgodę otrzymał, ale został też pouczony, iż owdowiałą panią Zamoyską obowiązuje rok żałoby i dopiero po tym okresie może ona stanąć po raz drugi na ślubnym kobiercu. Wielu jednak wątpiło, czy chorąży wytrwa tak długo. Zakochani oczywiście się spotykali, ale długo baczyl, by swoim zachowaniem nie budzić zgorszenia. Jednak pewnej nocy sprawy przybrały znacznie bardziej dynamiczny obrót.

Z 13 na 14 maja Sobieski postanowił złożyć wizytę swojej bogdane w jej sypialni. Marysienka wpuściła go bez najmniejszych oporów. Pech chciał, że parę na schadzce przyłapała sama królowa Ludwika, niespodziewanie wchodząc do komnaty wychowawcy. Widząc, co się dzieje, natychmiast zażądała, by zakochani wzięli ślub. Bezwzględnie sprowadzono księdza, a Maria Kazimiera i Sobieski, w obecności kilku świadków, w tym także Ludwiki Marii, złożyli sobie przysięgę małżeńską. Biografowie króla uważają, że zakochany Jan stał się po prostu ofiarą machinacji obu pań, a królowa doskonale wiedziała, iż tej nocy w alkowie jej pupilki zagości chorąży. Władczyni chciała, by szlachcic, ciesząc się coraz większym mirem wśród jej poddanych, jak najszybciej dołączył do grona „zięciów dworu”, i nie zamierzała respektować wymaganej żałoby po Sobiepanie. Wszyscy uczestnicy tego wydarzenia doskonale zdawali sobie sprawę, że ujawnienie cichego ślubu wdowy po Zamoyskim i Sobieskiego wywoła niemały skandal, a równocześnie poważnie utrudni Marii Kazimierze ubieganie się o spadek po zmarłym ordynacie, dlatego fakt zaślubin tych dwojga utrzymywano w tajemnicy. Ale jak to zwykle z takimi „tajemnicami” bywa, wkrótce o małżeństwie zawartym w zamkowej kaplicy plotkowała cała Rzeczpospolita. I nie tylko. Wiadomość o skandalicznym ślubie, zawartym z pogwałceniem zasad żałoby, przedostała się także za granice naszego kraju. W liście z 3 czerwca 1665 roku, jaki napisał podkomorzy kijowski Stefan Niemirycz do elektora, czytamy:

Przyszła tu nowina o małżeństwie p. chorążego w. kor. Sobieskiego z p. wojewodziną sandomirską Zamoyską d'Arquien, gdzie piszą te *formalia* [dane] Pani Zamoyska, zjehawszy do Warszawy na rozkaz królowej, miała w pałacu królewskim na przedmieściu schadzkę arcymiłosną z rzeczonym p. Sobieskim w nocy o 11 godzinie. Królowa, zaskoczywszy ich na uczynku, oświadczyła p. Sobieskiemu, że jeśli nie zechce niezwłocznie poślubić Zamoyskiej, musi zginąć; trzeba więc zdecydować się na ślub albo na śmierć. Przyszedł potem ksiądz i dał im o północy ślub w pałacu⁴⁴.

A niezawodny w takich wypadkach Morsztyn, będący zresztą od 1659 roku także zięciem

dworu jako mąż Katarzyny Gordon, chwycił za pióro, by napisać stosowny komentarz na temat tego zaskakującego dla wszystkich (może poza samą Marysienką i Ludwiką Marią) ślubu. Powstał wiersz zatytułowany *Serenada północna na ślub niezwyčajny wielkiego stadła, intonowana w Warszawie, przy skończonej sprawie*:

Moda nastała poprzedzać wesele,
Umie to Wenus i jest tego wiele.
Kto umie, wszystkiego dokazywać może,
A komuż wadzi skryte nasze łożę?

My się z sobą cieszymy,
Nie bawiąc pospieszmy,
A ksiądz trafi prawie
Po małżeńskiej sprawie.

I tak małżeństwo dawno już zawzięte,
Ślub poprzedziło i obrzędy święte...

Znający nowożeńców Bogusław Radziwiłł, który nie został zaproszony na ów potajemny ślub, ironizował potem w liście do swojej narzeczonej: „Ceremonia wprawdzie, że krótka i niekosztowna, bardzo mi się podoba”⁴⁵. Znacznie mniej owa „krótka i niekosztowna” ceremonia przypadła do gustu krewnym państwa młodych. Ojciec Marysienki nie posiadał się z oburzenia i rzucał gromy na swoją wiarołomną córkę, ale bardziej niż pogwałcenie przez nią okresu żałoby po zmarłym mężu martwił go fakt, że Maria Kazimiera nie raczyła nawet go o swym ślubie poinformować, jak również to, że Sobieski nie poprosił go o jej rękę. Wieści o zawartym potajemnie małżeństwie nie ucieszyły także krewnych pana młodego — zarówno jego siostra, Katarzyna Radziwiłłowa, jak ciotka, Dorota Daniłowiczówna, kseni klasztoru lwowskich benedyktynek, wyraziły swoje ubolewanie z tego powodu.

Pod koniec maja Marysienka wybrała się w końcu do Zamościa, by wziąć udział w pogrzebie swego zmarłego małżonka. Nie zamierzała jednak udawać zbolącej wdowy i, zalewając się łzami, stać przy trumnie Sobiepana. Chciała upomnieć się o spadek. Tymczasem wieści o jej postępkach dotarły już do Zamościa. Szczerze mówiąc, Gryzelda była zadowolona z takiego obrotu sprawy. Teraz, gdy jej była szwagierka ośmieliła się zbezczcić pamięć jej brata, wychodząc za mąż, zanim minął okres żałoby, bez najmniejszych skrupułów mogła ją szykanować, odmawiając wydania jej spadku i nie wpuszczając do miasta. Kiedy do Zamościa przyjechał dworzanin Marysienki, żeby poinformować Wiśniowiecką o przyjeździe na pogrzeb wdowy, usłyszał od księżnej wyjątkowo cierpkie słowa, skierowane pod adresem jego pani: „Szkoda po śmierci pokazywać, czego za żywota nie czyniła; która że nas na wesele swoje [z Sobieskim] nie prosiła, my też ją na pogrzeb prosić nie będziemy”⁴⁶. Kiedy na prośbę zbulwersowanej Marysienki w Zamościu interweniowała sama królowa, otrzymała identyczną odpowiedź. Maria Kazimiera jednak do miasta przyjechała, ale ku swemu zaskoczeniu zastała nie tylko zamkniętą na głucho bramę, lecz także... rozebrany most wiodący do rezydencji Zamoyskich. Zebrany wokół tłum wznosił złowrogie okrzyki, a kiedy jeden z towarzyszących jej dworzan zapytał zgromadzonych ludzi, czy wiedzą, z kim mają do czynienia, usłyszał: „Wiemy, z panią Sobieską!”. Urażona Marysienka w końcu odjechała, ścigana nienawistnymi spojrzeniami

i okrzykami w rodzaju: „Nazad, Sobkowa”. Chciała przenocować w pobliskim folwarku, ale i tam, zgodnie z zaleceniem Gryzeldy, nie wpuszczono jej, co nieszczęsną kobietę tak bardzo zirytowało, że podarła na sobie kabat. Marysienka szybko zrozumiała, że czeka ją bardzo długa batalia o spadek po Sobiepanie.

Musiła zdawać sobie sprawę, że ma przeciwko sobie nie tylko cały Zamość, krewnych oraz stronników Zamoyskich i Wiśniowieckich, ale i opinię publiczną w Rzeczypospolitej. Po jej tajemnym ślubie w obiegu puszczone liczne broszury zawierające paszkwile pisane po polsku lub po łacinie, w których porównywano ją z Klitajmestrą, żoną Agamemnona, która razem ze swoim kochankiem zamordowała go, kiedy wrócił spod Troi do swoich rodzinnych Myken, co sugerowało, że Maria Kazimiera mogła pomóc swemu pierwszemu mężowi opuścić doczesny padół. Z kolei Sobieskiego porównywano z Kaligulą, cesarzem rzymskim, który, zdaniem autorów wspomnianych paszkwili, był jednym z najniebezpieczniejszych uwodzicieli czyhających na cnotliwe mężatki.

Marysienka liczyła na pomoc w sprawie zdobycia należnego jej spadku nie tylko ze strony męża, ale i królowej. A tymczasem Ludwika Maria i jej królewski małżonek znaleźli się w dość niezręcznej sytuacji i nie mogli za bardzo angażować się w spór pomiędzy Marią Kazimierą a księżną Wiśniowiecką. Tak się bowiem pechowo dla Marysienki złożyło, że oboje królestwo roztoczyli opiekę nad jedynym synem Gryzeldy, Michałem, potomkiem wielkiego Jaremy. Początkowo zajmował się nim brat Jana Kazimierza, Ferdynand, zaś po jego śmierci obowiązek utrzymania Michała, a przede wszystkim zapewnienia mu stosownego wykształcenia przejęła królowa, za sprawą której młody człowiek trafił na studia do Pragi, a potem do Wiednia. Nic dziwnego, że Ludwika Maria niezbyt chętnie angażowała się w konflikt pomiędzy matką swego wychowanka a swoją chrześniaczką. Król powążył się nieśmiało interweniować, upominając księżną Wiśniowiecką, ale ta odpisała mu z pytaniem, dlaczego tak bardzo troszczy się o cudzoziemkę, a zapomina o niej, polskiej szlachciance, której rodzina ma tak wielkie zasługi dla Rzeczypospolitej.

Kiedy królowa zorientowała się, że Marię Kazimierę czeka długa i niełatwa batalia o spadek, postanowiła wyprawić jej drugi, tym razem oficjalny, wystawny ślub, należny jej wychowawcy, który miał się odbyć już w lipcu, czyli zaledwie trzy miesiące po śmierci Sobiepana. Oczywiście szlachecka brać sarkąła na dziwne obyczaje zawierania dwóch sakramentów małżeństwa przez te same osoby, co budziło podejrzenie o świętokradztwo. Ale ani królowa, ani sami zainteresowani jakoś się tym nie przejmowali.

Tym razem wszystko odbyło się, jak należy, z oficjalnymi oświadczeniami włącznie. Co więcej, na uroczystość została zaproszona siostra pana młodego, Katarzyna, do której Sobieski pisał: „Przyjeżdżajże tedy Wasza X. Mość jako najprędzej widzieć teraz to, czegoś tak życzyła, bo przyznam się bezpiecznie, że nad się szczęśliwszego nie widzę i nie imaginuję człowieka”⁴⁷. Gody trwały trzy dni. Choć mało brakowało, a do ślubu w ogóle by nie doszło, gdyż ojciec panny młodej, oburzony, że i tym razem nie zapytano go o zdanie, zażądał, by Marysienka bezzwłocznie wróciła do Francji. Sprawa była na tyle poważna, że królowa musiała prosić o interwencję samego księcia d’Enghien, niedoszłego następcę jej męża na tronie. Dopiero jemu udało się ułagodzić wściekłego teścia Sobieskiego, który ostatecznie zgodził się na ślub swojej córki.

I tak, 5 lipca 1665 roku, trzy miesiące po skromnej ceremonii w pałacowej kaplicy, Celadona i jego Astreę węzłem małżeńskim połączył ówczesny nuncjusz papieski Pignatelli. Wybór duchownego był nieprzypadkowy. Nuncjusz mocą swego urzędu nadawał powagi ceremonii,

dzięki czemu udało się zamknąć usta niemal wszystkim malkontentom, którym nie podobał się związek Sobieskiego i wdowy po Sobiepanie, a proceder rozpowszechniania złośliwych paszkwili umarł śmiercią naturalną z braku popytu na tego typu utwory. Być może kapłana udzielającego ślubu w przeszłości łączył romans z panną młodą. Tak przynajmniej twierdzi część biografów Marii Kazimiery. Według nich pani Zamoyska, starając się o rozwód z Sobiepanem, do którego uzyskania konieczna była papieska zgoda, postanowiła pozyskać przychyłność Antonio Pignatelliego, wykorzystując sposób stary jak świat — romans. Nie jest to nieprawdopodobne, wszak Marysienka miała swojego wiecznie zapijaczonego męża po dziurki w nosie i zrobiłaby wiele, by móc się od niego uwolnić. A ówczesni duchowni, zwłaszcza opływający w luksusy i wszelakie dobra hierarchowie Kościoła, bynajmniej nie stronili od damskiego towarzystwa i nader chętnie korzystali z wdzięków dam, zwłaszcza tak urodziwych jak Maria Kazimiera. Jeżeli nawet rzeczywiście Antonio Pignatelli był nieco za bardzo wrażliwy na wdzięki niewieście, to nie przeszkodziło mu to w karierze, ponieważ 12 lipca 1691 roku został obrany papieżem. Jako głowa Kościoła przybrał imię Innocentego XII.

Uroczystości weselne Sobieskich trwały, jak wcześniej wspomniano, aż trzy doby, przy czym ostatniego dnia to pan młody podejmował dwór, oboje królestwo i zaproszonych gości. I wówczas wszyscy mogli się przekonać, że chociaż fortuna Celadona nie dorównywała majątkowi Sobiepana, to z pewnością wybranek Marysienki należał również do ludzi bardzo majątnych. Na stołach znajdowały się naczynia ze złota i srebra, a także niezwykle kosztowne, bogato haftowane i obszyte drogimi koronkami ręczniki, czyli serwety, które dla zabezpieczenia przed kradzieżą przezornie przybito gwoździami do blatu. Goście spili się tak mocno, że rozochociona służba po odejściu państwa młodych do łóżnicy rzuciła się, by rabować pozostawione na stołach kosztowności. Państwo Sobiescy brali ślub aż dwukrotnie, a nawet trzykrotnie, biorąc pod uwagę wspomniane wcześniej śluby karmelickie, co dowcipnie skomentował Boy: „musimy przyznać, że mało kto był tak gruntownie zaślubiony i ożeniony jak Sobieski”⁴⁸.

Wychodząc za mąż, Maria Kazimiera zyskała sojusznika w walce o spadek. Małżonek wspierał ją w tej batalii całym sercem, występując w jej imieniu i reprezentując ją przed Gryzeldą i krewnymi Zamoyskiego. Jeszcze w 1666 roku doszło do ugody między panią Sobieską a spadkobiercami Sobiepana i zgodnie z wyrokiem sądu sejmowego z dnia 25 kwietnia Marysienka miała otrzymać 800 tysięcy złotych na dobrach wojewody, pod warunkiem że sposób windykacji owej kwoty zostanie uzgodniony z księżną Wiśniowiecką, nadal zarządzającą dobrami po zmarłym bracie. Sprawa nie była jednak łatwa, spadkobiercy nie mieli gotówki, a dobra zamojskie, będące ordynacją, nie mogły zostać sprzedane nawet w części. Poza tym były obciążone długami. Wobec takiego obrotu sprawy Sobieski, jako reprezentant swojej żony, zgodził się przyjąć znacznie mniejszą kwotę niż zasądzona, pod warunkiem wypłacenia jej w jak najkrótszym czasie, na co zgodzili się inni spadkobiercy i sama Gryzelda. Ostatecznie stanęło na 450 tysiącach, przy czym za 50 tysięcy na własność Sobieskich przechodziły dobra pod Złoczowem, natomiast za pozostałe 400 tysięcy — klucz (zespół posiadłości leżących obok siebie) dóbr jarosławskich, w charakterze zastawu do wydzierżawienia. Oznaczało to, że dobra jarosławskie miały pozostawać we władaniu Sobieskich, dopóki dochód z nich nie pokryje należnej części roszczeń.

Młodej parze nie dane było zbyt długo cieszyć się swoim towarzystwem — świeżo upieczony mąż, który w 1666 roku otrzymał buławę hetmana polnego koronnego po zmarłym na początku roku Czarnieckim, często ruszał w pole. Z kolei Marysienka, która towarzyszyła mu

w Łęgonicach, nie mogła jechać z nim do jego dóbr w Pielaszkowicach, gdyż jej stan zdrowia pogorszył się i musiała ruszyć do stolicy, gdzie poddała się leczeniu. Widywali się sporadycznie mniej więcej do połowy następnego roku. W tym czasie Sobieski pisał do niej listy, pełne nie tylko romantycznych wyznań, ale także... intymnych wspomnień z ich, jak się okazało, bardzo udanego pożycia. Swoją ukochaną stęskniony Celadon tytułował „pierwszym i jedynym kochaniem”, „jedyną serca i duszy pociechą” i „najśliczniejszą Marysienką”. W czerwcu 1667 roku rozstali się na dłużej, bo aż na piętnaście miesięcy, chociaż trzeba przyznać, że powód rozłąki był raczej radosny — Maria Kazimiera była w ciąży. Pomna na swoje bolesne doświadczenia z małżeństwem z Zamoyskim, postanowiła wyjechać do Francji, by pod opieką rodziny i tamtejszych medyków donosić ciążę i wydać na świat zdrowe dziecko. Zaczął się nowy, „korespondencyjny” okres związku Sobieskich.



Henri de la Grange d'Arquien, ojciec Marii Kazimiery Sobieskiej

Rozdział 7
Związek na odległość

Maria Kazimiera, wyjeżdżając do Francji, chciała nie tylko zadbać o swoje zdrowie i urodzić Sobieskiemu zdrowego potomka. Jechała do swojej ojczyzny także po to, aby pomóc swoim krewnym uregulować sprawy majątkowe, a konkretnie — wspomóc ich w walce o spadek po kuzynce, żonie hrabiego de Guitaut, dworzanina księcia Kondeusza. Zmarła cały majątek zapisała nie rodzinie, ale chlebobdawcy swego wcześniej zmarłego małżonka — Kondeuszowi. Cała rodzina d'Arquien poczuła się tym skrzywdzona, dlatego krewni Marysieńki postanowili walczyć o spadek, w czym miała ich wesprzeć także pani Sobieska. Maria Kazimiera miała zamiar pozyskać przychylność Ludwika XIV w tej kwestii, przy okazji licząc na to, że za przyszłe poparcie francuskiego kandydata na tron przez jej męża francuski monarcha obsypie Sobieskiego licznymi łaskami. Marzyło jej się, że król nada jej mężowi marszałkowskie parostwo, tytuł księcia i Order Świętego Ducha. Chciała też poprosić Ludwika o przyznanie jednemu jej bratu patentu na porucznika gwardii królewskiej, a drugiemu — dowolnego opactwa. Planowała zadbać o zabezpieczenie materialne dla swego ojca, wiecznie tonącego w długach utracjusza, miłośnika swawolnych dam i gier hazardowych. Miała więc Marysieńka bardzo wzniosłe plany, w związku z czym harmonogram jej pobytu nad Loarą był bardzo napięty.

Trzeba przyznać, że młoda mężatka optymistycznie patrzyła w przyszłość, skoro planowała realizację tylu ambitnych zadań. Być może jednak to wszystko miało oddalić od niej lęk przed porodem i strach o życie dziecka, który przecież musiał jej towarzyszyć, zważywszy na jej doświadczenia z poprzedniego związku. Przed wyjazdem do Francji, bojąc się, że umrze w połogu, sporządziła testament, w którym zapisała Janowi cały swój majątek. Jej nastrój zapewne uległ pogorszeniu na skutek tragicznego wydarzenia, w którym dane było jej uczestniczyć. Pani Sobieska, wraz z dwiema innymi ulubionymi dwórkami królowej Marii Ludwiki, Katarzyną z Gordonów Morsztynową oraz Klarą Izabelą de Mailly Pacową, była świadkiem śmierci swojej możnej protektorki. Monarchini zmarła 10 maja 1667 roku, dożywszy pięćdziesięciu sześciu lat, czyli wieku, w którym współcześnie panie zaczynają dopiero robić karierę w polityce. Maria Ludwika, mając przy sobie swoje ukochane dwórki, żony znamienitych „zięciów dworu”, stanowczo zabroniła, by o jej pogarszającym się z godziny na godzinę stanie zdrowia powiadamiać jej królewskiego małżonka. Jan Kazimierz miał według niej znacznie ważniejsze sprawy na głowie niż czuwanie przy łożu niedomagającej małżonki, wszak w tym czasie uczestniczył w obradach sejmu.

Pomimo zakazu wydanego przez umierającą królową, kiedy zorientowano się, że Maria Ludwika jest już w agonii, zdecydowano się jednak wezwać jej męża. Prerażony król wbiegł do komnaty zaledwie kilka minut po śmierci małżonki. Jakby nie wierząc temu, co do niego mówią dworzanie, chwycił zmarłą za rękę i dopiero wówczas zrozumiał, że jego żona, a przede wszystkim niezawodna przyjaciółka i mądra doradczyni, odeszła na zawsze. Zareagował tak, jak na neurastenika przystało — wybuchł głośnym płaczem i wpadł w histerię. „Lamentu, krzyku, narzekania i kwilenia pełen pałac” — tak skomentował atmosferę w rezydencji królowej naoczny świadek wydarzeń Szczęsny Morsztyn. Świadkowie wspominają, że monarcha miał przez kilka kolejnych godzin silne dreszcze. „Nic mi się nieszczęśliwszego w życiu moim nie zdarzyło i nic mnie sroższą nie dotknęło boleścią, jak dzisiejsza strata królowej, mojej najukochańszej małżonki. Kochałem ją całym sercem i strapienie moje jest tak wielkie, jak owa miłość, którą dla niej statecznie dochowałem”⁴⁹ — pisał zboląły w liście do Kondeusza.

Nieoceniona Ludwika Maria 30 czerwca 1667 roku spoczęła w nekropolii królów polskich na Wawelu, w grobowcu, który wystawił dla niej i samego siebie Jan Kazimierz, natomiast jej serce

złożono w kościele warszawskich wizytek.

Po jej śmierci Rzeczpospolita po raz kolejny stanęła przed widmem wojny. Tym razem naszemu państwu zagrażał najazd Tatarów i sprzymierzonych z nimi Kozaków. Zwiastunem nadciągającego konfliktu był najazd tatarskiego zagonu, który spustoszył dobra Dymitra Wiśniowieckiego i podszedł aż pod Lwów, napędzając stracha mieszkańcom miasta i okolic. Sobieski jako hetman polny był świadomy grozy sytuacji, dlatego jeżdżąc na sejmiki, uświadamiał o niebezpieczeństwie grożącym Rzeczypospolitej, postulując jednocześnie zwołanie pospolitego ruszenia. A tymczasem, jak na złość, sejm przegłosował ograniczenie liczby wojska, a bohatera naszej opowieści postawiono na czele komisji likwidacyjnej, chociaż on sam był przeciwny takiemu rozwiązaniu. Zanim jednak podjęto jakiegokolwiek kroki, należało zapłacić wojsku zaległy żołd, i to za trzy lata wstecz, na co nie było funduszy. 18 sierpnia Sobieski przywiózł swoim żołnierzom zaledwie część zaległej kwoty. Ponieważ zdawał sobie sprawę, że brak wypłaty może skutkować buntem, osobiście przemówił do podkomendnych, namawiając ich do poczekania na zaległą sumę do następnego sejmiku. Sam też nie żałował grosza, wypłacając 78 tysięcy złotych polskich z własnej kieszeni. Rozżalony pisał do swojej Marysienki: „ciężko hetmanic w Polsce, kiedy to wojsko dadzą niepłatne, gołe, głodne. Ja nie wiem, czym to będzie żyło w obozie i czym się biło, bo ani oręza, ani chleba, ani żadnej na świecie rzeczy”⁵⁰.

Owdowiały i pogrążony w żałobie po śmierci Ludwika Marii Jan Kazimierz zupełnie stracił zainteresowanie sprawami państwa. Obawiano się też o jego zdrowie, które, zapewne na skutek traumatycznego przeżycia, jakim dla monarchy była śmierć małżonki, uległo gwałtownemu pogorszeniu. Jak informował swego mocodawcę francuski poseł Pierre de Bonzy: „ci [lekarze], którzy przewidzieli śmierć królowej, nie sądzą, aby jego [króla] koniec był bardzo daleki i nie dają mu nawet ośmiu miesięcy życia. Nogi puchną mu często, a jeśli nie, to znowu dostaje takich duszności, że ledwie może oddychać”⁵¹. Czytając relację Francuza, można odnieść wrażenie, że monarcha był niemalże u progu śmierci, tymczasem sytuacja nie przedstawiała się aż tak źle. Co prawda władca borykał się z pewnymi dolegliwościami, ale nie zagrażały one jego życiu, o czym wkrótce miał się przekonać nawet wspomniany wyżej poseł. Jan Kazimierz bowiem radził sobie z żałobą w wypróbowany wcześniej sposób — romansując na prawo i lewo, na co zwrócił uwagę sam Sobieski, pisząc swojej żonie, iż władca żyje niczym turecki sułtan w haremie. Zapewne na owe romanse króla patrzono by przez palce, gdyby Jan Kazimierz wykazał chociażby najmniejsze zainteresowanie sprawami Rzeczypospolitej, stojącej przed widmem najazdu tatarsko-kozackiego. Ale te kwestie zupełnie go nie obchodziły. Zdołał co prawda zwołać pospolite ruszenie, lecz to było wszystko, na co się zdobył. Nie uszło to uwadze francuskiego posła, który stwierdził nawet w piśmie skierowanym do Ludwika XIV, że dla naszego kraju byłoby lepiej, gdyby monarcha abdykował. Wkrótce życzeniu de Bonzy miało stać się zadość.

Był już najwyższy czas, by zwołać pospolite ruszenie — Tatarzy ruszyli na Tarnopol, niszcząc po drodze Zborów i Pomorzany. Sobieski zdecydował się ruszyć przeciwko nim i 4 października stanął w Podhajcach, gdzie umocnił się w oczekiwaniu na atak nieprzyjaciela. Czekąco go wyjątkowo trudne zadanie, ponieważ zdołał zgromadzić zaledwie 15 tysięcy wojska. Szczęściem w nieszczęściu po stronie Rzeczypospolitej opowiedziało się miejscowe chłopstwo, zmęczone bezustannymi grabieżami Tatarów i sprzymierzonych z nimi Kozaków. Jak relacjonował Marysienkę hetman: „wszystkie a wszystkie wsi tak wypalili, że nie zostawili ani jednej; a nie tylko wsi, ale i zboża w polach i siana”⁵². Rabunki i gwałty tak bardzo dały się okolicznym chłopom we znaki, że nie zważając na to, iż będą walczyć przeciwko prawosławnym Kozakom,

masowo dołączali do wojsk Sobieskiego, a hetman polny koronny ich dozbrajał i szkolił do walki. Zdecydował się też na, jak się okazało, doskonały pod względem taktycznym manewr i rozlokował podległe mu wojska po całym terenie narażonym na tatarsko-kozackie najazdy. Jego lotna jazda skutecznie chroniła miejscową ludność przed grabieżami, brankami w jasyr i mordami, a sam Sobieski zyskał dzięki temu wdzięczność mieszkańców tych terenów. Ponieważ rozproszone siły przeciwnika wszędzie spotykały się z oporem wojsk Rzeczypospolitej, doznając dotkliwych porażek, dowodzący siłami tatarsko-kozackimi Krym Girej i Piotr Doroszenko postanowili skupić wojska i ruszyć na Lwów. Pomimo że doznali dotkliwych porażek pod Pomorzaniem, Buczaczem i Narajowem, zdobycie niemal bez walki Zborowa napawało Kozaków i Tatarów optymizmem i pozwalało im sądzić, że ze Lwowem pójdzie równie łatwo. Tymczasem zjednoczonym wojskom tatarskim i kozackim, w sile niespełna 30 tysięcy, niespodziewanie przeszkodził hetman polny, zastępując im drogę w Podhajcach. Pod swoją komendą Sobieski miał wówczas zaledwie 3 tysiące ludzi, wspieranych przez dozbrojone oddziały miejscowych chłopów, pozornie więc skazany był na porażkę, ale sprawy przybrały zupełnie inny obrót. Pod Podhajcami hetman dał się poznać jako genialny dowódca, który nie tylko skutecznie odparł zjednoczone siły kozacko-tatarskie, ale zadał im bardzo dotkliwe straty, zniechęcając nieprzyjaciela do kolejnych ataków. Wobec takiego rozwoju sytuacji Tatarzy i Kozacy zrezygnowali z prób zdobycia twierdzy szturmem, decydując się na długotrwałe oblężenie. Sobieski tymczasem liczył na pospolite ruszenie, zwołane przez Jana Kazimierza, ale to nie ono zdecydowało o odejściu nieprzyjaciela. Lepszy skutek odniósł atak na praktycznie pozbawiony wojsk Krym, którego to ataku dopuścił się antagonistą Doroszenki, ataman siczowy Sirko. Na wieść o napaści Krym Girej zdecydował się zawrzeć 16 października ugodę z Sobieskim i odstąpić od oblężenia. Osamotniony Doroszenko nie miał innego wyjścia, jak tylko poddać się Rzeczypospolitej. I bardzo dobrze się stało, gdyż oczekiwane przez Sobieskiego pospolite ruszenie nawet nie zdołało się zebrać... „Wszystko za łaską bożą dobrze się stało — relacjonował hetman polny małżonce. — Nieprzyjaciół nabitą siłą; nabrano tak wiele więźniów, jako nigdy więcej, jako Polska Polską. Na ostatek uczynił się taki pokój, jaki nie mógł być na świecie lepszy na stronę Króla JMci i Rzeczypospolitej”⁵³. Sobieski wracał z pola bitwy owiany sławą bohatera, któremu udało się pokonać przeważające siły wroga. Jak to zwykle w takich przypadkach bywa, liczba sił kozacko-tatarskich urosła w opowieściach z niespełna 30 tysięcy do 100, a nawet 180 tysięcy, co tylko zwiększyło powszechne uznanie dla Sobieskiego, zwycięzcy spod Podhajec, którego autorytet i pozycja wśród szlachty zdawały się odtąd niezachwiane. Na sejmikach wręcz domagano się dla niego buławy hetmana wielkiego koronnego po sędziwym, niemal osiemdziesięcioletnim, Stanisławie Rewerze Potockim.

Słodycz odniesionego właśnie zwycięstwa i radość z uwielbienia otwarcie okazywanego mu przez braci-szlachtę skutecznie psuła Sobieskiemu nieobecność ukochanej kobiety. Hetman, kiedy tylko mógł, chwycił za pióro, by skreślić choćby kilka słów do Marysieńki, nieświadomie budując tym samym pomnik ich miłości, który miał przetrwać stulecia. Nie tylko tęsknił, ale też najzwyczajniej cierpiał z pożądania, którego nie mógł zaspokoić z żadną inną kobietą, wszak musiał dochować wierności swojej ukochanej. Zresztą zapewniał ją w listach, że jest kobietą jego życia, jedyną, którą pokochał tak mocno i szczerze.

Jakoż nie możesz Wć moja panno tego mi zaprzeczyć, że wszystką fortunę, wszystkie delicje, wszystek żywot mój utopiłem w osobie Wci mojej duszy, którąm więcej u siebie ważył niż wszystek świat ze wszystkimi jego rozkoszami. Mogłem go zażyć

i chciałem, w różnych krajach; ale mię tu Wć moje serce przykowała rozkazaniem swoim, a potem *insensiblement* [fr. niepostrzeżenie] wpadłem w to nieszczęście, w którym żywot i zdrowie tracić się musi bez wszelkiego na świecie zażywania gustu⁵⁴

— utyskiwał w jednym z listów pisanych niedługo po wyjeździe Marysieńki. W innym żałował, że nie może przemienić się w... pchłę, „żeby się przynajmniej tykał tak ślicznego i tak delikatnego jej ciałeczka”⁵⁵.

Martwił się też o zdrowie ciężarnej żony, ale w głębi serca wierzył, iż wszystko dobrze się ułoży i dane mu będzie zaznać radości ojcostwa. Z listów wynika, że hetmanowi obojętne było, czy Maria Kazimiera obdarzy go synem czy córką, ale na wszelki wypadek wybrał imiona dla dzieci obojga płci. Gdyby urodził się chłopiec, miał nazywać się Jakub Ludwik, aczkolwiek jego małżonka będzie upierać się przy Ludwiku. „Jakub najszuszniej, bo wcześniej pielgrzymować począł i jeszcze w żywocie matki swojej — uzasadniał swój wybór. — Jeśli zaś córkę P. Bóg obiecał, niechaj będzie Teresa, a drugie imię *de la famille* Wci serca mego”⁵⁶. Kiedy jednak żona napisała mu, że martwi się o swoje zdrowie, gdyż zaobserwowała wyciek mleka z prawej piersi, najpierw zasięgnął rady u doświadczonych matek, a później, nie posiadając się z radości, pocieszał strapioną Marysieńkę: „Piszesz mi, moja królewno, że się frasujesz, że z prawej cyceczki mleko ciecze; a tu powiadają, że to jest znakiem chłopca”⁵⁷.

Sobieski nie byłby sobą, gdyby razem z czterdziestoosobową świtą, w skład której wszedł też jego szwagier, kawaler d’Arquien, nie wysłał zaufanego człowieka, powierzając mu zadanie czuwania nad ukochaną kobietą. Marysieńce w jej peregrynacji do Francji towarzyszył daleki krewny hetmana, Wiktoryn Sobieski. Wiktoryn był synem Ludwika Sobieskiego i Barbary z Kuropatnickich, a jego ojciec zginął w jednej z bitew w okresie powstania Chmielnickiego. Po śmierci Ludwika Barbara wyszła za mąż za Marcjana Grabiankę, który właściwie wychował małego Wiktoryna. Krewny Sobieskiego, któremu hetman powierzył opiekę nad swoją ciężarną żoną, był człowiekiem bardzo młodym — w chwili, gdy wyruszał do Paryża, mógł mieć co najwyżej szesnaście lat. Nic więc dziwnego, że z zadania sprawowania nadzoru nad Marią Kazimierą wywiązywał się niezbyt dobrze. Kiedy dotarł do Paryża, miejscowe rozrywki wciągnęły go tak bardzo, że zamiast o poczynaniach Marysieńki i jej zdrowiu pisał hetmanowi całe elaboraty na temat życia towarzyskiego i uciech, jakie stały się jego udziałem. „Z listów p. Wiktoryna rozumiem, że jest wielki i nieostrugany kostur. Takie mi błazeństwa w swoim liście pisze, że ledwo nań żyw [tzn. wściekły]. Pisze mi awizy [nowiny], które zasięgnął od jednego kabaretiera pod Hamurkiem. Gdybym nie znał człowieka, rzekłbym, że szalony albo że drwi sobie ze mnie”⁵⁸ — zżymał się hetman w liście do żony. Na wieści dotyczące Marysieńki, a zwłaszcza jej stanu zdrowia, oczekiwał z wielkim niepokojem, tym bardziej że ona sama utyskiwała na dokuczające jej dolegliwości, zupełnie normalne w jej stanie. „W ostatnim tym liście swoim piszesz mi Wć moje serce *du 7ème octobre*, żeś Wć bardzo ciężarna i że już bóle poczynają uprzykrzać się Wci. Asekuruję w tym szczerze Wci, moja śliczna Marysieńko, że ich dopomagam wiernie Wci sercu memu, choć inną manierą”⁵⁹.

Tymczasem Maria Kazimiera, przybywszy do Francji, przeżyła bolesne rozczarowanie — po śmierci Ludwika Marii, wielkiej orędowniczki elekcji *vivente rege* i osadzenia Francuza na tronie Rzeczypospolitej, bardzo zmalały szanse na koronę dla kandydata popieranego przez Wersal, aczkolwiek jeszcze ich nie przekreślano. Ale to wystarczyło, by jej przyjazd zignorowano zarówno na dworze, jak i w rodzinie Kondeuszów, z którą zresztą jej krewni byli skonfliktowani. Marysieńka nieopatrznie w ów konflikt się zaangażowała, chcąc nakłonić króla do poparcia

rodziny d'Arquien w sporze. Jak Iwica walczyła też o zaszczyty dla męża w zamian za poparcie kandydata francuskiego w trakcie elekcji po spodziewanej abdykacji Jana Kazimierza. W tym przypadku odniosła początkowo nawet sukces, ponieważ obiecano jej zarówno order, jak i łaskę marszałkowską, a także tytuł księcia dla Sobieskiego. Niestety Maria Kazimiera przesadziła, upominając się o tytuły i zaszczyty dla własnej rodziny, i ostatecznie nie wywalczyła niczego, a jej małżonek musiał obejść się smakiem, co chyba bardziej zabolalo samą Marysienkę niż hetmana polnego koronnego. Ambitna kobieta jak policzek odebrała też odmowę korzystania z taboretu, czyli przywileju siedzenia w obecności monarchy, o co starała się jeszcze jako pani Zamoyska.

Dnia 5 grudnia 1667 roku, w wigilię św. Mikołaja, przebywający w Żółkwi Sobieski otrzymał radosną wieść: 2 listopada jego ukochana Marysienka powiła zdrowego i silnego chłopca. Szczęśliwego ojca o tym radosnym wydarzeniu poinformował osobiście jego teść, który bez ogródek w pierwszych słowach swego pisma obwieścił adresatowi: *Votre femme est accouchée d'un fils!*, czyli: „Twoja żona urodziła syna!”. Hetman nie posiadał się z radości, chociaż we wcześniejszej korespondencji zapewniał swoją połowicę, że wszystko mu jedno, czy obdarzy go potomkiem płci męskiej, czy córką: „U mnie za jedno, choć Jakubek, choć Tereska, wszystko to do kobiałki”⁶⁰. Teraz jednak pisał: „Lubom ci się tedy był nagotował przywitać Teresę, nie Jakuba, ale i za tę P. Bogu podziękowałem omyłkę, a najbardziej za to, że zachował Mamusienkę śliczną, jedyne moje kochanie i z tak ciężkiego wyprowadził terminu, na który ja tylko wspomniawszy, zawszem obumierać musiał”⁶¹. Uradowany młody tatuś czym prędzej wysłał pierworodnemu prezent — szubkę podszytą futrem, którą osobiście uszyła wojewodzina Marianna Jabłonowska. Szubka była tak zmyślnie zrobiona, że można ją było nosić nie tylko zimą, ale i wiosną, po wywróceniu futrem na wierzch. Całość obszyto ogonkami, które w zamyśle ojca miały służyć Jakubkowi do zabawy. Sobieski pozwolił sobie nawet na, co tu dużo mówić, niewybredne żarty, dotyczące wcześniejszych porodów swojej małżonki. „Miewałaś [inne dzieci], moja panno, ale wszystko dziurawe, niezupełne, a teraz masz z łaski bożej owoc zupełny i z jąderkami”⁶². Współczesnych takie żarty mogą razić, wszak wszystkie dziewczynki, o których pisał Sobieski, zmarły zaraz po urodzeniu lub we wczesnym dzieciństwie, a ich wspomnienie musiało bardzo boleć Marię Kazimierę, ale pamiętajmy, że w czasach, w których rozgrywały się opisywane tu wydarzenia, do zagadnienia śmierci dzieci podchodzono inaczej niż dzisiaj. Za zmarłymi starano się nie rozpaczać, a jedyną troską było, aby je przed śmiercią ochrzcić. Co więcej, chrzczono nawet te niemowlęta, które rodziły się martwe, gdyż wierzono, iż dusze nieochrzczonych dzieciątek trafiają prosto do piekła. Jakoś sobie musiano radzić ze śmiercią potomstwa, ponieważ w dobie baroku i jeszcze długo później było to bardzo częste zjawisko. Wystarczy powiedzieć, że na tysiąc urodzonych dzieci trzysta nie dożywało wieku dorosłego.

W otoczeniu hetmana na wieść o narodzinach malca zapanowała wielka radość, cieszyły się także jego najbliższe krewne — siostra Katarzyna Radziwiłłowa i ciotka Dorota Daniłowiczówna, ksienia lwowskich benedyktynek. Zwłaszcza ta ostatnia wyraziła wielką radość, że dobry Bóg pozwolił jej doczekać narodzin wnuka, za jakiego uznała potomka swego siostrzeńca. Razem z hetmanem przyjście na świat jego pierworodnego świętowały też lwowskie kościoły i klasztory, bynajmniej nie dlatego, że tamtejsi duchowni żywili jakiś szczególny sentyment do rodu Sobieskich — świeżo upieczony ojciec zwolnił tamtejsze świątynie od tak zwanych „chlebów zimowych”, czyli obowiązku utrzymania wojska w sezonie zimowym.

Syna Sobieskiego ochrzczono, zgodnie z życzeniem jego ojca, zaraz po urodzeniu tak zwanym

chrztem z wody, a oficjalną ceremonię przełożono na później i odprawiono dopiero po upływie pół roku. Rodzicami chrzestnymi zostali król Ludwik XIV oraz żyjąca na wygnaniu we Francji królowa Maria Henrietta Burbon, wdowa po Karolu I Stuarcie, ściętym w 1649 roku. Jak łatwo się domyślić, francuski monarcha nawet nie pojawił się na ceremonii, co nie było niczym dziwnym ani nie stanowiło policzka dla rodziny królewskiego chrześniaka. Koronowane głowy, z małymi wyjątkami, podobnie zresztą jak papież, rzadko fatygowali się na tego typu ceremonie. Mały Ludwik Henryk Jakub, bo takie imiona otrzymał na chrzcie pierworodny syn Sobieskiego, wystawił nerwy obecnych na uroczystości na poważną próbę, ponieważ przez cały czas darł się wniebogłose. Jego rodzona ciotka, Maria Ludwika d'Arquien, nie wytrzymała napięcia i zemdlła, natomiast matka królewskiego chrześniaka spociała się jak szczur. Kiedy jednak cały ten incydent opisała w liście do męża, ten uznał zachowanie swego synka za dobry omen, gdyż, jak argumentował, płacz dziecka stanowi dobrą wróżbę siły i zdrowia.

Sobieski w każdym liście dopytywał się o swego pierworodnego, ale bywał też o niego nieco zazdrosny. „Ten francik mały, jako mi pisze M. Chevalier, tłusty i duży. Daj P. Boże tak i do końca; aleś się też Wć moja duszo miała wniwecz obrócić, dźwigając go. Niech mi często nie bywa na pościeli u Mamusieńki, żeby zaś nie odsadził tatusia od miłości najśliczniejszej Marysienki”⁶³ — przekomarzał się w jednym z listów do żony. Wciąż upierał się jednak, by dziecko nazywać Jakubem, a nie Ludwikiem:

O imieniu chłopca naszego pisałem już dawno, żeby dla Polski miał imię jedno Jakub, a drugie dla tamtych krajów, jakie Wć moja panno sama zechcesz; ale podobno przyjdzie Louis. Jakub nie wiem czemu nie miało być piękne: nawet i złoto dobre i piękne w Anglii, co z niego jakobusy robią. A do tego, że to imię ojca mego, a u nas się tak w Polsce zachowuje; i już go tu tak wszyscy zowią. Ale i ja to daję na wolę Wci serca mego⁶⁴.

Cieszył się, kiedy żona doniosła mu w liście, że mały Ludwik Jakub, którego zaczęto nazywać Kubeczkiem lub Fanfanikiem, poza mlekiem dostaje też papki, i poważnie martwił się trapiącymi niemowlę kolkami. Korzystając z rad krajowych znachorek, doradzał żonie jak najczęstsze kąpiele Fanfanika w ciepłej wodzie, co miało stanowić remedium na tę dolegliwość. Radził też, aby dziecku podawać odrobinę wina w celu wzmocnienia jego odporności. Kiedy Sobieski dowiedział się, że jego pierworodny cierpi na zbyt wąskie ujście cewki moczowej, stanowczo zakazał interwencji chirurgicznej, zalecając zastosowanie domowej metody, wynalezionej przez polskich medyków. Polegała ona na wprowadzeniu w ujście cewki korzenia żywokostu, który pod wpływem wilgoci pęczniał i niemal bezboleśnie rozszerzał ujście, przy czym grubość korzenia powinna być codziennie większa. Brzmi to nieco upiornie, ale w przypadku Jakuba ta terapia okazała się nadzwyczaj skuteczna. Hetman napominał małżonkę, by dbała o odporność jego pierworodnego i, poza podawaniem mu wspomnianego wcześniej wina, zapewniła mu regularne spacerki: „Jakubka pocałować ode mnie. Nosić go po dworze bardzo potrzeba. Ja w takim wieku, jak on, nie znałem prawie izby, ustawicznie mnie noszono po dworze; i teraz Wć wiesz, moja panno, jako mi niezdrowo, kiedy kilka dni na świeżym nie będę powietrzu”⁶⁵ — upominał Marysienkę w jednym z listów.

Ponieważ Sobieski bardzo tęsknił za swoją Astreą, Marysienka już w lutym 1668 roku, kiedy jej syn miał zaledwie trzy miesiące, rozważała możliwość powrotu do domu. Zastanawiano się jednak, czy malec wytrzyma tak długą i ciężką podróż, dlatego rozpatrywano też inną

ewentualność — Maria Kazimiera miała wrócić sama, a jej syn nieco później. Marysienka mogła zostawić Fanfanika pod opieką swoich krewnych, których serca maluszek zawojował bez reszty. Sobieski co prawda pragnął zobaczyć syna, ale zdawał sobie sprawę, że Kubeczek przyjazd do ojczyzny swego taty może przypłacić zdrowiem albo i życiem, dlatego ostateczną decyzję w tej sprawie pozostawił żonie. Kiedy jednak małżonka postanowiła pozostać z dzieckiem we Francji, w listach dosłownie zasypał ją zarzutami i pretensjami. Mało tego, uznał, że jego Astrea jedynie udaje miłość do niego, a małżeństwo z Sobieskim jest dla niej ciężarem. Przed wyjazdem poprzysiągł Marysienkę wierność, a związana z jej długą nieobecnością wstrzemięźliwość płciowa zaczęła mu bardzo doskwierać. Pod koniec marca 1668 roku pisał, stosując ustalony wcześniej z żoną erotyczny szyfr:

Ja tylko o to proszę, abyś się zmiłowała nad uwiędłym już Celadonem a odżywiła go ślicznością swoją, która by i z grobu człowieka do siebie przywabiła. Zmiłuj się, zmiłuj, śliczna dobrodziejko, niech lata nasze tak marnie nie idą, ile mnie, który bym się przez milion lat nie mógł nasycić wszystkich śliczności mojej jedynej panny; a żywot nasz jako krótki, ile mój! Niech tedy mam jako najprędszą deklarację, uniżenie proszę, przy nadziei, której mi Wć w żadnym liście uczynić nie chcesz, że mi tę *absence* [fr. nieobecność] sowitymi nagrodzisz karesami i że muszka przyjmie wdzięcznie *son galant* [fr. jej kochanka]. Pisywałaś, moje serce, przedtem i mówiłaś, żeś beze mnie sypiać nie mogła, a teraz podobno takeś się Wć przyzwyczaiła, że się o tym i nie pomyśli. Wiem, że znowu zrazu przykro i ciężko będzie sypiać Wci sercu memu z swoim uniżonym a wiernym Sylwandrem, który P. Boga prosić nie przestanie, aby tej jeszcze doczekał szczęśliwości. A teraz całuję, począwszy od busieńki, wszystkie śliczności, a najbardziej tyteńki, muszeczkę, pajączka i śliczne nóżeczki⁶⁶.

Pobyt Marysienki we Francji był jej mężowi nie na rękę także z dość prozaicznego, bo materialnego powodu — stanowczo zbyt wiele go kosztował. A tymczasem Sobieski miał inne, ważniejsze wydatki. Musiał zadbać o swoje włości, poważnie zniszczone przez najazdy tatarskie, oraz z własnej kieszeni łątać dziury w wojskowym budżecie, wypłacając zaległe żołdy. Nic dziwnego, że nieustające prośby żony o przysyłanie pieniędzy doprowadzały go niemal do szału. Zresztą Maria Kazimiera bardzo przydałaby się mu na miejscu, mogłaby bowiem, wzorem innych magnackich małżonek, wyręczyć zajętego wojaczką Sobieskiego w nadzorowaniu i zarządzaniu jego rozległymi dobrami.

Marysienka w końcu wysłuchiwała błagań swego Celadona i we wrześniu 1668 roku wróciła do Polski. 20 września uszczęśliwiony Sobieski mógł wreszcie nacieszyć się wdziękami swojej Astrei, a mały Fanfanik w końcu poznał tatę. W czasie owych piętnastu miesięcy pobytu Marii Kazimierzy we Francji nie tylko zmieniła się sytuacja w Rzeczypospolitej, ale również w życiu jej męża. Podczas sejmu zwołanego na dzień 24 stycznia 1668 roku król Jan Kazimierz nadał Sobieskiemu buławę hetmana wielkiego koronnego. Było to bardzo ważne i eksponowane stanowisko, ponieważ, pomimo że formalnie dowództwo nad wojskiem Rzeczypospolitej sprawował aktualnie panujący monarcha, to faktycznie władzę nad armią dzierżyli hetmani wielcy, koronny i litewski, pełniący w zasadzie funkcję dzisiejszych ministrów spraw wojskowych i jednocześnie naczelnych wodzów. Od czasów Jana Zamoyskiego, który hetmanem wielkim koronnym został za panowania Jana Batorego, urząd ten był pełniony dożywotnio. Do obowiązków hetmana wielkiego koronnego i litewskiego należało planowanie

i przeprowadzanie operacji wojskowych, werbunek wojsk zaciężnych oraz powoływanie pospolitego ruszenia, odpowiednio na ziemiach Polski i Wielkiego Księstwa Litewskiego. Obaj hetmani sprawowali także władzę sądowniczą nad wojskiem, mianowali wyższych dowódców, kontrolowali wydatki na wojsko, dozorując między innymi wysokość i termin wypłaty żołdu.

Jan Kazimierz, nadając Sobieskiemu buławę, uzasadniał swoją decyzję wcześniejszymi dokonaniem nowego hetmana, ze wskazaniem na jego zwycięstwo nad przeważającymi siłami wroga pod Podhajcami. I tym razem nie obyło się bez intryg i knowań. Niechętny wyborowi monarchy podkanclerzy Olszowski miał zamiar co prawda zgodzić się na proponowanego przez króla kandydata, ale pod warunkiem że będzie on swoją funkcję pełnił wyłącznie tymczasowo, co było niezgodne z obowiązującym wówczas prawem. Kiedy z tych niecznych planów nic nie wyszło, wrogowie Sobieskiego doprowadzili do wręczenia wakującej buławy hetmana polnego człowiekowi od dawna skonfliktowanemu z mężem Marysieńki — księciu Dymitrowi Wiśniowieckiemu, pomimo że nie miał on wystarczającego doświadczenia wojennego. Hetmani polni nie mieli aż tak wielkiej władzy jak hetmani wielcy, którzy byli ich zwierzchnikami, ale współpraca między hetmanem koronnym a polnym musiała przebiegać bez zgrzytów, co raczej nie było możliwe w przypadku nominacji osobistego wroga Sobieskiego, otwarcie manifestującego swoją niechęć. Warto dodać, że wspomniany konflikt między hetmanem a księciem datował się od dnia, kiedy Wiśniowieckiemu odmówiono ręki Katarzyny Sobieskiej. Ponoć Dymitr był tak zdeterminowany, żeby poślubić ukochaną kobietę, że planował nawet jej porwanie sprzed ołtarza, czemu skutecznie zapobiegli ludzie Sobieskich. Straty panny Katarzyny książę nie przebolewał nigdy, podobnie jak klęski swoich zabiegów o otrzymanie wakującej po Czarnieckim buławy hetmana polnego koronnego, którą ostatecznie, jak wiemy, przyznano Janowi Sobieskiemu.

Dnia 16 września, czyli tuż przed powrotem Marysieńki, stało się to, czego spodziewano się od dawna: Jan Kazimierz abdykował. Prawdę mówiąc, od dawna już oczekiwano abdykacji nieudolnego monarchy, mającego po dziurki w nosie królowania w Rzeczypospolitej. Przed podjęciem ostatecznej decyzji skutecznie powstrzymywała go jednak jego nowa faworyta — Katarzyna Denhoffowa, żona wielkiego podkomorzego koronnego, w której Jan Kazimierz zakochał się, ujrawszy ją w roli pasterki na deskach dworskiego teatru. Mówiono o niej, że jest „bardzo jeszcze piękna, chociaż już nie pierwszej młodości”⁶⁷, co bynajmniej nie znaczy, że kiedy trafiła do królewskiego łóża, zbliżała się do wieku balzakowskiego — przekroczyła wówczas... dwudziesty piąty rok życia! Para zbliżyła się do siebie jeszcze za życia Ludwiki Marii i Denhoffowa była jedyną spośród królewskich miłośnic, której królowej nie udało się usunąć z jego otoczenia. Miała na Jana Kazimierza ogromny wpływ, który wzrósł jeszcze po zgonie jego małżonki. Co prawda, jak wcześniej wspomniano, król miewał też liczne romanse z innymi dwórkami, ale żadna nie mogła zagrozić pozycji pięknej podkomorzyny.

To właśnie ona skutecznie powstrzymywała go od abdykacji, ale nadszedł dzień, kiedy monarcha, nie zważając na nalegania i dąsy konkubiny, zdecydował się jednak wcielić swój zamiar w życie. 12 czerwca 1668 roku na radzie senatu oficjalnie ogłosił swoje plany, ale senat nie wyraził na nie zgody, postanawiając całą sprawę odłożyć do obrad sejmu zwołanego w trybie nadzwyczajnym na 27 sierpnia 1668 roku. Szlachta starała się odwieść monarchę od zamiaru abdykacji, aczkolwiek współcześni historycy sądzą, że była to raczej kurtuazja. W rzeczywistości niemal wszyscy chcieli się pozbyć nieudolnego władcy. 16 września odczytano w końcu dokumenty abdykacyjne, a szczerze wzruszony król zabrał głos po raz ostatni. Wygłaszając swoją ostatnią mowę jako władca Rzeczypospolitej, Jan Kazimierz

rozplakał się i nie mógł dokończyć przemówienia, które ostatecznie odczytał za niego podkanclerzy. Jednak to nie ta mowa zapadła w pamięć zebranych, ale inna, wcześniejsza, wygłoszona podczas sejmiku abdykacyjnego. Król powtórzył wówczas swe przemówienie wygłoszone jeszcze w 1661 roku, kiedy uzasadniał przeprowadzenie elekcji *vivente rege*, w której przepowiedział rozbiory Polski, mówiąc: „Moskwa i Ruś odwołają się do ludów jednego z nimi języka i Litwę dla siebie przeznaczają; granice Wielkopolski staną otworem dla Brandenburczyka, a przypuszczać należy, iż [ten] o całe Prusy certować [starać się] zechce, wreszcie Dom Austriacki spoglądający łakomie na Kraków nie opuści dogodnej dla siebie sposobności i przy powszechnym rozrywaniu państwa nie wstrzyma się od zaboru”⁶⁸. Czy można się dziwić, że owa zadziwiająco trafna wypowiedź dziś bywa nazywana prorocstwem Jana Kazimierza?

W 1668 roku, kiedy monarcha zrzekł się korony, nic nie zapowiadało dziejowej katastrofy, jaka za ponad sto lat miała spotkać naszą ojczyznę. Teraz należało dokonać obioru nowego króla, co wiązało się ze zwołaniem szlachty na elekcję, a hetman wielki koronny i jego francuska żona zamierzali odegrać główne role w wyborze kolejnego władcy naszego kraju.



Michał Korybut Wiśniowiecki, król Polski

Rozdział 8
Jan Sobieski zdrajcą stanu?

Maria Kazimiera, wróciwszy do kraju, postanowiła, wzorem swojej zmarłej matki chrzestnej i protektorki, Ludwiki Marii, zaangażować się w działalność polityczną, a konkretnie — w starania o wybranie na króla kandydata Francji. Zgodnie z wolą Ludwika XIV był to książę Ludwik Burbon, zwany Kondeuszem. Małżeństwo Sobieskich, stojąc na czele stronnictwa profrancuskiego, miało dołożyć wszelkich starań, by życzenie Króla Słońce zostało spełnione. Nowym władcą mógł także zostać młodszy książę Henryk Juliusz Burbon, jak wiadomo, żonaty z siostrzenicą zmarłej Ludwiki Marii, ale większość Polaków ze stronnictwa profrancuskiego opowiadała się jednak za jego ojcem, nazywanym ze względu na swoje zasługi wojenne — Wielkim. W efekcie działalności Marysienki i jej męża (kolejność jest jak najbardziej uzasadniona, ponieważ to pani Sobieska grała w czasie elekcji w tym tandemie pierwsze skrzypce) kandydata francuskiego poparła niemal cała magnateria, biorąc za to niemałe pieniądze. Maria Kazimiera faktycznie przejęła przywództwo nad stronnictwem profrancuskim, któremu wcześniej przewodził „zięć dworu” Jana Kazimierza i Ludwiki Marii, podskarbi koronny i wielce utalentowany poeta, wspomniany już w niniejszej publikacji, Jan Andrzej Morsztyn. Ponieważ król Francji był przekonany, że wynik wolnej elekcji zależy głównie od Sobieskich, a męża Marysienki uważał, skądinąd słusznie, za najważniejszą osobowość polityczną ówczesnej Polski, postanowił wynagrodzić go za okazaną pomoc w tej sprawie, obiecując mu tytuł para i diuka Francji, Order Świętego Ducha, o który wcześniej zabiegała dla małżonka Maria Kazimiera, oraz dożywotnią pensję w wysokości 12 tysięcy liwrow rocznie, wypłacanych począwszy od dnia obioru Francuza na tron naszego kraju. Biograf Sobieskiego, Zbigniew Wójcik, uważa, że przysły zwycięzca spod Wiednia postępował słusznie i mógł przysłużyć się ojczyźnie. Twierdzi wręcz, „że obiór księcia francuskiego na króla Polski byłby ze wszech miar korzystny dla naszego kraju, pozwoliby mu na przeprowadzenie minimum niezbędnych reform wewnętrznych, przede wszystkim na wzmocnienie władzy centralnej, pozwoliły na polepszenie jego sytuacji międzynarodowej”⁶⁹.

Początkowo wydawało się, że sprawy rozwijają się zgodnie z planami Sobieskich i Kondeusz zostanie obrany królem, ale niespodziewanie do gry włączyła się szlachta, przeciwna rosnącym wpływom magnaterii. 13 listopada, na jednym z posiedzeń sejmu obradującego w Warszawie od 5 listopada do 6 grudnia 1668 roku, poseł ziemi krakowskiej Jan Odrowąż Pieniążek wystąpił z oficjalnym wnioskiem, by żaden z posłów nie mógł poprzeć kandydata, od którego wcześniej brał pieniądze. A jak wiadomo, dwór w Wersalu nie żałował grosza na poparcie Kondeusza. W sejmie rozpetęła się wówczas wielka awantura, w której do głosu doszły skrywane wcześniej nastroje ksenofobiczne polskiej szlachty. Nie dość, że zażądano bezzwłocznego usunięcia kandydatury Kondeusza, to jeszcze prymasowi Prażmowskiemu, sprawującemu funkcję *interrex*a w czasie bezkrólewia i członkowi stronnictwa profrancuskiego, zarzucono branie łapówek od Francji. Oburzony duchowny bezzwłocznie opuścił salę obrad, a bez niego, jako głowy państwa, dalsze posiedzenie nie mogło się odbywać. Ostatecznie hierarchę jakoś dało się udobruchać, ale przeciwnicy Kondeusza odnieśli zwycięstwo, doprowadzając do uchwalenia i przyjęcia tekstu przysięgi, jaką wszyscy posłowie i senatorowie musieli uroczyście złożyć. Przyniekali w niej, że nie zagłosują na kandydata, od którego brali wcześniej pieniądze, co praktycznie uniemożliwiało zwycięstwo francuskiego księcia, u którego w kieszeni siedzieli co ważniejsi posłowie i senatorowie.

Nawiasem mówiąc, zebrana na polach elekcyjnych szlachta ostatecznie dokonała zupełnie zaskakującego wyboru, decydując się na zwieńczenie koroną głowy Piasta, czyli człowieka wywodzącego się spośród nich samych, będącego, zdaniem szlacheckiej braci, gwarantem

zachowania ich swobód. Wybór niespodziewanie padł na Michała Korybuta Wiśniowieckiego, dwudziestodwujęciolatniego syna sławnego Jaremy, pogromcy Kozaków. Jak miała pokazać przyszłość, nie była to decyzja korzystna dla Rzeczypospolitej. Nie wiadomo, kto jako pierwszy wysunął kandydaturę młodego Wiśniowieckiego, ale do wyboru Polaka na tron z pewnością przyczyniła się publikacja pióra Olszowskiego pod tytułem *Ocena kandydatów do berła polskiego, mianowicie Moskala, Neuburga, Kondeusza, Lotaryńczyka i Piasta*, której autor dowodził, iż najkorzystniejszym rozwiązaniem dla państwa byłby wybór rodzimego kandydata.

Nowo obrany monarcha nie był, jak pisze Wójcik, „człowiekiem słabym, nieudolnym, ograniczonym”⁷⁰, ponieważ legitymował się nie tylko gruntownym wykształceniem, ale także znajomością ośmiu języków. Aczkolwiek nie był także silną indywidualnością i w niczym nie dorównywał, co prawda okrutnemu, ale cieszącemu się wielkim mirem wśród szlachty, księciu Jaremie. A tak ciężkie czasy, w jakich przyszło mu zasiadać na tronie, wymagały władcy silnego, obdarzonego żelaznym charakterem i umiejącego dogadać się zarówno ze szlachtą, jak i z magnaterią. Kraj wszak wciąż lizał rany po szwedzkim potopie, a już musiał mierzyć się z agresją turecką.

Michał Korybut Wiśniowiecki miał jeszcze jedną, pozornie błahą, ale dla jego poddanych istotną wadę — nie lubił polskich tradycyjnych strojów, w których, jako mężczyzna niski i tęgi, wyglądał po prostu śmiesznie. Zdecydowanie lepiej prezentował się w ubraniach szytych na modłę zachodnią. Poza tym bardzo lubił peruki, które nad Wisłą przyjmowały się opornie, a moda na ich noszenie była bardzo krytykowana, zwłaszcza przez przedstawicieli Kościoła, ale nie tylko. Zakładanie peruk przez mężczyzn ostro potępiał chociażby Stefan Czarniecki. Tymczasem nowo obrany król miał ich sporą kolekcję, i to na każdą okazję — czarne, które zakładał na uroczystości pogrzebowe, neutralne w ciemnych odcieniach, zakładane na zwykłe posiedzenia sejmu, oraz blond, którymi majestat królewski zdobił swą łysiejącą głowę podczas parad wojskowych i świąt. Poza tym, czym wprawiał w osłupienie nawet swoich zagorzałych zwolenników, monarcha się malował. Ten zupełnie nieznaną nad Wisłą zwyczaj podpatrzył zapewne u mężczyzn na zachodzie Europy, pudrujących swoje twarze i pokrywających różem policzki. Nie tak wyobrażano sobie króla-Piasta. Przywiązana do tradycji szlachta wysoko ceniła tych władców, którzy chodzili ubrani podobnie do swoich poddanych, nie gardząc kontuszem ani delią. To właśnie zamiłowanie do takich strojów zaskarbiło Władysławowi IV sympatię polskiej szlachty, zapewniając mu zwycięstwo w elekcji. Jego brat i następca, Jan Kazimierz, który wolał ubierać się zgodnie z zachodnią modą, z rzadka decydował się przywdziewać żupan, zazwyczaj z okazji uczestnictwa w obradach sejmu, co miało być ukłonem w stronę szlacheckiej braci. Tymczasem Michała Korybuta Wiśniowieckiego nie stać było nawet na taki, z pozoru drobny, gest. W efekcie zamiast zyskiwać sprzymierzeńców, pomnażał sobie wrogów.

Przekonał się o tym chociażby w trakcie sejmu w 1672 roku. Zgodnie ze zwyczajem, który szanowali wcześniej wszyscy monarchowie, król powinien stawić się na obradach w tradycyjnym polskim stroju, ale Wiśniowiecki takiego nie posiadał, musiano więc go uszyć. Problem polegał na tym, że obrady rozpoczynały się następnego dnia, w związku z czym król zwrócił uwagę, że nie ma możliwości przygotowania w tak krótkim czasie polskiego stroju godnego królewskiego majestatu. W efekcie władca przyszedł na obrady odziany tak jak zwykle, co wzburzyło posłów. Zebrana na sejmie szlachta nazwała nawet ubranie króla... strojem aktorskim. Podczas gdy posłowie omawiali drażliwą kwestię monarszego *image'u*, sam Wiśniowiecki niecierpliwie czekał w izbie senatorskiej na zapowiedziane od rana powitanie i aż trzy razy wysyłał do izby poselskiej posłańców z zapytaniem, kiedy posłowie raczą wreszcie

przybyć. Ostatecznie panowie posłowie przystąpili do ceremonialnego pocałowania ręki królewskiej dopiero o czwartej po południu. Cała ceremonia przeciągnęła się do późnych godzin nocnych i właściwe rozpoczęcie prac sejmu odłożono do następnego dnia, za co obwiniano oczywiście władcę.

Dla Sobieskiego wybór syna Jaremy był wielką porażką i to nie tylko dlatego, że matka nowo obranego króla od dawna miała na pieńku zarówno z jego małżonką, jak i z nim samym. Uważał, że korona Rzeczypospolitej spoczęła na głowie wyjątkowo niegodnego tytułu królewskiego człowieka, którego, niepomny na monarszy majestat, nie wahał się nazywać „małpą”. Wiśniowiecki, zmagający się z legendą swego wielkiego ojca, doskonale zdawał sobie sprawę z antypatii, jaką darzy go hetman wielki koronny, i z niesnasek pomiędzy jego małżonką a matką króla, Gryzeldą Wiśniowiecką. Tymczasem on sam miał wielką słabość do swojej cioteczki, ślicznej Marysieńki Sobieskiej, którą znał jeszcze z czasów pobytu na dworze wuja, Sobiepana Zamoyskiego, w Zamościu. Być może dzięki pani Sobieskiej napięte stosunki między monarchą a hetmanem wielkim koronnym ułożyłyby się lepiej, gdyby nie fakt, że głównym doradcą nowego władcy został, skonfliktowany z hetmanem, Andrzej Olszowski, gorący zwolennik związania Rzeczypospolitej z Austrią Habsburgów. W efekcie Sobiescy w 1669 roku, zaraz po koronacji nowego króla, zaszyli się w swoich majątkach na Rusi i nie mieli najmniejszego zamiaru bywać na dworze monarszym, na którym, głównie za sprawą zwolenników Wiśniowieckiego, nie byli mile widziani.

Marysienka zdobyła się jednak na wyjazd do Częstochowy na ślub monarchy z arcyksiężniczką Eleonorą, przyrodnią siostrą cesarza Leopolda. Głównym architektem tego małżeństwa był zaprzysięgły wróg Sobieskiego — Olszowski. Ceremonia odbyła się 27 lutego 1670 roku w zupełnie wyjątkowym jak na śluby polskich monarchów miejscu — w sanktuarium na Jasnej Górze. Habsburżanka została ponadto koronowana w Warszawie, w kolegiacie św. Jana, a nie, jak wymagała tradycja, w Krakowie. O ile monarcha nigdy nie zdobył sympatii poddanych, o tyle Polacy z miejsca pokochali Eleonorę, kobietę skromną i cichą, zupełnie inną niż poprzednia królowa — rozpolitykowana Ludwika Maria. To, że poddani uważali małżonkę monarchy za osobę skromną, nie oznacza, że rzeczywiście była szarą myszką. Wręcz przeciwnie — kochająca modne stroje i klejnoty Eleonora Habsburg śmiało mogłaby wziąć udział w rankingu na najpiękniejszą polską królową, obok takich piękności jak Jadwiga Andegaweńska czy Helena Moskiewska, żona Aleksandra Jagiellończyka. A ponieważ jej szczupła, niemal chłopięca sylwetka bardzo przypominała figury współczesnych modelek, zapewne zajęłaby jedną z czołowych lokat.

Małżeństwo z niskim, tęgim i mocno łysiejącym Michałem Korybutem Wiśniowieckim nie było zapewne szczytem jej marzeń, tym bardziej że w młodości kochała innego mężczyznę — księcia Karola Lotaryńskiego, z którym była nawet zaręczona. Kiedy jednak w 1669 roku Olszowski stawił się w Wiedniu, prosząc o jej rękę w imieniu polskiego króla, uznano, iż ślub Habsburżanki z władcą Rzeczypospolitej jest znacznie korzystniejszy dla interesów dynastii niż jej związek z księciem Lotaryngii, i zaręczyny zerwano. Siedemnastoletnia Eleonora pogodziła się z losem i wyruszyła do dalekiej Polski, gdzie, zostawszy małżonką monarchy, starała się jak najlepiej wywiązywać się ze swoich obowiązków, zarówno podczas oficjalnych uroczystości, jak i w alkowie. A w tym ostatnim przypadku sprawa nie była łatwa, gdyż jej mąż był najprawdopodobniej impotentem lub homoseksualistą. Tak przynajmniej twierdzili niechętni mu poddani, skupieni we wciąż prężnie działającym stronnictwie profrancuskim, którego członków nazywano teraz malkontentami. Być może w tych pogłoskach było ziarno prawdy, skoro cała

Warszawa mówiła o „psuciu pacholąt” przez króla. Twierdzono też, że współżyje ze swoim faworytem, niejakiem Konarzewskim.

Trzeba jednak przyznać, że patrząc z boku na królewską parę, można było odnieść wrażenie, że tworzą idealne stadło małżeńskie. Eleonora towarzyszyła mężowi w licznych podróżach i brała udział we wszystkich uroczystych inauguracjach sejmu. Co więcej, była nawet dwa razy brzemienna! Po raz pierwszy zaszła w ciążę zaraz po ślubie, ale poroniła zaledwie miesiąc po koronacji. W 1671 roku znowu była w stanie błogosławionym, ale i tym razem poroniła. Ponieważ większość poddanych uważała monarchę za „kochającego inaczej” bądź wręcz impotentą, sugerowano, że Wiśniowiecki zmusił Eleonorę do udawania ciąży, a następnie do sfingowania poronienia. Co ciekawe, w tę dość nieprawdopodobną historię uwierzył nawet Paweł Jasienica, który napisał, iż królowa musiała bardzo się nudzić, leżąc przez kilka tygodni w łóżku i rzekomo dochodząc do zdrowia po przebytych poronieniu. Historyk najwyraźniej zapomniał, że ciężarną królową otaczał tłum medyków i położnych, dbających o jej zdrowie, a jej ciąża była sprawą wagi państwowej, dlatego mało prawdopodobne, żeby tak misterną intrygę udało się zachować w tajemnicy. Oczywiście fakt, że Wiśniowieckiemu udało się zapłodnić swoją małżonkę, dowodzi, że pogłoski o jego impotencji były mocno przesadzone, ale nie oznacza bynajmniej, iż nie był homoseksualistą. Wszak i wcześniej, i później w historii zdarzało się, że homoseksualny władca zmuszał się do współżycia z poślubioną mu przed Bogiem kobietą, by, zgodnie z racją stanu, spłodzić następcę tronu. A kiedy mu się to udało, wracał do miłosnych igraszek z młodzieńcami.

Tymczasem popularność Wiśniowieckiego, było nie było — legalnie obranego króla, z biegiem czasu spadała na łeb na szyję. Stronnictwo profrancuskie, w skład którego obok hetmana wielkiego wchodził też prymas Polski, nazywający niepopularnego władcę „babską zawalidrogą”, nie zasypiało gruszek w popiele, szykując kolejnego francuskiego kandydata na tron Rzeczypospolitej. Tym razem miał to być siostrzeniec Kondeusza, hrabia de Saint Paul. Polscy frankofile nie ustawali w próbach osadzenia Francuza na tronie, pomimo że ani Ludwik XIV, ani sam Kondeusz nie wykazywali już zainteresowania perturbacjami elekcyjnymi w Rzeczypospolitej. Sprawa ujrzała światło dzienne, kiedy w Warszawie przejęto korespondencję hrabiego z jego polskimi zwolennikami. Na wieść o tym w kraju zawrzało. Zebrana na sejmikach szlachta żądała, by najważniejszych członków stronnictwa profrancuskiego, w osobach podskarbiego Morsztyna i wojewody poznańskiego Grzymułtowskiego, postawić przed sądem, a Sobieskiemu odebrać buławę hetmańską. Żadnych konkretnych kroków jednak nie podjęto, głównie za sprawą samego króla, który w imię zgody narodowej okazał swoją łaskawość. Pogodził się nawet, przynajmniej pozornie, z prymasem Prażmowskim, naczelnym malkontentem Rzeczypospolitej. Historycy podejrzewają jednak, że prawdziwą przyczyną królewskiej łaskawości była nie tyle jego troska o jedność w narodzie, ile obawa przed wojskiem, murem stojącym za Sobieskim. Monarcha chciał jakoś ugłaskać hetmana, a ponieważ nie mógł do tego celu wykorzystać swojej uroczej cioci, pani Sobieskiej, która pod koniec maja 1670 roku wyjechała do Francji, zlecił to swojej matce, Gryzeldzie. Był to jednak wybór najgorszy z możliwych — hetman wielki wciąż miał do niej pretensje o krzywdę, jaką jego zdaniem zadała Marysieńce przy podziale majątku po Sobiepanie. Tymczasem popierający Wiśniowieckiego hetman polny Dymitr Wiśniowiecki rozpoczął starania o rękę córki swojej dawnej ukochanej Katarzyny Sobieskiej — Teofilii Ostrogskiej-Zasławskiej. Mąż miał pogodzić zwaśnione rody. Do ślubu ostatecznie doszło, ale nie zmienił on stosunku hetmana do króla.

Sobieski, który dał już popis swoich zdolności dowódczych, taktycznych i wojskowych pod Podhajcami, był Rzeczypospolitej bardzo potrzebny, ponieważ Imperium Osmańskie szykowało się do ataku na nasze ziemie. Wielki hetman był jedynym człowiekiem, który mógłby skutecznie powstrzymać potęgę turecką. Niestety próby pozyskania dla dworu Sobieskiego spełżyły na niczym, co oczywiście nie znaczy, że w przypadku agresji osmańskiej wielki hetman pozostałby bezczynny.

Do zaostrzenia sytuacji doszło w 1672 roku, kiedy wiadomo już było, że turecka armia szykuje się do ataku. Wówczas obóz malkontentów powziął plan osadzenia na tronie kolejnego francuskiego kandydata — księcia Karola de Longueville, wnuka Kondeusza. Malkontentom marzyła się detronizacja Wiśniowieckiego, unieważnienie jego małżeństwa z Eleonorą i wydanie królowej za francuskiego arystokratę, oczywiście po wcześniejszym obraniu go władcą. Tym razem sprawę zamierzano doprowadzić do szczęśliwego końca, a Sobieski był tak przekonany o powodzeniu tego przedsięwzięcia, że nawet tytułował Karola „królem Jegomością”. Oczywiście wiązało się to z zamachem stanu i obaleniem, panującego przecież z woli narodu, Michała Korybuta Wiśniowieckiego. Malkontenci zamierzali przeprowadzić swój plan podczas sejmiku, którego obrady rozpoczęły się w dniu 18 maja 1672 roku. Planowano rozprawiać o naprawie Rzeczypospolitej, ale ostatecznie do tego nie doszło. 9 czerwca do Warszawy przyjechał prymas Prażmowski, a do obradujących doszły słuchy o marszu wojsk Sobieskiego na stolicę.

Na Wiśniowieckiego padł blady strach. Król był coraz bardziej osamotniony, a jeden z jego najbardziej zaufanych ludzi, Olszowski, musiał wyjechać za granicę. Pozostali przy nim jedynie biskupi Krzysztof Żegocki oraz Stefan Wierzbowski, ale żaden z nich nie miał takiego autorytetu jak prymas, o Sobieskim nie wspominając. Co gorsza, ani sam monarcha, ani jego doradcy nie mieli opracowanego planu na wypadek sytuacji kryzysowej. W efekcie hetman wielki koronny, nie napotykając na żaden opór, 20 czerwca wprowadził swoje wojska do Warszawy, a pięć dni później Prażmowski zaproponował królowi, by sam abdykował, gdyż w przeciwnym razie skończy się to źle, nie tylko dla samego monarchy, ale i dla Rzeczypospolitej. Ponieważ władca nie okazał entuzjazmu dla owej propozycji, malkontenci postanowili podjąć bardziej drastyczne działania. 26 czerwca hetman wielki wprowadził do Warszawy aż 14 chorągwi wojska. Jego podkomendni, bezkarni wobec znacznie mniej licznej gwardii królewskiej, nie tylko bezczelnie panoszyli się w mieście, ale także pozwalali sobie na rabunki i gwałty. Dwór nie mógł na to patrzeć bezczynnie, dlatego monarcha podjął decyzję o przystąpieniu do negocjacji ze stronnictwem profrancuskim, powierzając to zadanie osobie duchownej — biskupowi Kazimierzowi Florianowi Czartoryskiemu. Jego starania nie zmieniły jednak nastawienia malkontentów, podobnie zresztą jak działania nuncjusza papieskiego, który nawet zagroził prymasowi ekskomuniką.

Wieczorem 30 czerwca Jan Sobieski przypuścił atak na zbrojownię, natomiast 1 lipca malkontenci wystosowali manifest, podpisany przez hetmana wielkiego oraz prymasa, w którym dowodzili, iż celem ich działania jest usunięcie z tronu złego władcy, jak również przystąpienie do obrad w związku z zagrożeniem turecką agresją. Dokument zawierał też zbiór zarzutów przeciwko królowi, uzasadniających jego detronizację. Nieszczęsnemu monarsze zarzucano: złe traktowanie swojej małżonki (co nie miało nic wspólnego z prawdą), niechęć do strojów polskich, bezwstydnosć, nadmierne obżarstwo i zabawy z chłopcami. Ale na tym nie poprzestano. Członkowie stronnictwa profrancuskiego uchwalili akt konfederacji, pod którym zebrali 367 podpisów, i planowali oddać się pod protekcję króla francuskiego Ludwika XIV

w celu przywrócenia wolności i poszanowania praw. Tymczasem polski monarcha nie miał zamiaru gwałcić szlacheckiej wolności ani tym bardziej szargać obowiązującego prawa, czego nie można powiedzieć o malkontentach planujących obalenie legalnie obranego władcy!

Poczynania stronnictwa profrancuskiego bardzo trafnie podsumował Boy w swojej publikacji poświęconej Marysieńce Sobieskiej:

Można by myśleć, że wszyscy ulegli jakiemuś zamroczeniu. Bo jak w czasie najazdu Szwedów, tak i teraz, pod grozą inwazji tureckiej, na prawo i lewo częstują koroną polską w zamian za ratunek. Trudno uwierzyć, że to ta sama Polska, która za dziesięć lat wystawi potężną armię, aby ratować Wiedeń! Podczas gdy mieszkańcy już uciekają z zagrożonego Lwowa, pospolite ruszenie załatwia partyjne porachunki, a myśli dygnitarzy kraju obracają się koło tego, skąd i za jaką cenę wybłagać postronną pomoc⁷¹.

Prawdę mówiąc, zwolennicy króla też nie byli bez winy, ponieważ obawiając się wzrostu potęgi hetmana Sobieskiego, skutecznie przekonali Wiśniowieckiego, by nie dozbrajał armii. Zaniechano także, niezbędnego przecież w obliczu niebezpieczeństwa najazdu wojsk tureckich, wzmocnienia granic państwa.

Jako się rzekło, tym razem Król Słońce nie miał najmniejszego zamiaru angażować się w spory o koronę Rzeczypospolitej, bynajmniej nie dlatego, że nie zależało mu na osadzeniu na tronie naszego państwa swego kandydata — miał na głowie znacznie poważniejsze problemy, związane z wojną z Holandią, która nadzwyczaj skutecznie opierała się francuskiej armii nacierającej od strony lądu oraz angielskiej flocie atakującej od strony morza. Poza tym monarcha był wściekły na panią Sobieską. Do swojego posła na dworze polskim pisał z niekłamanym oburzeniem: „Nie mogę wymazać z pamięci pięknych słów tej damy: »Nie ma opactwa, nic z interesu! nie ma Epoisses (ów proces d'Arquienów), nic z interesu! nie ma tego lub owego, nic z interesu!« [...] Toteż moim ostatecznym i stałym postanowieniem jest zostawić ich [Sobieskich] w upokorzeniu, w jakim znajdują się obecnie”⁷².

A tymczasem Rzeczpospolita stała u progu wojny. W sierpniu 1672 roku olbrzymia armia turecka, licząca niemal 300 tysięcy żołnierzy i wyposażona w nowoczesną artylerię, dowodzona przez sułtana Muhammada IV, przekroczyła granice naszego kraju, nie natrafiając w zasadzie na większy opór. 27 sierpnia, po tygodniowym oblężeniu, padł Kamieniec Podolski, broniony przez niewielką załogę. Tak się złożyło, że w trakcie ewakuacji doszło do przypadkowego wybuchu w prochowni, w wyniku którego zginęło kilkoro ludzi, w tym komendant zamku pułkownik Jerzy Wołodyjowski oraz major artylerii Hejking. Był to tragiczny wypadek, ale z biegiem czasu zaczęto go interpretować jako akt rozpaczki wspomnianych Hejkinga i Wołodyjowskiego, którzy nie chcieli oddawać twierdzy w ręce wroga. I tak powstała piękna legenda, uwieczniona po latach na kartach Sienkiewiczowskiej *Trylogii*.

Upadek kamienieckiej twierdzy, cieszącej się opinią fortecy nie do zdobycia, odbił się szerokim echem w Rzeczypospolitej. Cały kraj ogarnęło przerażenie wobec realnego najazdu tureckiego. Przebywający na emigracji we Francji Jan Kazimierz na wieść o kapitulacji Kamieńca dostał ataku apopleksji, co wprawiło w zdumienie francuskich arystokratów, niemogących zrozumieć, dlaczego były monarcha, który nie rozpaczał po stracie królestwa, teraz wylewa łzy na wieść o upadku jakiejś twierdzy. Nieorientowani w sprawach Rzeczypospolitej Francuzi nie rozumieli powagi sytuacji. Utrata jednej z kluczowych twierdz, która, jak się

okazało, miała pozostać w rękach Turcji przez kolejne dwadzieścia siedem lat, zmusiła nasze państwo do podpisania haniebnego dla Rzeczypospolitej traktatu buczackiego, na mocy którego utracono Podole i zobowiązano się do wypłacania Turcji corocznego haraczu w wysokości 22 tysięcy dukatów, w umowie infantylnie zwanego „podarunkiem”.

Mimo tak poważnej sytuacji stronnictwo profrancuskie wciąż knuło przeciwko królowi, a pospolite ruszenie, które w sile 80 tysięcy ludzi zebrało się pod Gołębim, nawet nie myślało, by gotować się do starcia z potęgą turecką. 16 października zawiązało konfederację przy królu Michale, skierowaną przeciwko hetmanowi wielkiemu i pozostałym malkontentom. Tymczasem każdy, kto trzeźwo oceniał sytuację, zdawał sobie sprawę, że tylko Sobieski może ocalić Rzeczpospolitą przed turecką agresją. Nie wiadomo, jak potoczyłyby się losy naszego kraju, gdyby do akcji nie wkroczyła królowa Eleonora, która z właściwym sobie taktem i wrodzoną mądrością przystąpiła do mediacji między zwaśnionymi stronami. I to głównie dzięki jej staraniom 12 marca 1673 roku strony parafowały porozumienie, a hetman ostatecznie pogodził się z monarchą. Zresztą nie było już kogo osadzać na tronie, skoro książe de Longueville niespodziewanie opuścił doczesny padół, ginąc w bitwie pod Tolhuis. Wieść o zgonie francuskiego arystokraty bardzo dotknęła prymasa Prażmowskiego, który miał powiedzieć, iż wolałby zamiast niego utracić połowę ojczyzny. Jednak i on wkrótce odszedł do lepszego świata, zmarł bowiem 15 kwietnia w Ujazdowie.

Dzięki Eleonorze zgoda w narodzie wydawała się trwała, co było szczególnie ważne w obliczu nadciągającej wojny z Turcją. Porozumienie między Sobieskim a Wiśniowieckim napawało optymizmem, zwłaszcza kiedy obaj jesienią 1673 roku dokonywali objazdu wojsk. Nikt jednak nie przypuszczał, że był to kres panowania niepopularnego monarchy. Wiśniowiecki, już kiedy wyjeżdżał z Warszawy, czuł się bardzo źle, a medycy stanowczo odradzali mu długie podróże. Jednak królowi tak bardzo zależało na podreperowaniu swego mocno już nadwątlonego autorytetu, że puścił ich ostrzeżenia mimo uszu. 6 października „zaraz na przedmieściu lwowskim z niezdrowego powietrza tak go [króla] straszne głowy bolenie wzięło, że przez kilka dni ani spać ani jeść nie mógł”²³. Władca jakoś doszedł do siebie i dotarł, tak jak zamierzał, do obozu wojskowego w Glinianach, gdzie nie zabawił długo, gdyż złe samopoczucie, szczególnie bóle pleców, zmusiło go do powrotu do Lwowa. Stan monarchy pogarszał się z dnia na dzień. 2 listopada nastąpiło pęknięcie wrzodu w przewodzie pokarmowym i król, zdając sobie sprawę z nadchodzącej śmierci, spisał testament, a 6 listopada przyjął ostatnie namaszczenie. Dzień później zaczęła się agonia. Chory król stracił mowę i miał poważne problemy z oddychaniem, czemu starano się zaradzić, podkładając pod głowę chorego kolejne poduszki.

Michał Korybut Wiśniowiecki zmarł 10 listopada 1673 roku, po zaledwie pięciu latach panowania, uznanego przez potomnych za wyjątkowo nieudane. Ponieważ zgon nastąpił nagle, a król w chwili śmierci miał tylko trzydzieści trzy lata, był więc stosunkowo młodym człowiekiem, podejrzewano, że został otruty. Plotka głosiła, jakoby podano mu truciznę w pieczonej kaczce cyrance — ulubionym przysmaku władcy. Kiedy jednak przeprowadzona sekcja zwłok nie wykazała niczego podejrzanego, pojawiła się kolejna pogłoska, zgodnie z którą znany z nadmiernego apetytu monarcha miał umrzeć na skutek przejedzenia korniszonami. Dziś uważa się, że władca, w wyniku stresów nękających go od dnia wstąpienia na tron, nabawił się bulimii, co tłumaczyłoby jego obżarstwo, tak bulwersujące poddanych. Bezpośrednią natomiast przyczyną jego zgonu była zapewne perforacja żołądka i jelit oraz ogólne zakażenie organizmu, spowodowane być może spożyciem niemytych owoców.

Nieszczęsnemu Michałowi Korybutowi Wiśniowieckiemu nie dane było cieszyć się

z kolejnego zwycięstwa jego niegdysiejszego adwersarza, który, dokonując zemsty za traktat w Buczaczu, rozgromił przeważające siły tureckie w bitwie pod Chocimiem rozegranej 11 listopada 1673 roku. Jak się wkrótce okazało, wiktoria chocimska miała otworzyć bohaterowi naszej opowieści drogę do tronu.

W burzliwym okresie, w którym rozgrywały się opisywane wyżej wydarzenia, los bardzo dotkliwie doświadczał rodzinę Sobieskich, a zwłaszcza wciąż kochaną przez męża do szaleństwa Marysienkę. Wiosną 1669 roku pani Sobieska zachorowała na ospę. Pech chciał, że była po raz kolejny w ciąży. Maria Kazimiera bardzo źle znosiła chorobę i wydawało się nawet, że przyjdzie jej pożegnać się z życiem. Jej małżonek szalał z rozpacz, małego Jakuba bezzwłocznie odseparowano od chorej matki, a panią Sobieską troskliwie zajęły się Marianna Jabłonowska i Cecylia Maria Sieniawska oraz cały zastęp medyków. Kiedy na ciele chorej pojawiły się szpecące krosty, smarowano je słoniną maczaną w mleku, a w obawie o zdrowie nienarodzonego dziecka stosowano różnego rodzaju mazidła na brzuch ciężarnej. O ile kuracja pomogła samej Marysienke i ospa nie zostawiła najmniejszych śladów na jej „wdzięcznym ciążeczku”, z czego niezmiernie cieszył się jej małżonek, o tyle nie zdołano uratować kolejnego potomka. A właściwie potomków, gdyż pani Sobieska w maju poroniła bliźnięta. Wkrótce jednak znów była w stanie błogosławionym. Nauczona doświadczeniem, postanowiła wyjechać do swojej ojczyzny, by tam, pod opieką francuskich medyków, donosić ciążę. Jednak tym razem sprawy nie poszły tak gładko jak w przypadku małego Jakuba — Maria Kazimiera w październiku 1670 roku w drodze między Brukselą a Paryżem urodziła dziewczynkę, której zgodnie z wolą ojca nadano imiona Teresa Teofila. Dziecko było tak słabe, że nie dawano mu szansy na przeżycie. Tym razem medycy się nie mylili i dziewczynka zmarła, nie przeżywszy nawet miesiąca. „Dziewczyna nasza, że przy słabej życia zostawała nadziei, niech się wola boża we wszystkim dzieje. Widzę, że już P. Bóg żadnego mnie na tym świecie nie obiecał ukontentowania; za co Mu przecię niech będzie cześć i chwała na wieki. Ale już o tym tą razą dosyć”⁷⁴ — to była jedyna wzmianka, na jaką zdobył się zboląły ojciec na wieść o śmierci małego dziecka.

Stratę dziecka bardzo boleśnie przeżyła jego małżonka, która nawet, jak wynika z listów, wyrażała niechęć do dalszego współżycia. I szczerze mówiąc, trudno się jej dziwić. Zdaje się, że pani Sobieska dość łatwo zachodziła w ciążę, ale cóż z tego, skoro często roniła, a nawet urodzone przez nią we właściwym czasie dzieci i tak umierały we wczesnym dzieciństwie. Jak obliczyli współcześni historycy, Marysienka, będąc w związku z Sobieskim, była aż siedemnaście razy w stanie błogosławionym, ale tylko czwórka jej dzieci dożyła wieku dorosłego. W tamtych czasach medycyna nie mogła jej pomóc. Gdyby żyła dzisiaj, zapewne mogłaby skorzystać z antykoncepcji, ale stosowane w XVII stuleciu metody zapobiegania ciąży budzą dziś jedynie uśmiech politowania. Jedna z nich polegała na kładzeniu do łóżka drzazg z trumny, inna na siadaniu na swoich palcach. Kobiety były przekonane, że nie zajdą w ciążę przez tyle lat, na ilu palcach siedziały... Czy można się więc dziwić Marii Kazimierze, że obawiając się nie tyle kolejnej ciąży, ile bólu po stracie potomka, chciała odmówić mężowi swych wdzięków?

Niestety, w tej kwestii nie mogła liczyć na zrozumienie u swego małżonka, który wręcz zażądał, by udzieliła mu dyspensy i pozwoliła na współżycie z inną kobietą, ale na to Marysienka nie chciała się za nic zgodzić. Utyskującemu na dolegliwości związane ze zbyt długim okresem wstrzemięźliwości płciowej Sobieskiemu doradzała natomiast rozmaite lekarstwa i kąpiele, wskazując jednocześnie na fakt, iż żyjący w celibacie mnisi dożywają w zdrowiu sędziwej starości.

A cóż to do mnie mnicha za komparacja? — zżymał się jej małżonek, odpowiadając w jednym z listów. — Wzdyc to ja żyję na świecie, a oni w klasztornym zamknięciu! A wzdyc oni nie mogą mieć inszych tentacyj, chyba do czterech ścian, w których są zamknięci, albo do których z swych książek; ja zaś żyję na świecie, okazji się uchronić w widzeniu różnych ludzi niepodobna! I że oni są daleko od ognia, nie dziw, że ich płomień nie dosięgają; ale mnie w ogniu być zawsze, a nie gorzeć, byłoby to coś doskonalszego! A dlaczegoż święci ludzie uciekali na pustynie, tylko aby się świata uchronić mogli? Do tego mniszy jedzą o jednej godzinie, [o jednej godzinie] spać także idą, trunków według porcji zażywają, toteż i rozgrzewania krwi nie masz okazji; na świecie zaś nie tak, bo się i pije więcej, niżeli się chce, i jada się nie kiedy godzina przyjdzie, ale kiedy czas pozwoli²⁵.

Nawiasem mówiąc, gdyby Maria Kazimiera wyraziła zgodę na mężowski skok w bok, wcale nie wpłynęłoby to na polepszenie nastroju hetmana, który zapewne uznałby żonine przyzwolenie za dowód tego, że przestała go kochać. Wtedy dopiero by narzekał i lamentował w listach do swojej Astrei!

Na razie, starał się ściągnąć ukochaną do kraju, pisząc o swoich dolegliwościach, rzekomo zagrażających jego życiu, i o swojej tęsknocie za synem, który towarzyszył Marysieńce w podróży do Francji. Niepokój matki wywoływał sposób, w jaki malec stawiał nóżki, chodząc. Dziś wiemy, że Fanfanik miał skoliozę, gdyż kiedy dorósł, zakładał specjalne kamizelki maskujące tę dolegliwość, ale jego ojciec bagatelizował sprawę.

W końcu stęskniony Celadon doczekał się swojej Astrei, która wraz z czteroletnim już Jakubem pod koniec 1671 roku wróciła do kraju. Jego tatuś uznał, że najwyższy czas, by rozpoczął naukę, dlatego planował powierzyć go pieczy księdza Kostrzyckiego, ostatecznie jednak chłopiec pozostał pod opieką matki.

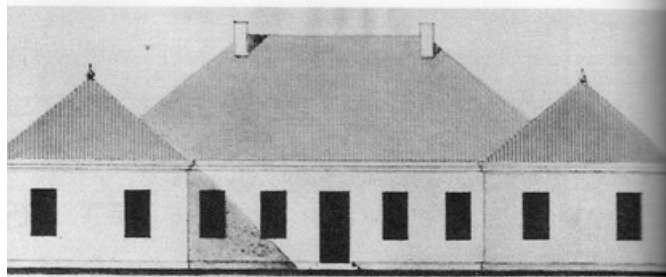
Maria Kazimiera, wróciwszy do kraju, na czas wyprawy jej męża na wojnę z Turcją postanowiła osiąść w starostwie gniewskim na Pomorzu, gdzie przebudowano specjalnie dla niej stojący tam dwór. Najwyraźniej sprawy współżycia małżeńskiego ułożyły się po myśli Sobieskiego, ponieważ 15 października 1672 roku w Gniewie Maria Kazimiera powiła córkę, Adelajdę Ludwikę, którą rodzice swoim zwyczajem nazywali Berbiluną. Marysieńka nie cieszyła się z narodzin córeczki, gdyż cierpiała wówczas na depresję spowodowaną śmiercią jej bliskich — matki i brata. Cały tydzień spędziła w ciemnym pokoju, pogrążona w rozpacz, nie chcąc widzieć nikogo, nawet własnych dzieci, i prosząc Boga, by zabrał ją z tego świata.

Już też teraz doznałem jawnie i oczywiście, że Wć moja panno nie dbasz o mnie aniś mnie szczerze kochała: bo kto kiedy na świecie, kochając w kim, tak się z nim dusznic i koniecznie pragnął rozłączyć, jakoś to Wć moje serce w tym terażniejszym pokazała żalu? Żałowałem ja też matki mojej, a przecie jedno widzenie, jedno słowo Wci mego serca, jako tej osoby, nad którą nic nie miał miłszego na świecie i dla której tylko żyć i konserwować się pragnąłem, wiele tego zaraz momentu ujęło mi żalu, a przydało konsolacji; a to tylko w nadziei, i to niepewnej będąc, że miał kiedy tej, w której-em się być rozumiał dotąd, doczekać szczęśliwości, żeśmy jedno dla drugiego żyć tylko mieli — upominał ją w liście mąż. — Nie kondemnuję ja tej miłości, którąś Wć moja duszo przeciwko rodzicom miała i mieć powinnaś; ale przecie po ludzku te rzeczy

czynić potrzeba, konserwując tak słabe zdrowie swoje, jeśli nie dla mnie, przynajmniej dla dzieci swoich⁷⁶.

Czas pokazał, że znacznie lepszym lekarstwem na depresję niż mężowskie napomnienia okazała się... kolejna ciąża. 18 października 1673 roku Marysieńka powiła kolejne dziecko — córkę, nazywaną po prostu Menonką. Niestety jej imiona nie zachowały się w żadnej dokumentacji, a zły los sprawił, że obie urodzone w Gniewie dziewczynki zmarły we wczesnym dzieciństwie — Menonka zamknęła oczy na zawsze w Żółkwi 7 grudnia 1675 roku, natomiast jej starsza siostra umarła w Warszawie, po długiej chorobie, 10 lutego 1677 roku.

Wszystkie te perturbacje, narodziny i śmierć dzieci, podobnie jak depresja, na jaką Marysieńka zapadła po zgonie swojej matki i brata, nie powstrzymały jej od zajmowania się polityką. Tę pasję zaszczerpiła w niej jeszcze Ludwika Maria. Maria Kazimiera nie wiedziała jednak, że los szykuje jej wielką niespodziankę i wkrótce będzie mogła politykować na znacznie większą skalę, niż czyniła to w przeszłości.



42a. Wilanów, fasada pierwotnego dworu Jana III



42b. Wilanów, fasada pałacu z 1682 r.

Wilanów, fasada rezydencji Sobieskich z 1682 r.

Rozdział 9
Król i królowa

Chociaż może wydawać się to dziwne, śmierć króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego w przeddzień wiktorii chocimskiej uznano za dobrą wróżbę. Przypominano bowiem, że nieszczęścia Rzeczypospolitej zaczęły się od przegranej z kozackimi powstańcami w batalii pod Korsuniem, rozegranej 26 maja 1648 roku, nazajutrz po śmierci Władysława IV. Co prawda Waza nie zmarł w przededniu bitwy, ale sześć dni wcześniej, 20 maja, lecz wieszczący odmianę losów państwa na taką drobnostkę nie zwracali uwagi. Podobnie zresztą jak na fakt, że o sromotnej klęsce wojsk przesądziło nie tyle fatum, ile fatalne dowództwo wiecznie pijanego hetmana wielkiego Mikołaja Potockiego...

Sejm elekcyjny rozpoczął obrady 20 kwietnia 1674 roku. Początkowo Sobieski, który zjechał do stolicy dopiero 2 maja, nawet nie brał pod uwagę swojej kandydatury. W piśmie skierowanym do sejmiku lubelskiego pisał:

A takiego obierać pana, który by pożytkom Rzeczypospolitej, a nie cudzym wygadzał interesom i ubóstwo nasze swoimi ratował dostatkami, a przy tym sławą wojenną był u świata wzięty, a zatym nieprzyjaciołom straszny. Ja się przed Bogiem i światem protestuję, że wszystkie prywatne pominąwszy respekty, nie sobie, ani komu, ale miłej ojczyźnie, której zdrowie i krew moją *devovi* [łac. poświęciłem] [...] na takiego tylko zgodzić się chcę Pana⁷⁷.

Część historyków twierdzi jednak, że o ile hetman rzeczywiście nie myślał o koronie dla siebie, o tyle tego samego nie da się powiedzieć o jego małżonce. Ponoć kiedy Marysieńka w czasie swojej podróży do Francji w 1670 roku zatrzymała się w Gdańsku, swoim zwyczajem żywo interesując się losami elekcji, dowiedziała się z listu od zaufanego człowieka, którego nazwisko, jak to zwykle w takich wypadkach bywa, zaginęło w mrokach historii, o reakcji wojska na wieść o tym, że czołowy kandydat stronnictwa francuskiego, książę de Longueville, nie przybędzie jednak do Polski. Żołnierze mieli wówczas zgodnie orzec, że w takim wypadku królem obiorą pana marszałka, czyli Jana Sobieskiego. Francuski dyplomata i duchowny, opat Paulmiers, który spotkał się wówczas z panią Sobieską, z niekłamanym zdumieniem zauważył, że ten, dla niego zupełnie niedorzeczny, pomysł bardzo spodobał się Marii Kazimierze. „To szczególna osoba; skoro raz sobie nabije tą chimerą głowę, może nam bardzo pomieszać szyki”⁷⁸ — pisał w liście do Ludwika XIV. Po śmierci niepopularnego Wiśniowieckiego Marysieńka mogła w końcu przystąpić do działania.

Tymczasem jej małżonek, wciąż wierny sentymentom francuskim, poparł kandydaturę Kondeusza, który po raz kolejny stanął do wyścigu o koronę Rzeczypospolitej. O dziwo, tym razem nie wspierał go Król Słońce, opowiadający się za kandydaturą księcia neuburskiego Filipa Wilhelma Wittelsbacha. Obok dwóch wymienionych brano również pod uwagę księcia duńskiego Jerzego Oldenburga, Ludwika Tomasza Sabaudzkiego, hrabiego Soisson, a nawet Michała Apafy, księcia Siedmiogrodu. Królowa-wdowa Eleonora zapewne ucieszyłaby się, gdyby wygrał inny kandydat, którego szanse oceniano bardzo wysoko — jej były narzeczony, Karol Lotaryński. Popierało go wszakże bardzo silne stronnictwo proaustriackie, na czele z prymasem Florianem Czarторыskim, biskupem krakowskim Andrzejem Trzebnickim oraz hetmanem polnym koronnym, księciem Dymitrem Wiśniowieckim. Za Lotaryńczykiem opowiedzieli się także Pacowie, najpotężniejszy ród ówczesnej Litwy, w osobach kanclerza wielkiego litewskiego Krzysztofa oraz wojewody wileńskiego i hetmana wielkiego litewskiego Michała Kazimierza. Trzeba przyznać, że wymienieni postawili na wyjątkowo dobrego konia —

ich kandydat był człowiekiem stosunkowo młodym, bo zaledwie trzydziestoletnim, a mimo to miał już na swoim koncie niemałe sukcesy militarne. Z kolei książę Michał Apafa, zdając sobie sprawę, iż na tle innych kandydatów wypada dość blado, w zamian za koronę oferował nawet 20 milionów złotych, jak również... przyłączenie Siedmiogrodu do naszego państwa.

Rozpatrywano także ewentualność powołania na tron kolejnego „Piasta”, co spotkało się z ostrą reakcją Paców oraz ich popleczników, zdających sobie sprawę, iż jedynym „Piastem” mogącym zasiąść na tronie jest hetman wielki koronny, niedarzony przez nich nadmierną sympatią. Doszło nawet do tego, że na sejmie konwokacyjnym grupa litewskich posłów zażądała wykluczenia kandydatury „Piasta”, co spotkało się z ostrą reakcją podkanclerzego Olszowskiego, który uznał, iż takie postanowienie godziłoby nie tylko w godność Rzeczypospolitej, ale nawet urągało pamięci zmarłego króla. Zresztą sam Olszowski, zapiekły antagonistą Sobieskiego, nie brał w ogóle jego kandydatury pod uwagę. Wszyscy jednak zdawali sobie sprawę, że to właśnie hetman, owiany sławą pogromcy Turków, będzie miał decydujący głos w kwestii wyboru kolejnego władcy. Miał tego świadomość także poseł austriacki, który dosłownie wychodził ze skóry, by Sobieski poparł księcia Karola Lotaryńskiego. Jego zabiegi nie zdały się jednak na nic. Hetman wciąż optował za Kondeuszem, aczkolwiek z czasem zdał sobie sprawę, iż kandydatury tej nie popiera Ludwik XIV. Z kolei książę neuburski, forowany przez Wersal, nie bardzo odpowiadał samemu Sobieskiemu. Nie chciał on też dopuścić do obioru Karola Lotaryńskiego, i to nie tylko dlatego, że był to kandydat opcji proaustriackiej. Zwycięzca spod Chocimia obawiał się bowiem, iż wybór młodego i niebywale zdolnego dowódcy, jakim był Lotaryńczyk, osłabiłby jego pozycję w armii. Wobec takiego rozwoju sytuacji hetman zaczął myśleć o koronie dla siebie samego. Co ciekawe, wcześniej, zanim w ogóle stanął w szranki o tron Rzeczypospolitej, jego kandydaturę wysuwano za granicą. Poseł austriacki pisał do cesarza, że Sobieski może chcieć korony dla siebie. Wtórował mu autor artykułu w „Gazette de France” przy okazji informacji o wiktorii chocimskiej, pisząc, że w tej sytuacji hetman wielki koronny stał się „godnym tronu, który uratował”⁷⁹.

Tymczasem pozycja hetmana, otwarcie opowiadającego się przeciwko kandydaturze Karola Lotaryńskiego, rosła z dnia na dzień i stawało się jasne, że jest kwestią czasu, kiedy sięgnie on po koronę. W kraju pojawiła się nawet plotka, jakoby Sobieski planował otruć Marysienkę, by poślubić królową-wdowę i u jej boku zasiąść na tronie. Było to oczywiście pomówienie, hetman nie miał najmniejszego zamiaru pozbywać się żony, i to nie tylko dlatego, że wciąż ją kochał do szaleństwa, ale także dlatego, że kiedy zdecydował się w końcu wystawić swoją kandydaturę, Maria Kazimiera była mu bardzo, ale to bardzo potrzebna. I rzeczywiście to właśnie Marysienka odegrała w elekcji, jeżeli nie decydującą, to bardzo ważną rolę. To ona, przekonując ambasadora króla Ludwika XIV, biskupa Forbina-Jansona, że popierana przez Wersal kandydatura księcia neuburskiego nie ma najmniejszych szans, poinformowała go o kandydaturze jej męża. Duchowny nie krył zdumienia, tym bardziej że sam Sobieski nie był do kandydowania przekonany i uległ dopiero na skutek perswazji Marysienki. Tak przynajmniej twierdził biskup, relacjonując całą sprawę swojemu królewskiemu mocodawcy. Wydaje się, że była to tylko gra pozorów, jaką przed posłem francuskim odegrali Sobiescy. Niezależnie od wszystkiego Maria Kazimiera zyskała to, co chciała: poparcie potężnej Francji dla kandydatury jej męża oraz przyznanie przez biskupa 9 tysięcy liwrów w charakterze łapówek dla szlachty i wojska. Oczywiście był to tylko zadatek, przewidywano bowiem znacznie większe subsydia tytułem kolejnych wydatków.

Okazało się, że ta „drobna” kwota, poparta autorytetem osobistym hetmana i jego

popularnością wśród szlachty, wystarczyła, by to właśnie Sobieski wyszedł zwycięsko z rywalizacji o koronę Rzeczypospolitej. Aczkolwiek sprawy nie potoczyły się tak gładko, jak to wyobrażali sobie Marysieńka i jej małżonek. Elekcja odbyła się 19 maja i początkowo jej przebieg był pomyślny dla stronnictwa proaustriackiego, gdyż za młodym Lotaryńczykiem opowiedziało się dwanaście województw, za Sobieskim zaledwie cztery, trzy za Kondeuszem, a pozostałe za księciem neuburskim. Triumf Paców nie trwał jednak długo, ponieważ już wieczorem tego samego dnia wyszło na jaw, że za hetmanem wielkim opowiedziała się cała szlachta koronna i to właśnie on, a nie Lotaryńczyk, zwieńczy swe skronie koroną królewską.

Jak można się domyślić, potężni Pacowie nie mieli najmniejszego zamiaru zaakceptować obioru nowego władcy. Demonstracyjnie opuścili pole elekcyjne i wystosowali manifestację przeciwko elekcji Sobieskiego. Sprawa była poważna, istniało bowiem realne zagrożenie konfliktu między Koroną a Litwą, dlatego prymas, pełniący funkcję *interrexa*, zwlekał z oficjalnym ogłoszeniem wyniku elekcji, nie chcąc zaognić konfliktu. I wówczas do akcji ponownie wstąpiła Maria Kazimiera, której udało się zdobyć dodatkowe środki finansowe od Forbina-Jansona, z przeznaczeniem na pozyskanie przynajmniej części obozu Paców. A ponieważ tym razem była to spora kwota, bo aż 400 tysięcy liwrow, zamiar się powiódł. Najważniejszym człowiekiem, którego udało się skaptować Sobieskim, był niewątpliwie marszałek wielki litewski Aleksander Hilary Połubiński, który otrzymał nie tylko nie małą kwotę 100 tysięcy liwrow, ale także obietnicę starostwa grodzkiego orszańskiego. Wspomniane starostwo miało mu przyspaść po śmierci schorowanego i sędziwego Albrychta Konstantego Ciechanowskiego. Dobrym posunięciem okazało się także przekazanie Kazimierzowi Janowi Sapieże kolejnych 13 tysięcy, ponieważ to właśnie ci dwaj pozyskani ludzie ostatecznie przekonali Litwinów do wyboru Sobieskiego. Sapiehowie spuścili z tonu, postanawiając uznać wybór większości, na dowód czego całe stronnictwo pojechało się z Sobieskimi.

21 maja, w godzinach przedpołudniowych, w ogrodach Pałacu Kazimierzowskiego, doszło do spotkania nowo obranego monarchy z przedstawicielami stronnictwa reprezentowanego przez Krzysztofa, Michała Kazimierza, Mikołaja Stefana oraz Kazimierza Paców. Na spotkaniu obecni byli także inni dostojnicy, w tym Połubiński, Marcjan Aleksander Ogiński, Jan Antoni Chrapowicki, wojewoda smoleński Hrehory Podbereski oraz biskup smoleński Aleksander Kotowicz. Następnie wszyscy udali się na pole elekcyjne, gdzie Andrzej Trzebicki nominował dotychczasowego hetmana wielkiego koronnego na króla. Marysieńka triumfowała, natomiast jej małżonek udał się na nabożeństwo do kolegiaty św. Jana, a na progu świątyni czekali na niego nuncjusz papieski i ambasador Francji, biskup Forbin-Janson, któremu nowo obrany król tak wiele zawdzięczał. Rozentuzjasmowany tłum krzychał głośno: *Vivat Johannes Rex!* Po nabożeństwie Sobieski skierował swoje kroki do zamku, gdzie wciąż przebywała wdowa po poprzednim władcy, Eleonora. Królowa wkrótce potem przeniosła się do klasztoru kamedułów, skąd wyruszyła w drogę powrotną do swojej ojczyzny, by wreszcie odnaleźć szczęście, miłość i upragnione macierzyństwo. Jej ukochany z wczesnej młodości, Karol, wciąż czekał na Eleonorę i poślubił ją w 1678 roku. Po ślubie para książęca osiadła na stałe w należącej do Eleonory Innsbrucku, gdzie była królowa Polski powiła swemu mężowi aż sześcioro dzieci.

Entuzjazm wywołany obiorem Sobieskiego był przynajmniej w Koronie powszechny. W kościołach kaznodzieje nazywali nowego monarchę człowiekiem posłanym od Boga. Symptomatyczne było też, że pełniący rolę *interrexa* prymas ogłosił go królem, nie czekając na spisanie umowy zawieranej między obranym władcą a jego poddanymi, zwanej *pacta conventa*, co nie było praktykowane ani wcześniej, ani potem. Niebagatelne znaczenie miał fakt, że owiany

sławą pogromcy wojsk tureckich Sobieski był całkowitym przeciwieństwem nielubianego Michała Korybuta Wiśniowieckiego i, co dla braci szlacheckiej było niezwykle ważne, nosił się po polsku.

Wkrótce miało się okazać, że Pacowie, pozornie pogodzeni z Sobieskimi, dadzą się nowemu władcy porządnie we znaki. Ich pierwszym posunięciem było niedopuszczenie do koronacji jego żony, Marii Kazimiery. W swoim oporze w tej kwestii Pacowie nie byli odosobnieni, nieszczęsna Marysienka nie miała bowiem nad Wisłą dobrej prasy, co zawdzięczała głównie rodzinie swego pierwszego męża, Sobiepana Zamoyskiego, ale nie tylko. Pamiętano, że była ulubioną dwórką królowej Ludwiki Marii, która, ku niezadowoleniu szlachty, wtrącała się do polityki i rządów państwem. Uważano, że Maria Kazimiera pójdzie w jej ślady. Nieszczęsnej pani Sobieskiej wytykano brak znamienitych przodków w rodzinie, zarzucając jej jednocześnie, iż jest „okazem pychy i rozpasania”, i wynajdując jej kolejnych kochanków, z którymi rzekomo miała zdradzać swoich dwóch mężów. Jednym z nich miał być niegdysiejszy francuski ambasador Pierre de Bonzy, człowiek młody i ponoć bardzo przystojny, niekryjący zresztą swego zauroczenia Marysienką. Sobieski nawet początkowo dał wiarę tym pogłoskom, ale ostatecznie uwierzył swojej Astrei, że łzami w oczach przekonującej go o swojej wierności.

Jeżeli chodzi o niewłaściwe pochodzenie Marii Kazimiery, to oczywiście od razu znaleźli się różnego rodzaju domorośli genealogicy, którzy z uporem godnym lepszej sprawy udowodniali, że ród d'Arquien wywodzi się wprost od Kapetyngów. Na szczęście te karkołomne zabiegi okazały się niepotrzebne, dzięki uprzejmości Króla Słońce, który, dowiedziawszy się o kłopotach Marysienki, oświadczył, że zaadoptuje panią Sobieską. Był to wyjątkowy gest ze strony monarchy, zwłaszcza że jego adopcyjna córka była od niego niewiele młodsza.

Pomimo to Sobieski nie mógł przedsięwziąć kroków zmierzających do zwieńczenia głowy swej małżonki koroną, skoro do tej pory nie było nawet mowy o koronacji nowo obranego władcy, który, wciąż piastując urząd hetmana wielkiego koronnego, ruszył w pole ratować Rzeczpospolitą. „Ponad własne moje korzyści, sprawy i roszczenia przedkładam pomyślność Rzeczypospolitej, jak to nakazuje sama cnota, więc odkładamy koronację do sposobniejszego czasu — oświadczył król. — Poświęcając siebie i wszystko moje gwoli pomyślności ojczyzny, nie wątpię, że tym sposobem najlepiej okaże moją ku niej przynależność i miłość”⁸⁰. Jednak nowy władca, odkładając na przyszłość swoją koronację, miał nie tylko na względzie dobro kraju. Doskonale zdając sobie sprawę, że potężni Pacowie mogą jednak postawić na swoim i nie dopuścić do intronizowania jego małżonki, liczył, że jego poddani przyzwyczają się do Marysienki, dzięki czemu jednak uda się doprowadzić do jej koronacji.

Tymczasem po raz kolejny ruszył na wojnę, a konkretnie na front turecki. Udało mu się zdobyć prawie całe Podole i zablokować utracony na skutek haniebnego traktatu buczackiego Kamieniec Podolski. Zapewne zdołałby znacznie powiększyć swoje zdobycze, gdyby nie zaskakujący postępki hetmana wielkiego litewskiego, Michała Kazimierza Paca, który, nie czekając na koniec kampanii, po prostu zabrał swoje wojska i odszedł na Litwę... Król słusznie uznał to za dezercję, ale był wobec potężnego magnata zupełnie bezsilny. Historycy podejrzewają, że za tym zaskakującym postępkim Paca stała Brandenburgia, która za wszelką cenę chciała nie dopuścić, by Sobieski, zgodnie ze swoimi planami, po pokonaniu Turcji odzyskał dla Rzeczypospolitej Prusy Książęce. Zresztą hetman wielki litewski także i później skutecznie psuł królowi szyki w realizacji jego polityki bałtyckiej. Marysienka nawet, chcąc pozyskać Paca na stronnika jej męża, próbowała zeswatać go ze swoją siostrą, Marią Anną. Nie udało jej się przekonać do małżeństwa tego zatwardziałego kawalera ani przeciągnąć go na

swoją stronę. Ostatecznie nic nie wyszło z planów odzyskania Prus, a wszystko przez to, że z Brandenburgią sprzymierzyła się potężna Francja.

W 1675 roku wciąż niekoronowany monarcha odniósł kolejny sukces, odpierając Tatarów spod Lwowa. W kolejnym zaś roku zjednoczonym siłom tatarsko-tureckim nie udało się zdobyć Żurawna. Ostatecznie zawarto rozejm, na skutek którego Kamieniec Podolski pozostał co prawda w rękach tureckich, ale Imperium Osmańskie zrezygnowało z pobieranego haraczu, oddało jeńców i brańców, zobowiązując się jednocześnie do powstrzymania napaści Kozaków i Tatarów na terytorium Rzeczypospolitej.

Podczas owych wojennych peregrynacji Sobieski starał się jak najczęściej widywać z Marysieńką, a kiedy nie było takiej możliwości — utrzymywał z nią kontakt listowny, dopytując o dzieci. „Ja z tęskności, przy bólu okrutnym i ustawicznym głowy, cale obumieram, tak że już i świat mi obmierzył”⁸¹ — pisał na początku sierpnia 1675 roku ze Lwowa. Temperatura ich związku nadal była bardzo wysoka, skoro Marysieńka wciąż przysyłała mu prezenty w postaci bransoletek wykonanych z jej włosów łonowych, które bardzo cieszyły jej stęsknionego małżonka. Pisał do niej, że ten osobliwy prezent ceni sobie najbardziej na świecie.

I słów tedy u siebie nie mogę znaleźć do podziękowania Wci sercu memu jedynemu, tylko całując bez przestanku miejsce to, z którego najśliczniejszy wyrósł ten fawor. [...]
Wszystkie moje teraz kłopoty i myślenia, odzie to mieć i gdzie to chować, aby nie przestając, całując, patrząc na to. Pracy najśliczniejszych paluszków z duszy żałuję, które około tej pracowały roboty; a czegoż one nie dokażą, moja śliczna panno!
Świadoma jest dobrze ich moc, kiedy z swego *borgne*
[fr. podejrzanego], by też był *le plus pauvre*
[fr. najuboższych], uczynią, co chcą — takie to są *les charmes* [fr. uroki] w tych moich jedynych paluszkach, które za tak trudną i ciężką robotę milion razy całuję⁸².

Pod koniec 1675 roku Sobieskich spotkał straszny cios — w Żółkwi niespodziewanie zmarła ich najmłodsza córeczka, Menonka. Maria Kazimiera bardzo przeżyła stratę kolejnego dziecka, ale nie mogła sobie pozwolić na pogrążanie się w rozpacz, znów była bowiem w stanie błogosławionym i oczekiwała kolejnego potomka.

2 lutego 1676 roku, w katedrze na Wawelu, odbyła się w końcu koronacja Jana Sobieskiego. Właściwą ceremonię poprzedził uroczysty wjazd królewskiej pary do Krakowa 30 stycznia. Ponieważ król i jego poddani czekali na ceremonię aż dwa lata, uroczystość musiała mieć odpowiednio godną oprawę. Po odprawieniu uroczystej mszy świętej monarcha zaprzysiął artykuły henrykowskie, *pacta conventa* oraz akt konfederacji warszawskiej i dopiero wówczas mogła się odbyć właściwa koronacja Jana III Sobieskiego i Marii Kazimiery. Dla porządku dodajmy, że wspomniane artykuły henrykowskie to akt sformułowany na sejmie elekcyjnym podczas wyboru Henryka Walezego, w którym określono podstawowe zasady ustroju Rzeczypospolitej, natomiast akt konfederacji warszawskiej był dokumentem uchwalonym w trakcie bezkrólestwa w 1573 roku, gwarantującym tolerancję religijną na obszarze całego państwa.

Co prawda Sobieski doprowadził w końcu do tego, że razem z nim koronowano jego małżonkę, ale nie obyło się bez niemiłych zgrzytów. Kiedy wkładano na jej głowę koronę, w świątyni słychać było złowrogie pomruki adwersarzy nowego władcy, niezadowolonych z takiego obrotu sprawy. Zwolennicy króla nie pozwolili jednak na zakłócenie uroczystości,

która dalej przebiegała już bezproblemowo. Zakończyły ją wiwaty na cześć monarszej pary oraz wystawny, trwający aż do północy, bankiet. Następnego dnia cały Kraków bawił się na rozmaitych balach i zabawach, a wieczorem miasto rozświetliła iluminacja i zapierający dech w piersiach pokaz sztucznych ogni. Przy okazji koronacji poddani mieli okazję zobaczyć także królewskie dzieci, które mogły zaprezentować się podczas zorganizowanego na dworze przedstawienia. Mała Adelajda wystąpiła jako amerek siedzący na delfinie, natomiast Jakub odgrywał rolę kupidyna.

Jak wcześniej wspomniano, Maria Kazimiera w trakcie koronacji była w zaawansowanej ciąży. Ze względu na swój stan całą drogę z Rusi do Krakowa przebyła w osobliwym, ale zdaniem medyków znacznie bezpieczniejszym w jej stanie pojeździe niż karoca — lektyce zawieszanej między końskimi grzbietami, a w trakcie podróży starano się robić jak najczęściej postoje. Obawiano się też, jak królowa zniesie długie, bo trwające przeszło trzy godziny, uroczystości w katedrze wawelskiej. Na szczęście tym razem dziecku i matce nie zaszkodziły ani długa podróż, ani męczące ceremonie w dusznej, przepełnionej dymem kadzideł świątyni. 4 marca 1676 roku Marysienka powiła kolejną córkę, Teresę Kunegundę. Dziewczynka była zdrowa i silna i chociaż nie miała zbyt dobrego apetytu, rosła jak na drożdżach, ku nieklamanej radości rodziców, którzy swoim zwyczajem nadali jej przezwisko, nazywając ją Pupusieńką. Wbrew pozorom przydomek Teresy Kunegundy nie miał związku z pewną częścią ciała, ale wywodził się od francuskiego słowa *poupée*, oznaczającego lalkę. Dziewczynka bowiem była tak urocza, że swoim rodzicom przypominała właśnie laleczkę z porcelany. Ponieważ Adelajda nie została jeszcze oficjalnie ochrzczona, aczkolwiek zaraz po urodzeniu poddano ją zwyczajowemu chrztowi z wody, postanowiono obu królewnom jednocześnie wyprawić uroczyste chrzciny. Tym razem na miejsce uroczystości, która odbyła się 19 lipca 1676 roku, wybrano kościół farny w rodzinnej Żółkwi. Jak na córki królewskie przystało, na rodziców chrzestnych wybrano członków znamienitych królewskich i książęcych rodów: ojcem chrzestnym Berbiluny, która jako czteroletnia panienka sama podeszła do chrzcielnicy odziana we wspaniałe szaty i koronę na głowie, był Ludwik XIV, a jej matką chrzestną — elektorowa bawarska Henrietta Adelajda Sabaudzka. Z kolei chrzestnymi jej młodszej siostry zostali król Anglii Karol II Stuart oraz królowa Francji Maria Teresa. Oczywiście nikt z wyżej wymienionych nie zjawiał się w Żółkwi osobiście, rodzice chrzestni mieli odpowiednich reprezentantów w osobach biskupa Forbina-Jansona, wojewodziny kijowskiej Anny Stanisławskiej, wojewody ruskiego Stanisława Jabłonowskiego i wojewodziny krakowskiej Tekli Lubomirskiej. Trzeba przyznać, że prawdziwi rodzice chrzestni dziewczynek stanęli na wysokości zadania, przesyłając chrześniaczkom niebywale drogie prezenty.

Tego samego lata, kiedy odbył się chrzest królewskich córek, Rzeczpospolita szykowała się do kolejnej wojny z Turcją. Sobieski, pomimo że proszono go, by po koronacji zachował urząd hetmana wielkiego koronnego, oddał buławę księciu Dymitrowi Wiśniowieckiemu, natomiast hetmanem polnym koronnym został Stanisław Jabłonowski. Nie oznacza to, że monarcha siedział sobie spokojnie w królewskiej rezydencji, patrząc, jak inni wojują. Wręcz przeciwnie — 24 sierpnia wyruszył w pole, pozostawiając Marysienkę i dzieci w Pielaskowicach. 17 września stanął w obozie pod Lwowem, by objąć komendę nad stacjonującym tam wojskiem i trzy dni później ruszyć na spotkanie z wojskami wroga. 23 września zatrzymał się w doskonale ufortyfikowanym obozie pod Żurawnem, który wkrótce stał się obiektem ataku wroga. Przez kolejne dwa tygodnie każda ze stron starała się bezskutecznie uzyskać przewagę, by ostatecznie podpisać porozumienie, tym razem znacznie korzystniejsze dla Rzeczypospolitej niż dla

imperium Osmanów. Zawarty traktat zapewniał przede wszystkim spokój na południowo-wschodniej granicy naszego kraju. I to na całe sześć lat.

Ten wyjątkowo długi okres pokoju pozwolił królowi cieszyć się rodzinnym życiem u boku wciąż przez niego kochanej i pożądanej Marii Kazimiery i gromadki dzieci. Sobiescy 6 września 1677 roku doczekali się w końcu drugiego syna — Aleksandra, ulubieńca królowej, wyróżniającego się wyjątkową urodą, którego rodzice nazywali pieśczośliwie Minionkiem. Przyjście na świat synka było pewnym pocieszeniem po zmarłej 10 lutego 1677 roku Adelajdzie Ludwice „Berbilunie”. Dziecko zapadło na nieokreśloną chorobę, która wywoływała wielkie bóle. Nieszczęsna dziewczynka tak bardzo cierpiała, że Maria Kazimiera dosłownie modliła się, aby Pan Bóg skrócił męki Adelajdy i zabrał ją z tego świata. Ponieważ opieka nad niedomagającą córeczką kolidowała z obowiązkami monarszymi, Sobiescy oddali Berbilunę pod kuratelę warszawskich zakonnic ze zgromadzenia karmelitek, które zajmowały się królowną aż do jej śmierci.

Co ciekawe, królewicz Aleksander urodził się w Gdańsku, dokąd jego królewscy rodzice wyjechali w połowie roku, oficjalnie po to, by sprawować nadzór nad swoimi posiadłościami. W rzeczywistości król chciał uspokoić utrzymujące się w mieście napięcie społeczno-religijne narastające od jakiegoś czasu między cechami a radą miasta i, niejako przy okazji, spotkać się z wysłannikiem władającego ówczesną Szwecją Karola XI.

Jan III Sobieski 1 sierpnia 1677 roku wjechał do miasta z taką pompą, że nawet najstarsi gdańszczanie, którzy niejedno widzieli, przecierali oczy ze zdumienia. Przez bramy miasta jako pierwsze przejechały ciężkie wozy wojskowe, a potem pojazdy kuchenne. Za nimi wjechał orszak ówczesnego biskupa warmińsko-sambijskiego, za którym podążały karoce i wozy rozmaitych urzędników. Wielkie zdumienie budził następujący po nich oddział Mołdawian, prowadzony przez dwóch Murzynów jadących na wielbłądach. Po nich na ulice grodu nad Motławą weszli muszkietery w niebieskich mundurach, a pochód zamykali hajducy, za którymi szli przedstawiciele Gdańska, począwszy od członków znamienitego cechu rzeźników, a na kupcach skończywszy. Za nimi podążali opaci klasztorów oliwskiego i pelplińskiego, którzy podróżowali w dwóch karocach zaprzężonych każda w sześć koni. Dalej, za tymi pięknymi pojazdami szły należące do króla wierzchowce, z czaprakami i skórą tygrysiami na grzbiecie, a dalej — orszak ambasadora francuskiego, któremu towarzyszyli biskup chełmiński i wojewoda malborski.

Zgromadzeni gapie z niecierpliwością czekali na przybycie króla i jego rodziny, a ich wjazd uroczyście zaanonsowali królewscy dobosze oraz ośmiu trębaczy. Sam monarcha i jego małżonka wjechali do miasta w złotej karocy, by zatrzymać się przy Bramie Wyżynnej, gdzie burmistrz Adrian von der Linde wręczył władcy klucze do miasta.

Trzeba przyznać, że Gdańsk godnie przyjął zwycięzcę spod Chocimia, ustawiając bramy triumfalne, a nawet dwie piramidy, które ozdobiły ulicę Długą, a muzykanci przez cały czas przejazdu nie tylko przygrywali szacownym gościom, ale także co chwila śpiewali po łacinie: *Vive rex Joannes! Salus nostra vive rex auguste! Triumphator pacifice!*

Królewska kwatera znajdowała się na Długim Targu, w domostwie zajmującym aż trzy posesje, zwanym *Palatium Regium*, i to właśnie tam Marysienka powiła swego drugiego syna. Jego przyjście na świat gdańszczanie uczcili wspaniałą fetą i pokazem ogni sztucznych, ale jednocześnie rada miasta uchwaliła zakaz bicia w dzwony przez kolejne sześć tygodni, by nie zakłócać snu królewicza.

Bez przesady można powiedzieć, że Sobieski w wielonarodowym Gdańsku czuł się jak

u siebie w domu, zwłaszcza że miał tu wielu przyjaciół, i to nie byle jakich. Wśród nich znajdowali się najznakomitsi gdańszczanie, na czele z historiografem Joachimem Pastoriusem, historykiem i poetą Wespazjanem Kochowskim, znakomitym matematykiem, fizykiem i wynalazcą Adamem Adamandym Kochańskim, a przede wszystkim — astronomem Janem Heweliuszem, któremu król ufundował nawet stypendium w wysokości 1000 florenów rocznie. Astronom odwdzieczył się mu, nazywając odkryty przez siebie w 1683 roku gwiazdozbiór *Scutum Sobiescianum* — Tarczą Sobieskiego, co miało też upamiętnić wiedeńską wiktorię. Gdański astronom i browarnik poznał Sobieskiego pod koniec lat sześćdziesiątych XVII stulecia, czyli zanim ten został królem. Hetman miał szerokie zainteresowania, do których należała także astronomia, dlatego zamówił u Heweliusza wynaleziony przez niego poleoskop — prototyp peryskopu, oraz dwa globusy: Ziemi i nieba. Przy okazji wizyty w nadmotławskim grodzie monarcha odwiedził jego słynne obserwatorium założone na dachach trzech należących do astronoma kamienic przy ulicy Korzennej i zapewne obserwował pod nadzorem gdańszczanina nieboskłon. Heweliusz zadedykował monarsze swoje dzieło *Atlas ciał niebieskich*, a egzemplarz tej publikacji znalazł się w królewskiej bibliotece.

Jak wspomniano wcześniej, celem przybycia króla do Gdańska było załagodzenie konfliktu między cechami rzemieślniczymi a radą miasta, który Sobieski rozwiązał, opowiadając się po stronie cechów. Znalazł też wyjście dla długoletniego sporu między gdańskimi katolikami i protestantami — ci pierwsi bezskutecznie domagali się zwrotu zaanektowanego przez luteranów kościoła Mariackiego. Monarcha w tym przypadku zastosował iście salomonowe rozwiązanie, proponując budowę kaplicy katolickiej na terenie parafii mariackiej. W założeniu kaplica Królewska, bo taką nazwę otrzymał nowy katolicki kościół, miała pełnić rolę świątyni tymczasowej, do czasu odzyskania kościoła Mariackiego przez katolików, co jak wierzył monarcha, wkrótce miało nastąpić. Tymczasem katolicy odzyskali kościół dopiero w 1945 roku...

Pobyty w Gdańsku zapisał się też w historii małżeństwa Sobieskich jako czas bodaj największego kryzysu, jaki dopadł ich związek. Para poróżniła się tak bardzo, że król wyjechał z miasta sam, nie informując o tym nikogo ze swojego otoczenia ani nawet tamtejszych władz. Gdańszczanie dowiedzieli się o fakcie od jego najstarszego syna, królewicza Jakuba, który podczas jakiejś uroczystości wykrzyknął dramatycznie: „Papy nie masz!”, budząc tym konsternację zebranych. Marysieńka chwyciła za pióro i napisała pełen wyrzutów list, zupełnie wyjątkowy w korespondencji tych dwojga, w nagłówku którego zamiast „Kochany Jachniczku” czy też „Jasięku” widniał oficjalny zwrot „Wasza Królewska Mość”, a podpisany był słowami: „Unięzona sługa”. To zwrot typowy dla ówczesnej korespondencji nawet pomiędzy małżonkami, ale nigdy wcześniej przez Marię Kazimierę niestosowany. Najwyraźniej ten chłodny w tonie list był niczym kubeł zimnej wody na głowę obrażonego małżonka, ponieważ Sobieski, nieco ochłoniwszy i przemyślawszy sprawę, zatrzymał się w Malborku, gdzie dołączyła do niego Marysieńka. Królewska para wróciła do Warszawy, skąd udała się na Ruś. Tam odbył się chrzest najmłodszego synka Sobieskich, Aleksandra. Matką chrzestną malca została siostra króla, Katarzyna Radziwiłłówna, a ojcem — papież Innocenty XI, czyli Benedykt Odescalchi, na cześć którego chłopcu nadano drugie imię.

Po małżeńskim kryzysie nie było już śladu, a Maria Kazimiera po raz kolejny oczekiwała potomka, ale tym razem los nie był dla niej łaskawy — we wrześniu 1678 roku poroniła. Niespełna rok później znowu była w stanie błogosławionym i 1 maja 1680 roku powiła trzeciego syna, Konstantego Władysława, zwanego w rodzinie Murmurkiem bądź Amorkiem. Krewni

i znajomi Sobieskiego twierdzili, że ze wszystkich królewskich dzieci to właśnie Konstanty najbardziej przypomina ojca. Królowa była jeszcze w ciąży dwukrotnie. Na przełomie 1681 i 1682 roku po raz kolejny poroniła. A swoje ostatnie dziecko, syna Jana, powiła tuż przed wyjazdem króla pod Wiedeń — 7 maja 1683 roku. To właśnie malutkiego Janka trzyma przy piersi na bodaj najbardziej znanym portrecie rodzinnym Sobieskich, który można oglądać w pałacu w Wilanowie. Najmłodszy synek monarszej pary żył bardzo krótko — zaledwie dwa lata, i zmarł w maju 1685 roku. Pozostałe dzieci rosły zdrowo, przysparzając swoim królewskim rodzicom wiele radości, ale i trosk. Z czasem najważniejszym celem Marii Kazimiery stało się wydanie jedynej córki za mąż i godny ożenek jej synów. Ambitnej pani Sobieskiej marzyło się, aby jej zięć i synowie pochodzili z najzamożniejszych rodów monarszych Europy, pragnęła także, by jeden z męskich potomków jej męża został jego następcą na tronie Rzeczypospolitej. Było to też życzeniem samego króla, który robił, co mógł, by zapewnić koronę królewiczowi Jakubowi.

Jak na standardy swojej epoki, zwłaszcza te w rodzinach monarszych i magnackich, Sobiescy byli zupełnie wyjątkowymi rodzicami. Pamiętajmy, że w owych czasach królewskie dzieci wychowywane były przez armię niań, mamek, guwernerów i nauczycieli, a swoich biologicznych rodziców widywały wyjątkowo rzadko. Co więcej, miały nawet odrębne dwory i rezydencje, a opiekujący się nimi nauczyciele i opiekunowie zdawali ich rodzicom okresowe raporty z postępów w nauce. Dzieci wywodzące się z domów rodzin panujących poddawane były od najmłodszych lat surowemu wychowaniu, wpajano im normy etykiety obowiązujące na dworach. Tymczasem w rodzinie Sobieskich zupełnie nie przejmowano się zasadami wychowania królewskich potomków, jakim hołdowali Habsburgowie czy inne monarsze rody. Co prawda wszyscy królewicze mieli własne dwory i apartamenty, ale niezbyt rozbudowane. Największym dworem dysponował najstarszy syn Sobieskich, Jakub, ale posłowi francuskiemu, przyzwyczajonemu do przepychu rezydencji Burbonów, wydał się on i tak wyjątkowo ubogi. Z czasem ojciec kupił Fanfanikowi osobną rezydencję — Pałac Kazimierzowski.

Królewna Teresa Kunegunda miała za to swoje własne ochmistrzynie, zarządzające jej służbą, oraz specjalną kuchnię przygotowującą potrawy wyłącznie dla królewskiej córki. Tak się bowiem złożyło, że z całej rodziny Pupusieńka była najbardziej wybredna i jadała niewiele potraw, czym bardzo martwiła swoją matkę. Z listów Marysienki wiemy, że królewna jeszcze jako niemowlę była strasznym niejadkiem, co początkowo nie miało wpływu na stan jej zdrowia, ale z wiekiem zaczęło negatywnie odbijać się na wadze dziewczynki. Zmieniło się to, gdy dziewczynka skończyła półtora roku. Dopiero wówczas jadła, nie grymasząc, dzięki czemu, ku nieklamanej radości rodziców, nabrała nieco ciała. Ale nawet jako starsze dziecko i dorastająca panienka wybierała tylko to, co jej smakowało, kręcąc swoim ślicznym noskiem na większość potraw serwowanych na królewskim stole. Stąd też odrębna kuchnia, gotująca specjalnie dla królewny. Jako dorastająca panienka, zdaniem matki, stanowczo za długo wylegiwała się w łóżu i za dużo czasu spędzała przed lustrem, strojąc się i malując. Marysienka uważała, że córka powinna więcej energii poświęcać na naukę, do czego Pupusieńka jakoś serca nie miała. O ile matka od czasu do czasu utyskiwała na swoją jedyną córkę, o tyle ojciec kochał ją bezgranicznie i rozpieszczał, jak tylko mógł. Kiedy wyjeżdżał na wyprawy wojenne, z utęsknieniem czekał na każdy list skreślony jej rączką i kiedy tylko mógł, wysyłał jej prezenty. Zresztą w każdym liście do żony dopytywał się o dzieci i, kończąc, niemal zawsze dodawał: „Dzieci całuję z duszy i obłapiam”.

Monarcha, który jak wiemy, sam był człowiekiem wykształconym i bywałym w świecie,

chciał, aby jego synowie także zostali odpowiednio wyedukowani, dlatego zdecydował się powierzyć ich nauczycielom Akademii Krakowskiej. Nie był to jednak najlepszy pomysł, ponieważ ówczesny poziom tej uczelni mocno odbiegał od tego, jaki prezentowała w czasach swojej świetności. Pod koniec XVII stulecia system edukacyjny był przestarzały, wręcz skostniały, nauczyciele skupiali się na wtłaczaniu uczniom do głów jedynie pustej teorii, zaniedbując wykształcenie w nich umiejętności samodzielnego myślenia i analizy. Królewicz Jakub trafił pod skrzydła Marcina Winklera, rektora Akademii Krakowskiej w okresie 1687–1689, który uczył młodego Sobieskiego zasad pisania i wygłaszania przemówień, przy czym swoje wystąpienia królewicz przygotowywał zarówno po polsku, jak i po łacinie. Jakub pobierał nauki z dziedziny historii, geografii oraz języków nowożytnych, a także filozofii, prawa i matematyki, przy czym ta ostatnia dziedzina obejmowała również podstawy inżynierii wojskowej. Nie zapomniano też o nauce szermierki, jazdy konnej i dowodzenia na polu bitwy, ale królewicz pobierał także lekcje śpiewu i tańca, były to bowiem umiejętności niezbędne dla dobrze wychowanego arystokraty.

Młodszy królewicz, Aleksander i Konstanty, mieli nieco mniej przeładowany program nauczania, przygotowany pod dyktando ich ojca. Sobieski wystosował dla swoich synów taką samą instrukcję, jaką przed laty sporządził dla niego i jego starszego brata ich ojciec. Zgodnie z nakazami króla plan dnia obu jego młodszych synów przedstawiał się następująco: o godzinie siódmej pobudka, potem toaleta, wspólna modlitwa i śniadanie, które obaj chłopcy jadaliby o siódmej, by już o ósmej zasiąść do nauki. O dziesiątej następowała przerwa na nabożeństwo i obiad, po zjedzeniu którego, około godziny piętnastej, Sobiescy znów zasiadali do nauki, na kolejne dwie godziny. Początkowo ich nauczycielem był jezuita Maurycy Vota, którego z czasem zastąpił Remigian Suszycki, profesor Akademii Krakowskiej, wybitny znawca prawa i filozofii. Retoryki uczył ich nauczyciel ich starszego brata, Winkler, ale nie robił tego osobiście, ponieważ obowiązki zmuszały go do pobytu w Krakowie, dlatego dwaj młodszy synowie Sobieskiego poznawali tajniki tego przedmiotu... korespondencyjnie. Polegało to na przygotowywaniu przemówień na temat zadany przez nauczyciela, które następnie wysyłano do Krakowa, a Winkler odsyłał prace królewiczów wraz z naniesionymi poprawkami i stosownymi uwagami.

Chociaż matka Aleksandra i Konstantego była Francuzką, nikt nie zadbał, by młodszy królewicz poznali dobrze mowę swoich przodków po kądzieli. Początkowo, kiedy nauką konwersacji w tym języku zajmował się Polak nazwiskiem Groński, wszystko szło dobrze, ale z czasem, kiedy zastąpił go rodowity Francuz, Pélicier, sprawy przybrały znacznie gorszy obrót. Nowy nauczyciel najwyraźniej nie miał pojęcia o edukacji, gdyż bardzo źle wywiązał się ze swego zadania i w efekcie żaden z młodszych synów Sobieskiego nie potrafił pisać w języku francuskim. Dorosły Konstanty, chcąc utrzymać kontakt korespondencyjny z jednym ze swoich francuskich kuzynów, korzystał z pomocy najstarszego brata. Pupusieńka, do której edukacji nie przywiązywano tak wielkiej wagi jak do kształcenia jej braci, pisząc po polsku, robiła straszne błędy, a język francuski, którego także uczył ją *monsieur Pélicier*, opanowała dopiero na dworze swojego męża.

Królewskie dzieci nie odziedziczyły po ojcu zamiłowania do lektury, chociaż w każdej rezydencji znajdowała się pokaźna biblioteka. Z całej czwórki jedynie Jakub zasługiwał na miano mola książkowego, przy czym królewicz najchętniej sięgał po książki historyczne, a z czasem zainteresował się także wiedzą tajemną. To zainteresowanie pochłaniało go tak bardzo, że nie zawahał się nawet prosić o dyspensę papieską zezwalającą mu na lekturę ksiąg

znajdujących się na indeksie. Co ciekawe, taką dyspensę otrzymał. Jakub przejawiał także pewne zdolności pisarskie i nosił się z zamiarem stworzenia historii swojej rodziny, do czego gorąco zachęcała go matka. Niestety w tym przypadku skończyło się jedynie na planach.

Posłowie zagraniczni przybywający na dwór Sobieskich zazwyczaj zachwycali się małym Aleksandrem, ulubieńcem królowej, który był, jeżeli wierzyć przekazom, najpiękniejszym dzieckiem ze wszystkich potomków rodzin panujących w Europie. Pisano o nim, że jest „na swój wiek słuszny, twarzy długiej, oczu pięknych, nosa i ust do malowania, zębów nieosobliwych, lica rumianego, z oblicza podobny do ojca”⁸³. Jego dwaj bracia, Jakub i Konstanty, nie budzili aż takiego podziwu. O młodszym z nich pisano, iż co prawda pod względem urody nie dorównuje Aleksandrowi, ale jest inteligentny, pobożny i dowcipny. Co do najstarszego królewicza, to budził on sprzeczne opinie. Nie brakowało takich, którzy uznawali go za przystojnego młodzieńca, ale dysponujemy relacjami, w których opisuje się go jako zniewieściałego suchotnika mówiącego falsetem. Wszyscy widzieli, że królowa faworyzuje młodszych królewiczów, co zresztą nie zmieniło się nigdy. Da się to dostrzec chociażby w listach pisanych przez nią do dorosłych już synów, w których do Aleksandra i Konstantego zwraca się per „Olinku” i „Kostinku”, natomiast do najstarszego z nich pisze: „Moje najdroższe dziecko Jakubie”. Królowna, która odziedziczyła urodę po matce, budziła powszechny podziw. Niestety Pupusienka, podobnie jak jej królewski tatuś, miała skłonności do tycia, co w przyszłości miało się odbić negatywnie na jej wyglądzie. Zdumienie przybyszów budził fakt, że królowna wolała się nosić po polsku niż po francusku i ponoć, jak zauważył jeden z zagranicznych posłów, miała wręcz wstręt do „mód francuskich”.

Królewska rodzina spędzała czas razem, zarówno na co dzień, jak i od święta. Wspólnie podróżowano, jadano i bawiono się w karnawale, urządzając rozmaite bale i maskarady, wspólnie też świętowano wyjątkowo hucznie obchodzone rocznice wojennych sukcesów Sobieskiego, jak chociażby rocznicę bitwy pod Chocimiem. Równie uroczyście świętowano urodziny czy imieniny członków rodziny królewskiej. Wciąż zakochany w swojej żonie Jan pamiętał, aby obok stosownego prezentu zawsze wręczyć jej bukiet kwiatów. Kiedy go akurat przy Marysienke nie było, zastępowała go w tym przyjemnym obowiązku służba.

Jeżeli mówimy o życiu rodzinnym Sobieskich, niepodobna nie wspomnieć o ich najświetniejszej rezydencji — pałacu w Wilanowie. Jej historia zaczyna się w 1677 roku, kiedy król, po zakupie wsi Milanów (tak brzmiała pierwotna nazwa tej miejscowości), nakazał w miejscu dzisiejszego pałacu budowę willi w stylu włoskim, co dało początek nazwie Wilanów, pochodzącej od włoskich słów: *Villa Nova*. Pierwotnie była to zwykła letnia rezydencja podmiejska, w której niechętni miejskiego zgiełku ani surowości warszawskiego zamku monarcha miał odpoczywać, i początkowo nie budziła zachwytów. Znany podróżnik francuski, kawaler de Beaujeu, który miał okazję ją oglądać, pisał z rozczarowaniem:

Dwór króla wybudowany jest z cegły w stylu dość pospolitym. Ma niewielką wysokość i bardzo małe rozmiary. W całości nie robi wrażenia siedziby królewskiej, ale raczej mieszkania prywatnego mniejszych wymogów i nie dorównywa wcale tym, jakie nasi mieszczanie zamożniejsi albo urzędnicy mniej zamożni, wybudowali sobie w okolicach Paryża⁸⁴.

Marysienka także nie była początkowo Wilanowem zachwycona i narzekała w listach: „Wiem jednak, że przyznasz, że nie królewski to budynek ani do sreber i galanterii, które tu chcemy mieć, gdyż i miejsca na niego nie masz...”⁸⁵. Ponieważ Maria Kazimiera kręciła nosem na nowy letni dom, Sobieski nie miał innego wyjścia, jak tylko powiększyć i rozbudować pałac, przekształcając go w okazałą rezydencję.

W ciągu kilku następnych lat małeńki dworek, przypominający domostwo niezbyt zamożnego szlachetki, został zastąpiony okazałym pałacem, zbudowanym według projektu Augustyna Locciego. Zyskał tym samym wygląd i rozmiary odpowiednie dla wielkiego władcy i pogromcy Turcji. Już wchodząc do budynku, mijając jego fasadę, przybysze stykali się z ikonografią, pełną odniesień do starożytności, ale też stanowiącą apoteozę całego rodu Sobieskich, samego Jana III i jego ukochanej małżonki. Stojące na attyce posągi największych bogów starożytnego Rzymu, Jowisza, Apollina i Marsa, symbolizują cechy wielkiego władcy, za jakiego miał uchodzić właściciel rezydencji: potęgę, sprawiedliwość i waleczność. Marysieńce poświęcony jest łuk triumfalny, z personifikacją piękna, atrybutu małżonki wielkiego króla. Z kolei cechy przynależne królowej, czyli piękno, płodność i wierność, symbolizują posągi antycznych bogiń: Wenery, Junony i Cerery. Podziw budziło też otoczenie pałacu, na czele z paradnym dziedzińcem oraz ogrodami pełnymi rzeźb, fontann i altan, dającymi schronienie w upalny dzień.

W Wilanowie roiło się od zwierząt. Król zadbał o zwierzyniec godny tak wspaniałej rezydencji — wśród menażerii znalazło się miejsce nawet dla egzotycznych australijskich kazuarów czy niedźwiedzia polarnego. Niestety ów niedźwiedź niezbyt dobrze zapisał się w pamięci rodziny. Piękny drapieżnik pewnego dnia zabił ulubionego pieska królewicza Jakuba. Najstarszy syn Sobieskich był także właścicielem oswojonego zająca, który mieszkał w jego komnacie i któregoś razu bardzo przstraszył swego pana. Szarak obudził się pewnej nocy i zachowywał się tak głośno, że obudził królewicza, który zapomniawszy o czworonożnym przyjacielu, był przekonany, iż nawiedza go jakaś tajemnicza zjawą. Przerażony narobił niezłego rabanu. Niewątpliwie najszlachetniejszym zwierzątkiem należącym do króla jegomości była niezmiernie inteligentna wydra zwana Robakiem, którą monarcha odkupił od słynnego pamiętnikarza, Jana Chryzostoma Paska. Zwierzątko zachowywało się jak pies, sypiało ze swoim przyjacielem, w przypadku zagrożenia broniło swego pana i na specjalną komendę łowiło dla niego ryby. Sobieski był tak zachwycony sympatyczną wydrą, że kupił ją i trzymał w Wilanowie. Chociaż dbał o nią bardzo, wydra nie była szczęśliwa w nowym miejscu i chyba tęskniła za swoim dawnym panem. Pech chciał, że Robak jakimś cudem zrzucił z szyi obrózkę, którą mu założono po przybyciu do Wilanowa, co bardzo źle się dla niego skończyło. Pewien dragon, nieświadomy, że ma do czynienia z pupilkiem samego króla, zabił zwierzę berdyszem, a następnie oskórował i pozyskany w ten sposób materiał sprzedał kupcowi żydowskiemu. Kiedy dowiedział się o tym Sobieski, wpadł w furję i rozkazał bezzwłocznie rozstrzelać winowajcę. Ponieważ za nieszczęsnym dragonem wstawili się duchowni, monarcha zmienił karę na tak zwaną praszczętę. Morderca Robaka miał przebiec pomiędzy dwoma rzędami żołnierzy okładających go różgami. Nie uratowało to jednak życia dragona, który nie przeżył surowej kary...

Maria Kazimiera, jako pani i gospodyni rezydencji w Wilanowie, dbała, by przybysze zachwycali się nie tylko zbudowanym przez jej małżonka pałacem, ale także nią samą. Przykładała dużą wagę do swojej urody, codziennie zażywając kąpeli i dużo czasu poświęcając toalecie oraz starannemu makijażowi. Jeżeli wierzyć francuskiemu ambasadorowi, zabiegi upiększające pani Sobieskiej trwały ponad cztery godziny. Jednak efekt był więcej niż

zadowolający, skoro inny Francuz, poeta Renard, odwiedzający Wilanów w 1682 roku, uznał ją za wyjątkowo zgrabną i piękną kobietę. A pamiętajmy, że bohaterka naszej opowieści przekroczyła już wówczas czterdziestkę i miała za sobą liczne ciąży i porody. Dziś o jej urodzie świadczą wizerunki, jakie możemy oglądać, zwiedzając pałac w Wilanowie, podziwiając małżonkę Jana III Sobieskiego jako Jutrzenkę w Gabinetcie Zwierciadlanym, Florę na plafonie Sypialni Królowej czy matki rodu w portrecie Siemiginowskiego. Dodajmy, że na większości obrazów, fresków czy plafonów królewska małżonka została uwieczniona w niekompletnym ubraniu, a czasem niemal zupełnie nago. Nie oznacza to bynajmniej, że owe wizerunki oddają wiernie jej wygląd, wiadomo wszak, iż ówczesni malarze dalecy byli od ukazywania jakichkolwiek niedoskonałości urody portretowanych dam. Wiemy też, że Maria Kazimiera bardzo pilnowała jakości swoich portretów i zanim zasiadła do pozowania, odpowiednio instruowała malarzy.

Zwiedzając Wilanów, warto zwrócić uwagę na wspomniany wyżej obraz pędzla Siemiginowskiego, który można podziwiać w antykamerze, czyli rodzaju przedpokoju, i to nie tylko dlatego, że jest to jedyne płótno przedstawiające najmłodszego synka Sobieskich, Janka, który jak wiadomo, żył zaledwie dwa lata. Nadworny malarz Sobieskich uwiecznił na nim Marię Kazimierę jako matkę rodu, odzianą w antyczną szatę i wystylizowaną na antyczną boginię, w której znawcy tematu dopatrują się matki bogów, Rei. Królowa karmi piersią małego Janka, a otacza ją czwórka pozostałych dzieci, próżno szukać natomiast tam jej męża. Na płótnie uwiecznione zostało jedynie jego popiersie, przedstawiające monarchę jako antycznego herosa, z wieńcem laurowym na skroniach. Historycy widzą w tym osobliwym portrecie królewskiej rodziny odbicie planów dynastycznych Sobieskich, a konkretnie — dążenia do osadzenia na tronie Rzeczypospolitej jednego z królewiczów. Te ambitne zamierzenia przybrały na sile po zwycięstwie wiedeńskim Jana III Sobieskiego, które przydało mu miano obrońcy chrześcijaństwa. Prawdę mówiąc, Marysieńka miała w tym niemały udział, podobnie zresztą jak... królewski teść.



Wojciech Gerson, *Pożegnanie Jana III przed wyprawą wiedeńską*

Rozdział 10
Wiedeń 1683

Jak wiadomo, Maria Kazimiera opuściła swoją ojczyznę, podobnie zresztą jak rodzinę, jako mała dziewczynka. Wątpliwe jest, aby pamiętała pierwszy okres swego życia spędzony w rodzinnym domu. Dla niej najwcześniejsze wspomnienia związane były zapewne z pobytem na dworze królowej Ludwiki Marii, być może nawet nie pamiętała swoich rodziców. Nie była też z nimi szczególnie związana emocjonalnie, zresztą królowa skutecznie zastępowała jej matkę. Wszystko zmieniło się, kiedy już jako osoba dorosła, żona jednego z najznamienitszych polskich magnatów, Jana Sobiepana Zamoyskiego, wyjechała do Francji. Wówczas odnowiła, a właściwie należałoby powiedzieć: nawiązała więzy ze swoją rodziną, a zwłaszcza z rodzicami. I odtąd postępowała tak, jakby z nawiązką chciała wynagrodzić im lata rozłąki, niejako zapominając, że to oni sami oddali ją pod opiekę Gonzagi, ciesząc się, że księżna, wyjeżdżając do dalekiej Polski, zabiera ze sobą ich maleńką córeczkę. Zawsze to jedna gęba do wyżywienia mniej, a państwo d'Arquien mieli poważne problemy z utrzymaniem reszty swego potomstwa.

Prawdę mówiąc, Marysienka powinna im być wdzięczna za tę decyzję, wszak gdyby pozostała we Francji, nie miałyby żadnych szans na posag, a co za tym idzie, na korzystne zamążpójście, i to na pewno nie dwukrotne, jak w Polsce. W ojczyźnie byłyby tylko zubożałą szlachcianką, córką utracjusza, pijaka i dziwkarza, a tymczasem nad Wisłą, jako ulubienica królowej, stała się wyjątkowo dobrą partią. Być może pani Sobieska uznała, że to właśnie swoim rodzicom zawdzięcza koronę królowej, i postanowiła się im za to z nawiązką odpłacić.

Kiedy Maria Kazimiera, już jako pani Zamoyska, listownie romansująca z sąsiadem, Janem Sobieskim, zawitała do swego ojczystego kraju, w stadle jej rodziców działo się bardzo źle, o czym ze smutkiem donosiła swemu korespondencyjnemu przyjacielowi, pisząc, że ptaki morskie, jak w listownym szyfrze nazywała swoją matkę i ojca, wiecznie się kłócą. I nie ma się czemu dziwić, skoro markiz d'Arquien, mimo dość zaawansowanego wieku i pustki w szkatule, wciąż zachowywał się jak młody i, co gorsza, majątny arystokrata. Przegrywał w karty, zaciągając przy tej okazji długi, które musiała spłacać jego żona, i uganiał się za spódniczkami. A że miał słabość do dzierlatek, kosztowało go to niemało i, chcąc zdobyć względy kolejnej młodzianki panny, zaciągał nowe długi, ani myśląc ich spłacać. Tymczasem hordy wierzyteli nachodziły jego małżonkę, która nie wiedziała, jak się ich pozbyć, skąd wziąć pieniądze na spłatę zadłużenia swego niewiernego męża ani tym bardziej jak w końcu nauczyć tego rozpustnika i hulakę rozumu. Ponieważ niegdysiejsi pożyczkodawcy nie mogli się doczekać spłaty zaciągniętych przez markiza długów, występowali przeciwko niemu na drogę sądową, co zresztą ich dłużnika niewiele obchodziło. Co najwyżej mógł im urządzić karczemną awanturę, w czym miał niemałą wprawę, dzięki czemu zyskał wątpliwą sławę piniacza i awanturnika. Nie należy się więc dziwić, że w małżeństwie państwa d'Arquien próżno było szukać zgody i porozumienia, o małżeńskiej miłości nie wspominając. Jeżeli matka Marysienki sądziła, że niewidziana od lat córka wyperswaduje ojcu to skandaliczne postępowanie, to musiała się bardzo rozczarować. Markiz miał do pięknej Marii Kazimiery wielką słabość, ale nawet ona nie zdołała nakłonić go do zmiany awanturniczego trybu życia.

Na domiar złego inna jego córka stała się bohaterką skandalu obyczajowego, który zbulwersował całą Francję, włącznie z dworem Ludwika XIV. Ponieważ rodzice, których nie stać było na posag, oddali ją do klasztoru, ale panna bardzo szybko zorientowała się, że nie ma powołania do życia w zakonie, uciekła więc spod opieki siostrzyczek zakonnych, zanim zdążyła złożyć ślubowanie. Na to jeszcze można by przymknąć oko, trudno było wymagać od młodej dziewczyny, by dobrowolnie zrezygnowała z przyjemności świata doczesnego, ale panna

d'Arquien, zamiast udać się do rodzinnego domu bądź do krewnych, znalazła schronienie w... domu uciech.

Jak już wcześniej wspomniano, Maria Kazimiera jeszcze jako pani Zamoyska starała się o tytuł para dla swego tatusia. Na jej nieszczęście o ekscesach starego rozpustnika słyszał sam monarcha, który chociaż sam nie był wzorem cnót, oburzył się jego poczynaniami. Dlatego wysiłki pani Zamoyskiej spełzły na niczym. Niezrażona tym Marysieńka wróciła do sprawy podczas swego kolejnego pobytu w Paryżu, kiedy chciała wywalczyć stosowne zaszczyty nie tylko dla swego ojca, ale także dla drugiego męża, Jana Sobieskiego. I tym razem jej plany spełzły na niczym, a jedyne, co udało jej się uzyskać, to zgoda francuskiego monarchy na zostanie ojcem chrzestnym Jakuba. Tym razem także wracała z Paryża na tarczę.

Kiedy jednak została królową, uznała, że może już rozmawiać z Królem Słońce z pozycji monarchini, a nie jako jego poddana, jak miało to miejsce w przeszłości. Skoro władca łaskawie uznał ją za swoją adopcyjną córkę, to była szansa, że tym razem w końcu przyzna tytuł jej staremu ojcu. Niestety spotkała się z odmową. Ludwik XIV nie miał zamiaru wyświadczać jej rodzinie tego zaszczytu. Jak wyjaśnił w liście do ambasadora w Polsce: „sposób, w jaki ten człowiek się prowadził i prowadzi dotąd, nie zdaje się zbytnio odpowiadać tej godności”⁸⁶. Napominał jednocześnie swojego posła: „Ponieważ królowa wspomina mi ogólnie o jakiejś godności dla ojca, łatwo domyślić się, że chodzi o to, aby go zrobić diukiem; otóż byłbym rad, aby się jej pan nie dał wywnętrzać bliżej w tej mierze, ale ogólnie ją zapewnił, że może być przekonana, iż przez szacunek dla niej, zawsze będę miał wiele szacunku dla jej domu”⁸⁷. Zresztą pan d'Arquien zupełnie pogrzyżył się w jego oczach, kiedy krótko po śmierci swojej małżonki, matki Marysieńki, zawarł kolejny związek małżeński z kobietą o dość podejrzaną reputacją. Zorientowawszy się, że popełnił poważny błąd, dosłownie wychodził ze skóry, aby unieważnić ten związek, zaciągając kolejne długi i angażując się w procesy sądowe. Na domiar złego wszedł w spór z jedną ze swoich córek, która, niepomna na szacunek należny ojcu, podała go do sądu. A ponieważ przy tej okazji wywlekała na światło dzienne rodzinne brudy, sprawa budziła powszechne zgorszenie. „Proces jego, który się toczy obecnie, czyni go pośmiewiskiem całego Paryża”⁸⁸ — orzekł zniesmaczony Ludwik XIV.

Chcąc jednak załagodzić jakoś stosunki z żoną Sobieskiego, mianował ambasadorem w Polsce margrabiego de Béthun, męża starszej siostry Marysieńki, Marii Ludwika, ale tylko dołączył tym oliwy do ognia. To właśnie pani ambasadorowa była ową wyrodną córką, która wdała się w gorszący proces z własnym ojcem, czym zasłużyła na potępienie w oczach Marii Kazimiery, bezkrytycznie kochającej tatusia i przymykającej oko na jego wybryki. Z kolei sama żona ambasadora czuła się dość dziwnie przy młodszej siostrze, której niegdyś wycierała nos, a której teraz winna była szacunek należny monarchini. Między kobietami co rusz dochodziło do sporów i animozji, a ofiarą tego zamieszkania padł Bogu ducha winny ambasador, na którego barki Maria Kazimiera wylewała też wszystkie żale, jakie miała do dworu francuskiego. Trzeba jednak przyznać, że pomimo to królowa żywiła sympatię do szwagra, którego uznała nawet za wzór męża idealnego. A wszystko dlatego, że ambasador, jako nieuleczalny pantoflarz, wiecznie ustępował żonie, o czym Marysieńka donosiła w listach mężowi, mało dyskretnie wspominając, że „p. de Béthune jest szczęśliwa, bo mąż ją bardzo kocha i do tego stopnia pozwala sobą rządzić, że ani kroku bez jej pozwolenia nie uczyni; postępuje on słusznie”⁸⁹. Pomimo siostrzanych nieporozumień Maria Ludwika przynajmniej od czasu do czasu uczestniczyła w życiu dworu Marii Kazimiery. Towarzyszyła nawet królowej podczas wyjazdu Marysieńki do Cieplić na kurację. Pani Sobieska, posłuszna nakazom medyków, zażywała tam leczniczych

kąpieli, a ponieważ zapach wody, w jakiej się kąpała, bardzo drażnił jej królewski nos, obsługa trzymała przed jej nozdrzami różę, której woń skutecznie tłumiła odór leczniczych wód.

Trzeba przyznać, że monsieur Béthune starał się wspomóc siostrę swojej małżonki w jej staraniach o tytuł dla ojca, który przecież był jego teściem. Cierpliwie tłumaczył królowi Francji, że Marysienka bardzo na tym zależy. Twierdził też, że królowa skarżyła się mu, iż fakt, że jest tylko córką markiza, nie wpływa dobrze na jej pozycję w Polsce i szacunek poddanych. Ba, uważała nawet, że cała Europa drwi z Jana III Sobieskiego, monarchy, którego teść jest zwykłym szlachcicem. Wszystko na próżno. Władca odpisał ambasadorowi z rozbrajającą szczerością, że chciałby przewyciężyć w sobie wstręt do uczynienia pana d'Arquien diukiem i parem Francji. Czemu Ludwik XIV był tak zatwardziały w swoim uporze, skoro wcześniej nie wahał się nawet adoptować Marii Kazimiery? Tytuł para, o który zabiegała polska królowa dla swego ojca-hulaki, wywodzi się z łaciny i oznacza „równy godnością”. Był to tytuł honorowy francuskiej szlachty, wiążący się z wieloma zaszczytnymi przywilejami, jakim była na przykład obecność tuż przy królu podczas jego koronacji. Co prawda parowie i książęta Francji mieli na swoim koncie różne mniejsze lub większe grzeszki, kochanki i nieślubne dzieci, podobnie jak karciane długi, ale żaden z nich nie wyciągał ich na światło dzienne. A tymczasem pan d'Arquien zdawał się chlubić swoimi wyczynami i w dodatku, z czego francuski monarcha doskonale zdawał sobie sprawę, był na bakier z dworską etykietą. Dlatego, jak zauważa Boy: „Ludwik XIV, ta wcielona etykieta, wolałby dać sobie zaaplikować lewatywę z tłuczonego szkła, niż narzucić swoim »diukom i parom« takiego kolegę”⁹⁰.

Do Marysienki, ślepo kochającej swego ojca, takie argumenty jednak nie przemawiały. W 1678 roku, ku nieklamanej radości królowej, markiz przybył do Polski, by, jak tłumaczył swojej ukochanej córeczce, u boku Marii Kazimiery, jej męża i swoich wnuków dożyć końca swoich dni, wyraźnie sugerując, iż wkrótce odejdzie z tego świata. Tymczasem sędziwy już wówczas markiz cieszył się wyjątkowo dobrym zdrowiem i miał dotrzeć do matuzalemowego, oczywiście jak na owe czasy, wieku dziewięćdziesięciu czterech lat, przeżyć swojego zięcia i doczekać się prawnuków. Co więcej, po przyjeździe nad Wisłę nie miał najmniejszego zamiaru zmieniać swojego skandalicznego trybu życia: nadal podrywał młodzietki dziewczęta, grał w karty i zaciągał długi, pakując się co rusz w długi, z których, jakżeby inaczej, wyciągała go Marysienka. Mimo problemów królowa wciąż kochała ojca i robiła, co mogła, by przychylić mu nieba, a przede wszystkim — pozyskać dla niego tytuł para i diuka Francji. Tymczasem Król Słońce jej prośby i starania zbywał wyniosłym milczeniem. Rozżalona Maria Kazimiera coraz częściej zaczynała spoglądać w stronę Austrii, o czym jej szwagier-ambasador lojalnie informował swego mocodawcę w Wersalu. „Poseł austriacki gra co dzień w lombra z królową i jej ojcem. Nigdy — donosił de Béthune — nawet za królowej Eleonory, Austriacy nie byli tak dobrze widziani na dworze jak teraz. Dopóki się nie zaspokoi królowej, będzie ona trzymała z Austrią; trzeba ją ratować [...] z przepaści, w jaką się osuwa; gdyby można coś zrobić dla jej ojca, usunęłoby się tysiąc przeszkód”⁹¹. Niestety także i ten argument nie przekonał Ludwika, który na tę informację zareagował dość dziwnie, odwołując de Béthune'a z funkcji francuskiego posła przy dworze polskim.

A tymczasem poseł austriacki dobrze wiedział, jak pozyskać królową, skoro obiecał jej ojcu tytuł księcia cesarstwa, czym bardzo ucieszył Marysienkę. Co prawda nowy ambasador mianowany przez Burbona mało dyplomatycznie zwrócił jej uwagę, że nie godzi się, by markiz, było nie było — poddany francuski, przyjmował tytuł z rąk odwiecznego wroga Francji, ale królowa trwała przy swoim. Skoro Król Słońce ignoruje ją samą i jej rodzinę, to ona ma prawo

zwrócić się do cesarza Austrii. Maria Kazimiera łudziła się, że księstwo darowane przez cesarza jej ojcu odziedziczy w przyszłości jego wnuk, królewicz Jakub. Warto zauważyć, że troska o dobro najstarszego syna przyświecała także jej staraniom o tytuł diuka i para Francji dla markiza d'Arquien. Jak już wcześniej wspomniano, Sobiescy planowali osadzenie na tronie Rzeczypospolitej Jakuba, albo za pomocą elekcji *vivente rege*, czyli za życia Jana III, albo dopiero po jego śmierci. Marysienka, która po latach spędzonych w Polsce aż za dobrze poznała poddanych swojego małżonka, doskonale zdawała sobie sprawę, iż jeżeli nie uda im się zabezpieczyć korony dla królewicza Jakuba, to jego sytuacja, po odejściu Sobieskiego, będzie bardzo trudna. Gdyby jednak odziedziczył po swoim dziadku po kądzieli tytuł para i diuka Francji, mógłby się przenieść nad Loarę, gdzie wiódłby dostatnie i, co ważniejsze, bezpieczne życie.

Przy okazji porozumienia z Austrią zamierzała też załatwić skomplikowaną kwestię mariażu najstarszego syna. Początkowo u jego boku widziała swoją rodaczkę, jakąś francuską księżniczkę, a najlepiej córkę samego króla, ale to ostatnie nie wchodziło w grę. Monarcha bowiem z poślubioną mu przed Bogiem żoną, Marią Teresą Habsburg, doczekał się co prawda trzech córek, ale żadna z nich nie dożyła wieku dojrzałego. Miał córki zrodzone z nieformalnych związków z kochankami, ale Maria Kazimiera nie brała ich pod uwagę. Zostały więc tylko księżniczki krwi, ale zgodę na ich zamążpójście musiał wydać sam monarcha. A tymczasem Król Słońce małżeństwo którejkolwiek z nich z Jakubem Sobieskim, co prawda królewskim synem, ale z marnymi szansami na następstwo tronu, uważał po prostu za mezalians. Kiedy poseł austriacki mamił polską królową mglistymi obietnicami wydania za jej najstarszego syna jakiejś arcyksiężniczki, Marysienka była zachwycona, a uwagi francuskiego ambasadora, że są to tylko puste frazesy, puszczała mimo uszu. W wyobraźni widziała już bowiem jako swoją synową córkę cesarza Leopolda I, Marię Antonię, a była to wizja tak sugestywna, że królowa została wielką rzeczniczką sojuszu Rzeczypospolitej i cesarstwa, usilnie przekonując do tej wizji swego małżonka. Poza tym oboje królestwo uważali, że małżeństwo ich najstarszego syna z arcyksiężniczką stanowić będzie najlepszą gwarancję jego wygranej w późniejszej elekcji.

Oczywiście przypisywanie Marysience roli głównego architekta porozumienia Rzeczypospolitej z Austrią, a porzucenia Francji, dotychczasowego sprzymierzenia, byłoby zbyt prostym uproszczeniem. Istotne znaczenie w tej sprawie miała polityka bałtycka króla Jana III Sobieskiego. Jak wcześniej wspomniano, monarcha, ułożywszy wcześniej sprawy z Turcją, skupił się na zapewnieniu Polsce silnej pozycji nad Bałtykiem i na inkorporacji Prus Książęcych lub złączeniu ich unią personalną z Rzeczpospolitą. W tym celu jeszcze w 1675 roku, 11 czerwca, w Jaworowie zawarł tajny traktat z wysłannikami Ludwika XIV, dotyczący przystąpienia naszego kraju do wojny przeciwko Brandenburgii. Francuski monarcha nie tylko dał zielone światło dla inkorporacji Prus przez Jana III Sobieskiego, ale także zobowiązał się do wypłaty regularnych subsydiów w przypadku przystąpienia Polski do wojny z Brandenburgią. Plan przewidywał atak sprzymierzonych wojsk polskich i szwedzkich (to właśnie w tej sprawie Jan III spotykał się w Gdańsku z posłami króla Szwecji, Karola XI) na Prusy Książęce, by odebrać je Brandenburgii. Ludwik XIV, podpisując z Rzeczpospolitą to porozumienie, chciał przy okazji odciągnąć ją od ewentualnej wojny z Imperium Osmańskim, sojusznikiem królestwa Francji. Traktat jaworowski, nad podpisaniem którego czuwała oczywiście Maria Kazimiera, był dla Rzeczypospolitej niezmiernie korzystny, z tym że nigdy nie doszło do realizacji jego postanowień. Brandenburgia ostatecznie sprzymierzyła się z dotychczasowym wrogiem — Francją, a Król Słońce, mimo zawartego wcześniej porozumienia z Janem III Sobieskim, zmienił

swoje priorytety polityczne. To automatycznie wymusiło zwrot w polityce naszego władcy i jego porozumienie z cesarstwem.

W 1682 roku w części Węgier znajdującej się pod panowaniem Austrii wybuchło powstanie antyhabsburskie, na czele którego stanął potężny węgierski magnat Emeryk Thököly. Na to tylko czekała skonfliktowana z cesarstwem Turcja, która otwarcie poparła zbrojny zryw Węgrów. Sami powstańcy skłaniali się ku sojuszowi z imperium Osmanów, co oczywiście bardzo osłabiłoby pozycję Austrii, zaangażowanej w konflikt zbrojny z Francją. Wobec zagrożenia ekspansją turecką Leopold I uznał, że najlepszym rozwiązaniem będzie zawiązanie sojuszu z Rzeczpospolitą, krajem, którego władca zasłynął jako pogromca Osmanów — sami Turcy z szacunkiem nazywali go wszak Lwem Lechistanu. I tak 1 kwietnia 1683 roku cesarz i polski monarcha, przy entuzjastycznym poparciu Marii Kazimiery, zawarli przymierze, gwarantowane przez samego papieża Innocentego XI. Ponieważ w dniu 1 kwietnia przypadał *prima aprilis*, tradycyjny dzień robienia sobie żartów i figli, porozumienie antydatowano na 31 marca, by nie dać pretekstu do *prima aprilis*owych dowcipów. Zgodnie z porozumieniem w przypadku zagrożenia któregośkolwiek z państw przez Turcję druga strona bezzwłocznie miała udzielić mu pomocy militarnej, przy czym Rzeczpospolita zobowiązała się do wystawienia czterdziestotysięcznej armii, natomiast Austria do wypłacenia subsydiów wojennych w wysokości 1,2 miliona złotych.

Bezspornym faktem jest, że zawarty z cesarstwem traktat stanowił jednostronne pogwałcenie przez Rzeczpospolitą porozumienia zawartego z imperium w 1678 roku, dlatego na wieść o jego podpisaniu sułtan nazwał polskiego króla zdrajcą. Ponieważ, przynajmniej na razie, nie było pewności, że popierająca węgierskich powstańców Turcja w ogóle ruszy na Austrię, Rzeczpospolita starała się zachować neutralność i nie wejść w konflikt zbrojny z Osmanami. Doskonale zdawano sobie sprawę, że gdyby, wciąż militarnie potężna, Turcja uderzyła na ziemie cesarstwa i opanowała tereny sąsiadującej z naszym krajem od południa Słowacji, stworzyłoby to poważne zagrożenie, a na to Polska nie mogła sobie pozwolić. Wiedział o tym Jan III Sobieski, kiedy przemawiał do zgromadzonej na sejmie szlachty, mówiąc: „Lubo Wiedeń zginie. Lubo się obroni, wszystko to nam nie na rękę będzie, bo lepiej w cudzej ziemi, o cudzym chlebie, w asystencji wszystkich sił Imperii, nie tylko samego cesarza, wojować, aniżeli samym się bronić o swoim chlebie, i kiedy nas jeszcze przyjaciele i sąsiedzi odstąpią, gdy im w takim razie prędkiego nie damy sukursu”⁹². A potem zapytał retorycznie: „Jeżeli Wiedeń zginie, kto ubezpieczy Warszawę?”⁹³.

Już w kwietniu 1683 roku, krótko po podpisaniu porozumienia austriacko-polskiego, z Adrianopola wyruszyła armia turecka, która posuwała się wyjątkowo szybko, skutecznie pustosząc Węgry, by w połowie lipca stanąć pod murami Wiednia. Co ciekawe, dowodzący siłami tureckimi wezyr Kara Mustafa wcale nie dostał od sułtana rozkazu, by zdobyć stolicę Austrii. Zgodnie z pierwotnymi planami dowodzone przez niego wojska miały zająć tylko Jawaryn, a później opanować podległą Habsburgom część Węgier, którą zamierzano oddać we władanie Thökölyemu. Owszem, rozważano marsz na stolicę cesarstwa, ale tylko w wypadku przedłużających się działań wojennych i stawiania przez habsburską armię długotrwałego oporu, do czego jednak nie doszło. Wielkiemu wezyrowi zamarzyła się jednak chwała zdobywcy Wiednia, dlatego samodzielnie, bez porozumienia z innymi dowódcami, o sułtanie nie wspominając, podjął decyzję o marszu na stolicę Austrii. I tak w połowie lipca stutysięczna osmańska armia stanęła pod murami stolicy cesarstwa, przystępując do oblężenia miasta. Kara Mustafa liczył na szybkie zdobycie Wiednia, ale postawa jego mieszkańców sprawiła, że nie

udało mu się tych planów zrealizować, dlatego kontynuował oblężenie, licząc na to, iż głód zmusi obrońców do kapitulacji. Pomimo dzielnej postawy wiedeńczyków i broniących ich wojsk sytuacja pogarszała się z dnia na dzień. Nie było innego wyjścia, jak tylko poprosić o pomoc sprzymierzoną z cesarstwem Rzeczpospolitą.

Lew Lechistanu nie zawiódł cesarza i bezzwłocznie zaczął przygotowania do wyprawy pod Wiedeń. W krótkim czasie udało mu się zgromadzić w obozie pod Krakowem 21 tysięcy wojska. Wcześniej, realizując zobowiązania traktatowe, monarcha wysłał sojusznikowi na pomoc dwutysięczny korpus kawalerii, dowodzonej przez Hieronima Lubomirskiego, który w iście ekspresowym tempie przemierzył dzielącą oba miasta drogę. Wkrótce, nie czekając na posiłki z Litwy, podążyła za nim armia koronna, złożona głównie z formacji jazdy, na czele z husarią, która wyruszyła w kierunku Tulln, gdzie planowano przekroczyć Dunaj i złączyć się z Austriakami i kontyngentami książąt Rzeszy. W Tulln Sobieski spotkał się z innym wybitnym dowódcą wojskowym, swoim niegdyś konkurentem w wyścigu do korony Rzeczypospolitej, Karolem Lotaryńskim, będącym już wówczas szczęśliwym mężem Eleonory, wdowy po Michale Korybucie Wiśniowieckim.

Maria Kazimiera z drzeniem serca oczekiwała wieści od męża. Tym razem bała się nie tylko o życie i zdrowie swojego Jachniczka, ale także syna, gdyż na wojnie z Turczyńcem towarzyszył ojcu królewicz Jakub. Było to przemyślane posunięcie — zabierając szesnastoletniego już Fanfanika na kampanię wiedeńską, jego ojciec chciał nie tylko umożliwić mu nabycie doświadczenia militarnego, ale także rozślawić jego imię wśród szlachty, co z kolei miało mu ułatwić start w elekcji. Monarcha zadbał też o interesy swego średniego syna, Aleksandra, który ze względu na wiek nie mógł jeszcze uczestniczyć w kampanii, ale wystawił (a właściwie zrobił to za niego jego królewski tata) chorągiew tytularną. I właśnie chorągiew królewicza Aleksandra miała odegrać w batalii pod Wiedniem kluczową rolę, rozślawiając imię jej tytularnego, zaledwie sześciolatniego dowódcy. „Minionek ma się z czego cieszyć, bo jego chorągiew wezryra złamała i sławę największą u wszystkiego utrzymała z wojska”⁹⁴ — z satysfakcją donosił monarcha swej małżonce.

Sobieski w listach do żony nie mógł się nachwalić towarzyszącego mu w wyprawie królewicza. Pisał o nim: „Fanfanik dosyć grzeczny i praca mu nie wadzi”⁹⁵. Kiedy wojsko zjechało pod Wiedeń, nie bacząc na niebezpieczeństwo, król razem z synem weszli pieszo na wzgórze Kahlenberg, by dokonać rekonesansu, a ponieważ zastał ich zmrok, spędzili tam całą noc. Jakub napisał w prowadzonych na polecenie Marysienki notatkach, że przez cały dzień i całą noc nie mieli nic w ustach.

Wreszcie dnia 12 września rozegrała się wielka bitwa zakończona pogromem wojsk tureckich. Nie będziemy tu opisywać jej przebiegu, wspomnimy jedynie, że kluczową rolę odegrała szarża husarii, która dosłownie zmiotła wszystko, co stało na jej drodze. Widząc dzieło zniszczenia dokonane przez polską husarię, ogarnięte paniką oddziały tureckie rzuciły się do ucieczki, a w pościg za nimi ruszyła lekka jazda polska. Zwycięstwo Sobieskiego było bezsporne: pod Wiedniem zginęło 15 tysięcy Turków, a chrześcijan — zaledwie 3 tysiące, ponadto armia turecka straciła w bitwie wszystkie działa, znaczną część uzbrojenia oraz zapasy żywności. Turcja po tej klęsce nie podniosła się już nigdy i przestała zagrażać chrześcijańskiej Europie. Wezyr Kara Mustafa drogo zapłacił za swą pychę — z rozkazu sułtana został stracony przez uduszenie zielonym, jedwabnym sznurem. Skazaniec miał jedną prośbę — wyraził pragnienie, żeby zabrano spod jego stóp kobierzec, tak aby jego ciało, padając, mogło pokryć się kurzem, podobnie jak ciała Turków poległych pod Wiedniem. Jego życzeniu stało się zadość...

W nocy, po skończonej bitwie, zwycięski król zasiadł w zdobyczym namiocie wezyra, gdzie napisał dwa listy: pierwszy do ówczesnego papieża Innocentego XI, który zawierał słowa będące parafrazą wypowiedzi Cezara przekraczającego Rubikon: *Venimus, vidimus et Deus vicit* — „Przybyliśmy, zobaczyliśmy i Bóg zwyciężył”. Drugie pismo Sobieski wystosował, jakżeby inaczej, do swojej ukochanej małżonki, rozpoczynając je słowami: „Bóg i Pan nasz na wieki błogosławiony dał zwycięstwo i sławę narodowi naszemu, o jakiej wieki przeszłe nigdy nie słyszały”⁹⁶. Opisał dalej swoje zmagania, jak również zdobycze, które stały się jego udziałem. „Co zaś za delicje miał [wezyr] przy swych namiotach, wypisać niepodobna. Miał łaźnie, miał ogródek i fontanny, króliki, koty; i nawet papuga była, ale że latała, nie mogliśmy jej pojmać”⁹⁷. W ślad za listem do królowej Sobieski wysłał czterysta wozów z bronią, siodłami, namiotami, arrasami, tkaninami, ubiorami oraz wieloma innymi cennymi przedmiotami, które wojsko polskie zdobyło w obozie tureckim. Część z owych łupów możemy po dziś dzień oglądać w muzeach, ale niewielu z nas zdaje sobie sprawę, że pamiątka po zwycięskiej batalii na dobre zagościła w naszych kuchniach. Ową kulinarną zdobyczą były ziemniaki, które zwycięski król, obok namiotów i arrasów, wysłał Marysieńce, z przykazaniem, aby zasadzono je w jego posiadłościach. Z czasem zaczęto podawać je na przyjęciach wydawanych przez króla, ale, co dzisiaj może wydawać się dziwne, nowa jarzyna wzbudzała raczej umiarkowany entuzjazm biesiadników.

Przebywająca w Krakowie Maria Kazimiera o zwycięstwie odniesionym przez męża dowiedziała się od francuskiego oficera artylerii w służbie Jana III Sobieskiego, Filipa Duponta, którego monarcha wysłał do Polski z tą radosną wieścią i z listami do żony.

Choć była dopiero siódma rano, królowa już klęczała przed ołtarzem. Gdy tylko mnie spostrzegła, niepewna, jaką wieść jej przynoszę, krzyknęła głośno, aż echo rozległo się po kościele. Gdy przekazałem jej nowiny, rzuciła się na ziemię przed ołtarzem i pozostała tak przez kilka chwil... Oddałem jej strzemień wezyra, które od razu kazała przywiesić u stóp cudownego krucyfiksu, gdzie też wisi po dziś dzień⁹⁸

— zapisał Francuz w swych pamiętnikach. Uszczęśliwiona Marysieńka zadbała o odpowiednie nagłośniecie militarnego sukcesu męża, zalecając wydrukowanie i upowszechnienie cytowanego wyżej listu napisanego przez Jana III Sobieskiego w namiotach wezyrskich. Co więcej, kazała stworzyć obszerną relację z bitwy, przetłumaczyć ją na francuski i rozesłać po całej Europie. Kiedy tylko łupy wojenne dotarły do Krakowa, królowa rozkazała rozbić wspaniały namiot wezyra na Błoniach, a największe zdobyczne skarby zaprezentowała na pokazie dla mieszczan krakowskich i cudzoziemców.

Nazajutrz po zwycięskiej bitwie Sobieski postanowił wjechać do Wiednia w towarzystwie dowódcy obrony miasta, austriackiego generała Starhemberga. Wówczas okazało się, że wojska polskie w ostatniej chwili uratowały miasto, gdyż Turcy w przededniu bitwy umieścili w wałach miejskich aż dziesięć potężnych min gotowych do wysadzenia. Chociaż nie udało się im zdobyć twierdzy, Wiedeń przedstawiał opłakany widok. „Oko ludzkie nie widziało nigdy takich rzeczy, co to tam miny porobiły: z beluardów podmurowanych okrutnie wielkich i wysokich porobiły skały straszliwe i tak je zrujnowali, że więcej trzymać nie mogły. Pałac cesarski wniwecz od kul zepsowany”⁹⁹ — relacjonował Sobieski w liście do żony. Lud całował ręce, nogi i szaty swego wybawiciela, ale nikt nie wznosił okrzyków, ponieważ zabronił tego sam cesarz. Nawiasem mówiąc, Leopold I chciał przekroczyć mury miasta jako pierwszy, przed królem polskim, czego

nie udało mu się dokonać. Starhemberg nie wiedział o wydaniu takiego rozkazu, dlatego Sobieski miał okazję zobaczyć Wiedeń, zawdzięczający mu przecież ocalenie...

Dnia 15 września pod Schwechat doszło do spotkania polskiego króla z cesarzem, które okazało się gorzką lekcją pokory dla naszego władcy. Nie owijając w bawełnę, trzeba przyznać, że Leopold I zachował się jak cham, gdyż nie tylko nie odklonił się królewiczowi Jakubowi, ale także okazał lekceważenie obu hetmanom i polskim senatorom obecnym na spotkaniu. Było to celowe działanie cesarza, który w ten obcesowy sposób dał swojemu sprzymierzeńcowi do zrozumienia, że może wybić sobie z głowy projekt mariażu Jakuba z cesarską córką, nie wspominając o planie Sobieskich dotyczącym ewentualnego panowania ich najstarszego syna na Węgrzech. Zbył też wymownym milczeniem pytanie o przyznanie polskiemu królewiczowi Orderu Świętego Ducha, podobnie podchodząc do kwestii obiecanego przez jego ambasadora tytułu książęcego dla markiza d'Arquien. Jak się okazało, nie był to ostatni afront, jaki czekał zwycięskiego polskiego wodza.

Po tym się widzeniu, zaraz tak wszystko się odmieniło, jakoby nas nigdy nie znano — żalił się Sobieski w liście do Marysienki. — [...] Poseł hiszpański, który tak bardzo pragnął audiencji i już to był u mnie otrzymał, że na audiencji prywatnej miano mu było dać stołek, teraz się nie odzywa. Chorzy nasi na gnojach leżą i niebożęta postrzeleni, których bardzo siła, a ja na nich uprosić nie mogę szkuty jednej, abym ich mógł do Preszburku [obecna Bratysława] spuścić i tam ich swoim sustentować kosztem; bo nie tylko im, ale mnie gospody, a przynajmniej w niej sklepu za moje pieniądze pokazać nie chcieli, aby było rzeczy złożyć z wozów tych, od których konie pozdychały. Ciało zmarłych na tej wojnie zaniejszych żołnierzy w kościołach w mieście chować nie chcą, pokazując pole albo spalone po przedmieściach, pełne trupów pogańskich cmentarze; którym zaś grobu w mieście pozwolą, trzeba nie tylko pieprzem, ale i solą dobrze osolić! Pazia za mną o cztery kroki jadącego uderzył okrutnie dragon fuzją w nos i twarz i srogo okrwawił¹⁰⁰.

Zdobycie Wiednia nie zakończyło całej kampanii. Dnia 18 września czterdziestopięcioletnia armia sprzymierzonych wyruszyła w kierunku Preszburga, czyli współczesnej Bratysławy. Planowano zdobycie silnie ufortyfikowanej twierdzy Strzyhom, opanowanej przez tureckie wojska, ale najpierw należało przejąć niewielką fortecę Parkany, na której wojska dowodzone przez Sobieskiego omal nie połamały sobie zębów. 7 października siły sprzymierzonych poniosły dotkliwą porażkę, a w bitwie w poważnym niebezpieczeństwie znalazł się królewicz Jakub, ale na szczęście wszystko dobrze się skończyło i młodzieniec wyszedł z przygody bez szwanku. Dwa dni później, po nadejściu piechoty cesarskiej, ponownie doszło do bitwy, zakończonej tym razem druzgocącą klęską wojsk tureckich. Kampanię przerwano, zgodnie z planem, na Słowacji, skąd wojska koronne ruszyły w stronę granic Rzeczypospolitej, przekraczając je 13 grudnia. W Nowym Sączu na męża i syna czekała stęskniona Marysienka, skąd król pociągnął do Krakowa, by świętować wiktoryę wiedeńską oraz spędzić Boże Narodzenie u boku ukochanej żony i dzieci. Przy okazji postanowiono podkreślić też udział w wyprawie Jakuba. Po zwycięstwie odniesionym przez polskiego monarchę, o którym mówiła cała chrześcijańska Europa, Sobiescy myśleli o przeprowadzeniu elekcji *vivente rege*. Niestety skutek był taki jak w przypadku marzeń o mariażu Jakuba z arcyksiężniczką — ambitne plany spełzyły na niczym, spotykając się ze sprzeciwem szlachty.

Na domiar złego opozycja, nie mogąc osłabić autorytetu monarchy, przypuściła atak na jego żonę, oskarżając królową o chęć wprowadzenia monarchii absolutnej.



Portret Jana III Sobieskiego z synem Jakubem Ludwikiem, mal. Jerzy Eleuter Szymonowicz-Siemiginowski

Rozdział 11
Smutna jesień życia Lwa Lechistanu

Przywiązana do swych swobód szlachta z uporem godnym lepszej sprawy konsekwentnie sprzeciwiała się wprowadzeniu monarchii dynastycznej, upierając się przy zachowaniu wolnej elekcji. Co gorsza, opozycja, na czele której stali potężni magnaci: Krzysztof Grzymułtowski, Herakliusz Lubomirski, Benedykt Sapieha i Stanisław Jabłonowski, skutecznie torpedowała wszelkie poczynania Sobieskich zmierzające do zapewnienia następstwa tronu jednemu z królewiczów. Przedstawiciele rodu Sapiehów porozumieli się nawet z elektorem brandenburskim, proponując mu poparcie kandydatury jego syna, Ludwika, w przypadku gdyby wziął on udział w wolnej elekcji po śmierci aktualnie panującego monarchy. Dla opozycji i większości szlachty, nawet tej przychylniej królowi, każdy kandydat był lepszy niż członek rodu Sobieskich, a przecież ustanowienie w naszym państwie nowej dynastii oznaczałoby wzmocnienie Rzeczypospolitej. Doskonale zdawali sobie z tego sprawę nasi sąsiedzi, z niepokojem przyglądający się wzrostowi znaczenia Jana III Sobieskiego i jego rodu po wiktorii wiedeńskiej. W 1686 roku Szwecja i Brandenburgia zawarły nawet porozumienie, by nie dopuścić do obalenia wolnej elekcji w naszym kraju. Opozycja, broniąc iluzorycznych wolności, zachowywała się jak głupiec podcinający gałąź, na której siedzi. Część historyków twierdzi jednak, że i sam monarcha nie był bez winy, ponieważ nie wykorzystał należycie zwycięstwa pod Wiedniem. Według nich zamiast roić o zdobyciu Stambułu, należało zawrzeć separatystyczny pokój z Turcją i nie dopuścić do wzrostu potęgi Moskwy.

Po wiktory wiedeńskiej na terenach Podola i Ukrainy wzrosły sympatie propolskie, co z niepokojem dostrzegli Turcy, którzy, obawiając się zbrojnego powstania miejscowej ludności, skoncentrowali swe wojska w największych twierdzach tego obszaru, na czele z Kamieńcem Podolskim. Wówczas Sobieski przystąpił do kolejnej kampanii zwanej w historiografii kampanią rusko-mołdawską, która początkowo rozwijała się korzystnie dla Rzeczypospolitej. Wojska pod dowództwem kasztelana krakowskiego Andrzeja Potockiego, razem z oddziałami sprzyjających naszemu państwu Kozaków, zdobyły między innymi Czortków, Husiatyn i Jagielnicę, by przystąpić do oblężenia Jazłowca, skąd odstępowały wobec groźby tatarskiego ataku.

W tym samym czasie Rzeczypospolitej przybył nowy, ważny sojusznik, Stefan Kunicki, którego Sobieski wkrótce uczynił hetmanem kozackim. Bitnemu Kozakowi udało się opanować Niemirów, który uznano za swego rodzaju stolicę niezależnej od Imperium Osmanów Ukrainy, a następnie ruszył na Bar i Międzybórz. Obie twierdze okazały się jednak zbyt mocno ufortyfikowane i wojska hetmana odstępowały od oblężenia, by ruszyć ku Mołdawii, którą zgodnie z rozkazem króla miał on opanować dla Rzeczypospolitej. Jak wiadomo, Sobieskiemu od dawna marzyło się osadzenie Jakuba na tronie tego księstwa. Niestety sukcesy Kunickiego zostały zaprzepaszczone, gdyż nie wysłano mu w sukurs wojsk koronnych. Zresztą on sam wkrótce zginął, zamordowany przez swoich podkomendnych, którym nie mógł wypłacić żołdu.

Uczciwie trzeba przyznać, że chociaż nie udało się zdobyć Mołdawii, zasadniczego celu kampanii, to całej operacji nie można uznać za fiasko. Wszak Imperium Osmańskie wskutek działań naszych wojsk i sił Kunickiego utraciło kontrolę nad znaczną częścią okupowanej Ukrainy, jak również niektóre punkty obronne na Podolu. Niestety w posiadaniu Turcji wciąż pozostawała kluczowa twierdza — Kamieniec, oraz pomniejsze, ale bardzo dobrze ufortyfikowane: Żwaniec, Bar, Jazłowiec i Międzybórz, dzięki czemu mogła ona utrzymać władzę na tym terenie.

Sen o Mołdawii towarzyszył bohaterowi naszej opowieści do końca życia. W 1691 roku wojska Rzeczypospolitej po raz kolejny wyruszyły na podbój tych ziem. Tym razem istniała całkiem realna szansa ich pozyskania, w czym niemały udział miało Imperium Osmańskie. Tak

się bowiem pechowo dla polskiego króla złożyło, że o te ziemie upominał się sam cesarz Leopold I, zupełnie ignorując roszczenia wybawcy Wiednia. Na domiar złego Mołdawianie, rozczarowani nieudaną kampanią z 1683 roku, uznali, że skoro Lwu Lechistanu nie udało się przepędzić z ich ziemi tureckich okupantów, być może uda się to Habsburgowi. Dlatego gospodarz mołdawski Konstanty Cantemir oddał kraj pod protekcję Leopolda I. Kiedy jednak wojska cesarskie zostały dotkliwie pobite przez armię turecką w 1690 roku, cesarz, rad nierad, musiał po raz kolejny poprosić naszego władcę o pomoc militarną. W zamian łaskawie zgodził się, aby zdobytą przez Sobieskiego Mołdawię polski monarcha zatrzymał dla siebie. Trzeba przyznać, że kampania roku 1691 była znacznie lepiej przygotowana niż poprzednie, ale i tak zakończyła się niepowodzeniem. Tym razem za sprawą kaprysów aury — wyjątkowo wczesna i ostra zima zmusiła nasze wojska do odwrotu. Na domiar złego Cantemir pozbył się najważniejszych mołdawskich sprzymierzeńców Rzeczypospolitej: Mirona i Wieliczki Costinów, co ostatecznie przekreśliło ambitne plany Sobieskiego dotyczące Mołdawii.

Pomiędzy jedną a drugą kampanią mołdawską nieszczęsnemu królowi przyszło borykać się z coraz silniejszą opozycją we własnym kraju. W 1688 roku, po ciężkiej chorobie, w trakcie której liczone było nawet ze zgonem monarchy, Sobieski uczestniczył w sejmie w Grodnie, podczas którego doszło do konfrontacji między nim a jego przeciwnikami: Jabłonowskim, Lubomirskim i Sapiehami. A wszystko przez królewską propozycję, by jego najstarszy syn zasiadł razem z nim pod baldachimem, w miejscu przeznaczonym wyłącznie dla aktualnie panującego władcy. Dla wrogich królowi magnatów sprawa była oczywista: Sobieski planuje elekcję *vivente rege!* Wówczas doszło do incydentu bezprecedensowego w historii polskiego parlamentaryzmu — zerwania sejmu przed wyborem marszałka. Zbulwersowany i załamany król wygłosił na radzie senatu mowę, w następujący sposób komentując wydarzenia w Grodnie: „spotkała nas teraz [...] wiekiusta hańba i niepowetowana szkoda, gdy się widzimy bez sposobów i prawie bezradni albo niezdolni do rady”¹⁰¹. Obiecał jednocześnie, że nigdy nie naruszy wolności szlacheckich. Zyskało mu to uznanie szlacheckich mas, ale nie przekonało magnatów, planujących zamach na Sobieskiego i jego detronizację. Król, gdyby tylko chciał, mógłby wykorzystać swoją popularność wśród szlacheckiej braci, zwołując tak zwany sejm konny, czyli pospolite ruszenie szlachty skierowane przeciwko opozycji, ale władca wybrał bardziej subtelną, a jego zdaniem — równie skuteczną metodę, polegającą na skompromitowaniu knujących przeciwko niemu magnatów. Na sejmie roku 1689/1690 monarcha planował ujawnienie dokumentów obciążających czołowych opozycjonistów, w tym dowody na współpracę Lubomirskiego z dyplomatami austriackimi. W tej sprawie powołano nawet komisję śledczą (skąd my to znamy?), ale jej działalność skończyła się, zanim zdążyła się zacząć, na skutek poczynań nuncjusza papieskiego i dyplomacji Habsburgów. Po raz kolejny doszło do zerwania sejmu przez stronnictwo niechętne Sobieskiemu, ale tym razem sprawa była bardzo poważna i w kraju omal nie rozpętała się wojna domowa. Jednak monarcha, być może pamiętając rokosz Lubomirskiego za panowania Jana Kazimierza, nie zdecydował się na zbrojną rozprawę z przeciwnikami. Zresztą był już bardzo chory i zmęczony oraz tracił zainteresowanie polityką i rządami państwem, zrzucając to wszystko, wzorem ostatniego Wazy, na barki znacznie młodszej małżonki.

Maria Kazimiera wywiązywała się z powierzonych jej obowiązków tak, jak pozwalała jej na to inteligencja, wiedza i znajomość europejskich realiów, aczkolwiek współcześni historycy dowodzą, iż wpływ królowej na politykę był znacznie mniejszy, niż sądzono wcześniej. Z całą pewnością jej dziełem było opracowanie projektu sojuszu z Francją. Co więcej, udało się jej za

plecami szlachty, a przede wszystkim politycznej opozycji, podpisać z Ludwikiem XIV 15 lipca 1692 roku traktat sojuszniczy, na mocy którego Rzeczpospolita miała zawrzeć separatystyczny sojusz z Turcją, co wiązało się z zerwaniem z Austrią. W zamian Polska miała otrzymać francuskie subwencje i poparcie dla Jakuba Sobieskiego w walce o tron po śmierci ojca. Maria Kazimiera chciała, aby w przyszłości do sojuszu Rzeczypospolitej z Królestwem Francji dołączyły także Dania i Szwecja, dzięki czemu powstałaby nowa siła polityczna w Europie. Gwarantem owego sojuszu miało być małżeństwo córki Sobieskich, Teresy Kunegundy, z następcą tronu Danii. Z tych ambitnych planów, niewątpliwie korzystnych zarówno dla Rzeczypospolitej, jak i rodu Sobieskich, ostatecznie nic nie wyszło, na skutek sprzeciwu samego monarchy, który uznał, że splamiłby swój honor, łamiąc porozumienie z Austrią i papieżem. Tymczasem Habsburgowie nie przejmowali się honorem i nie oglądali się na sojuszników.

Królowa za swój niewątpliwy sukces mogła uznać przyznanie przez papieża kapelusza kardynalskiego jej ojcu, markizowi d'Arquien, w 1695 roku, w czym niemały udział miał znany skądinąd Forbin de Janson, zresztą także będący już kardynałem. Za sprawą Marysieńki w Warszawie zorganizowano wystawną uroczystość, podczas której jej sędziwy ojciec otrzymał kapelusz kardynalski z rąk własnego zięcia, Jana III Sobieskiego, a potem urządzono wspaniałą ucztę. Dla porządku dodajmy, że w czasach, w jakich toczy się nasza opowieść, godność kardynalska była bardziej tytułem dworskim niż kościelnym, dlatego otrzymywały ją nawet osoby nieposiadające święceń kapłańskich. Zakaz nadawania tytułu kardynała świeckim wprowadził dopiero Kodeks prawa kanonicznego z 1983 roku. Co prawda szacowne kolegium kardynalskie, podobnie zresztą jak sam papież, doskonale zdawało sobie sprawę z reputacji pana d'Arquien, ale łudzono się, że sędziwy hulaka długo nie pożyje i nigdy nie stawi się w Wiecznym Mieście. Tymczasem żwawy staruszek, cieszący się iście żelaznym zdrowiem i doskonałą kondycją, przyjechał do Rzymu w 1699 roku, towarzysząc owdowiałej już Marii Kazimierze, która zamierzała osiąść na stałe nad Tybrem. Ponieważ nie miał zamiaru zmieniać swoich zwyczajów ani na jotę, przysparzał swojej córce mnóstwa kłopotów, a długi, w które bezustannie wpadał, mocno nadwężyły budżet gospodarnej Marysieńki. Staruszek włączył się kompletnie pijany po rzymskich tawernach, szynkach i podejrzanych spelunkach, odziany, jakżeby inaczej, w purpurę i kardynalski kapelusz, a jego córka za nic nie mogła się go doprosić, by udając się na takie eskapady, przybierał chociaż inny strój. Ale te wydarzenia miały dopiero nadejść. Na razie markiz, bezgranicznie uwielbiany przez królową i wnuki, zwracające się do niego per „dziaduniu”, cieszył się życiem u boku Sobieskich, czerpiąc garściami z jego uroków.

Poza ojcem Marysieńce udało się sprowadzić nad Wisłę jeszcze troje swojego rodzeństwa: dwie siostry, Marię Ludwikę i Marię Annę, zwaną Marianną, oraz brata, o dość osobliwych imionach Anna Ludwik. Jak pamiętamy, pierwsza z wymienionych przybyła do Polski za sprawą Ludwika XIV, który mianował jej męża ambasadorem w naszym kraju. Nie zabawiła tu jednak zbyt długo, gdyż wyjechała, kiedy jej małżonka odwołano. A ponieważ hrabia także i później pełnił służbę dyplomatyczną, za jego sprawą objechała pół Europy. Druga z wymienionych dam, Maria Anna, była właśnie tą siostrą królowej, która zbiegła z klasztoru i schroniła się w domu schadzek, czym zbulwersowała całą Francję. Maria Kazimiera przyjęła ją pod swój dach i dochodząc do słusznego wniosku, że jej siostra nie ma powołania do życia w zakonie, postanowiła wydać ją za mąż. Do wyścigu o rękę panny d'Arquien stanęło wielu kandydatów, ale wkrótce na czołowe pozycje wysforowała się trójka najpoważniejszych: cześnik Michał Pac, ordynat klecki Stanisław Kazimierz Radziwiłł i stolnik koronny Jan Wielopolski. Z rywalizacji wyszedł zwycięsko ostatni z nich, owdowiały po stracie kolejnych małżonek — Anieli

Konieczpolskiej i Konstancji Krystyny Komorowskiej. Uszczęśliwiona królowa wydała za mąż swą siostrę, a uroczystość zawarcia małżeństwa i wesele miały miejsce we Lwowie w czerwcu 1678 roku. I tak niedoszła mniszka została panią na Pieskowej Skale, gdyż to właśnie jej mążnek był właścicielem tamtejszego zamku. *Madame la Chancelière*, jak nazywała siostrę Marysienka w listach do męża, powiła Wielopolskiemu jedyne dziecko — córkę Marię Teresę, późniejszą Sapieżynę. Mimo tych zabiegów stosunki między siostrami musiały nie układać się najlepiej, skoro królewski szwagier w 1687 roku związał się z antykrólewską opozycją. Kiedy w lutym kolejnego roku opuścił doczesny świat, zarządzono w jego dobrach rewizję, na którą nie zgodziła się owdowiała Marianna. Zanim cokolwiek znaleziono, pani Wielopolska zdążyła spalić listy zmarłego męża, świadczące o jego udziale w spisku. Rozżalona Marysienka zerwała z nią wszelkie kontakty.

Znacznie lepiej niż z obiema siostrami królowa dogadywała się z bratem, Anną Ludwikiem, powierzając mu nader odpowiedzialne zadanie czuwania nad zdrowiem jej małżonka, kiedy Sobieski wyruszał na wyprawy wojenne. Szwagier zawsze mu towarzyszył i pilnował, by król ubierał się ciepło, zakładał na noc czapkę, co pomagało mu w walce z trapiącym go od wczesnego dzieciństwa katarem, a przede wszystkim — by dochowywał wierności jego siostrze.

Znacznie bardziej niż mariaże rodzeństwa Marię Kazimierę zajmowała kwestia korzystnych małżeństw jej własnych dzieci. Ale i na tym polu co rusz ponosiła porażki. O perypetiach związanych z próbami ożenku królewicza Jakuba z księżniczką krwi wspomniano już wcześniej. Kiedy królowa zorientowała się, że nie uda się zeswatać jej syna z panną wywodzącą się z panującego lub co najmniej znacznego rodu europejskiego, postanowiła poszukać mu bogatej żony w kraju. Wybór był prosty: najbogatszą dziedziczką Rzeczypospolitej była Ludwika Karolina Radziwiłłówna, właścicielka dóbr Radziwiłłów na Birzach i Dubinkach, córka znanego chociażby z kart Sienkiewiczowskiego *Potopu* księcia Bogusława Radziwiłła, zmarłego w 1669 roku. Ponieważ panna była nie tylko posażna, ale i urodziwa, będący jej rówieśnikiem królewicz nie miał nic przeciwko jej kandydaturze. Samej dziewczyny nikt o zdanie nie pytał — o jej losie decydował nie tylko jej najbliższy krewny, elektor brandenburski Fryderyk Wilhelm, na którego dworze wychowywała się po śmierci ojca, ale też magnaci wskazani przez księcia Bogusława jeszcze za jego życia. Na nieszczęście dla Marii Kazimiery i jej najstarszego syna niechętni Sobieskim opiekunowie Ludwiki niezbyt przychylnie zapatrywali się na projekt jej małżeństwa z królewiczem.

Kiedy w imieniu Jakuba po raz pierwszy poproszono o jej rękę w 1667 roku, elektor nie udzielił żadnej odpowiedzi, wykręcając się wiekiem panny, jego zdaniem zbyt młodej na małżeństwo. Marysienka nie złożyła jednak broni i cztery lata później wróciła do tematu. Jak się okazało, prawny opiekun Radziwiłłówny, Fryderyk Wilhelm, nie chciał wypuścić z rąk kury znoszącej złote jajka i, w tajemnicy przed wszystkimi, wydał ją za swego własnego syna, Ludwika. Wywołało to oburzenie magnaterii Rzeczypospolitej, ale ostatecznie uznano, iż lepiej, żeby dziewczyna poślubiła syna elektora niż syna Sobieskich, gdyż ten ostatni mariaż oznaczałby wzrost potęgi królewskiego rodu.

Po klęsce planów ożenku Jakuba z panną Radziwiłłówną znowu zaczęto rozważać projekt jego małżeństwa z cesarską córką, ale Leopold nawet nie brał pod uwagę kandydatury młodego Sobieskiego, ostatecznie wydając Marię Antonię za elektora bawarskiego. W 1684 roku pojawiła się kolejna kandydatka na synową polskiego króla — w osobie Izabeli Ludwiki, jedynej córki króla Portugalii, Piotra II. W tym przypadku sprawy zaszły dość daleko, ponieważ Jan III Sobieski wysłał do Lizbony nawet swoich siostrzeńców, by przygotowali grunt pod przyszłe

zaręczyny. Szyki polskiemu królowi skutecznie popsuli wysłannicy cesarza, namawiając władcę Portugalii do ponownego ożenku. Król posłuchał i ożenił się z Marią Zofią, córką elektora Elektoratu Reńskiego, z którą doczekał się sześciorga dzieci, w tym następcy tronu — Jana. Wobec takiego obrotu sprawy kandydatura Izabeli Ludwika straciła na atrakcyjności i ostatecznie nie doszło do jej mariażu z królewiczem Jakubem. Zresztą wąta i chorowita od dziecka księżniczka zmarła już w 1690 roku. Sobieskiemu marzyła się synowa z Francji, a konkretnie Elżbieta Charlotta, bratanica samego Ludwika XIV, ale, jak już wspomniano, Król Słońce nie chciał wydawać żadnej księżniczki krwi za Jakuba.

W 1687 roku na rynku matrymonialnym pojawiła się znowu Karolina Radziwiłłówna, owdowiała po zgonie swego pierwszego męża. Do grona starających się o jej rękę dołączył także królewicz Jakub, który tym razem postanowił osobiście pojechać do Berlina, by spotkać się z wdową. Musiał wywrzeć na niej dobre wrażenie, skoro Karolina zgodziła się wyjść za niego, ale sprawę obiecała sfinalizować dopiero, kiedy jej ukochana szwagierka, ciężarna Zofia Charlotta, powije dziecko. W domu Sobieskich zapanowała radość, a nawet rozpoczęto przygotowania do ślubu. Tylko Maria Kazimiera miała złe przeczucia i nalegała, by Karolina czym prędzej opuściła dwór brandenburski i zjechała do Warszawy. Intuicja nie myliła królowej. Młoda wdówka grała bowiem na dwa fronty, pisując czułe listy do Jakuba i jednocześnie kokietując księcia palatyńskiego Karola Filipa von Pfalz-Neuburg, rodzzonego brata cesarzowej. Ostatecznie to właśnie temu drugiemu oddała swą rękę. Była przy tym na tyle perfidna, że rankiem, tego samego dnia, w którym miała wyjść za Karola, napisała pełen czułości list do Sobieskiego!

W końcu jednak Sobieskim udało się ożenić swego najstarszego syna. Żoną Jakuba została córka palatyna Renu, Filipa Wilhelma, wywodząca się z linii bocznej szacownego rodu Wittelsbachów, Jadwiga Elżbieta Amalia, która w posagu wniosła mu nie tylko tytuł książęcy, ale i księstwo oławskie. Pewną ciekawostką jest fakt, że pierwszą żoną palatyna i teścia Jakuba była przyrodnia siostra Władysława IV i rodzona siostra Jana Kazimierza Wazy, Anna Katarzyna Konstancja Wazówna, która zmarła, nie zdążywszy obdarzyć Filipa potomstwem. Następców doczekał się on dopiero ze swoją drugą małżonką, poślubioną w 1651 roku Elżbietą Amalią Magdaleną von Hessen-Darmstadt. Synowa, a właściwie dopiero kandydatka na synową, która przybyła do Warszawy 15 marca 1691 roku, była młodsza od swojego narzeczonego o sześć lat i bardzo przypadła do gustu Marysieńce i jej mężowi. Tym bardziej że zachowała się wyjątkowo mądrze, padając teściom do nóg. Ślub i huczne wesele odbyły się 25 marca, a później para miała zamieszkać w Pałacu Kazimierzowskim. Wkrótce po ślubie świeżo upieczony małżonek postanowił jednak pojechać do Oławy, by obejrzeć posiadłość wniesioną mu przez żonę w posagu.

Sobiescy byli szczęśliwi, mimo że musieli rozstać się z synem i synową, ponieważ Jadwiga była w stanie błogosławionym. Niestety na wnuka trzeba było jeszcze trochę poczekać. Młoda pani Sobieska poroniła w Oławie. Wiązało się to z jakimiś komplikacjami, martwiono się, że brzuch Jadwigi nie chce skłęsnąć. Radę na to znalazła jej teściowa, proponując okłady z liści rabarbaru, które okazały się bardzo skuteczne. Młoda pani Sobieska jeszcze kilkakrotnie była w ciąży, ale los doświadczał ją równie boleśnie jak wcześniej jej teściową, gdyż większość jej dzieci umierała zaraz po urodzeniu. Wieku dojrzałego dożyły tylko trzy córki, Maria Kazimiera, imienniczka i ulubienica matki Jakuba, Maria Karolina i Maria Klementyna.

Ożeniwszy swego najstarszego syna, Sobiescy zaczęli rozglądać się za odpowiednim narzeczoną dla jedynej córki, Teresy Kunegundy, oczka w głowie króla jegomości. I tym

razem w grę wchodziło kilku kandydatów, ale ostatecznie zdecydowano się na elektora Bawarii, Maksymiliana Emanuela Wittelsbacha, starszego od Pupusieńki o czternaście lat, zresztą dwukrotnego wdowca. Czas był ku ożenkowi najwyższy — królowa miała już osiemnaście lat, była więc w wieku ocierającym się o staropanieństwo. Mało brakowało, a do ślubu w ogóle by nie doszło z powodu skąpstwa polskiego króla, odmawiającego funduszy na posag dla swojej ukochanej córeczki. Kiedy sprawa dostała się do wiadomości publicznej, a opozycja ją nagłośniła, drwinom i szyderstwom nie było końca. W efekcie królewskiego skąpstwa negocjacje stanęły w martwym punkcie, ale wówczas do akcji wkroczyła królowa, która za nic nie chciała, by jej córka została starą panną, wyłożyła więc pieniądze na jej posag z własnej kieszeni. Ponieważ elektor nie miał najmniejszego zamiaru przyjeżdżać do Warszawy, Pupusienka zawarła w sierpniu 1694 roku ślub *per procura*, a pana młodego przy ołtarzu godnie zastępował jej starszy brat, Jakub. Jan III Sobieski najwidoczniej poszedł po rozum do głowy, bo nie żałował pieniędzy na wesele swojej córeczki, które trwało aż pięć dni. I chociaż zgodnie z umową Teresa Kunegunda powinna wyruszyć w podróż do kraju swego małżonka bezzwłocznie po ślubie, rodzice, nie chcąc się z nią rozstać, odwlekali wyjazd tak długo, jak się dało. Ostatecznie Pupusienka udała się w drogę 13 listopada, serdecznie witana we wszystkich miastach, jakie dane jej było mijać.

Swojego małżonka Teresa Kunegunda ujrzała po raz pierwszy 1 stycznia 1695 roku. W Wesel nad Renem, gdzie para się spotkała, odbyła się też ponowna ceremonia zaślubin, będąca dopełnieniem ślubu *per procura* zawartego w Warszawie. Pupusienka nie była w małżeństwie szczęśliwa, aczkolwiek dobrze wywiązywała się ze swoich obowiązków, rodząc mężowi aż dziewięcioro dzieci, w tym ośmioro synów, z których trójka dożyła wieku dorosłego. Dodajmy, że byli to: Karol, Klemens August oraz Jan Teodor.

Małżeństwa królewskich dzieci nie poprawiły sytuacji samego monarchy, cieszącego się coraz mniejszą popularnością wśród poddanych. Zdaniem przywoływanego w niniejszej publikacji Boya niepopularność Sobieskiego jako władcy wynikała nie tylko z jego dążeń do stworzenia monarchii dynastycznej, ale także z niechęci króla do rozdawnictwa zaszczytów i pieniędzy. Zamiast rozdawać urzędy — sprzedawał je, co nie było dobrze widziane wśród szlachty. Jego zamiłowanie do pomnażania majątku wzrosło pod koniec życia, kiedy pożyczał pieniądze na pokaźny procent kupcom z Gdańska, Hamburga i Amsterdamu, dzięki czemu poważnie zwiększył swe bogactwa, które współcześnie szacuje się na ponad 10 milionów złotych. Mimo to monarcha był wręcz chorobliwie skąpy, czego dowiodła chociażby sprawa z posagiem jego córki. Także i Marysieńce nie można odmówić zmysłu przedsiębiorczości. Królowa za namową francuskiego posła, Melchiora de Polignaca, wysłała dwa transporty zboża do Francji, dzięki czemu jej majątek znacząco się powiększył. Udaną inwestycją okazał się Marywil, kompleks handlowo-usługowo-hotelowy, który można uznać za odpowiednik dzisiejszych centrów handlowych. Maria Kazimiera, chcąc upamiętnić czyny wojenne swego małżonka, zleciła zaprojektowanie owego kompleksu wybitnemu niderlandzkiemu architektowi Tylmanowi z Gameren. W wybudowanym w 1695 roku na planie pięciokąta Marywilu mieściły się przestronne apartamenty królewskie, kaplica, a także sklep, magazyn oraz mieszkania wynajmowane kupcom. Chociaż był to obiekt typowo użytkowy, Sobiescy czasami wykorzystywali go do celów oficjalnych, organizując tam przeróżnego rodzaju festyny czy też uroczystości dworskie. Wynajem pomieszczeń handlowych w tym obiekcie przyniósł pani Sobieskiej krocie.

Monarcha, delikatnie mówiąc, niecieszący się popularnością wykazywał się wielką rezerwą

wobec ewentualnych współpracowników, dlatego miał bardzo szczupłe grono swoich ludzi, obdarzanych przez niego zaufaniem i bezwzględnie mu oddanych. Należeli do nich: wojewoda bełski i koniuszy koronny Marek Matczyński, sekretarz króla i referendarz koronny Stanisław Szczuka oraz kasztelan sandomierski i strażnik koronny Stefan Bidziński. Król ufał też bezgranicznie jezuitcie Karolowi Vocie, który, jak się okazało, pracował na usługach Habsburgów. A tymczasem Sobieski uczynił go swoim sekretarzem i spowiednikiem!

Zmęczony wielką polityką i wojowaniem Lew Lechistanu zaszył się w swoim ukochanym Wilanowie, oddając się lekturze, spacerom i przejażdżkom lub polowaniom w wilanowskim zwierzyńcu, znajdującym się w peryferyjnej, wschodniej części rezydencji. Osobiście doglądał też drzew owocowych w ogrodzie. Ponoć to właśnie sadowniczej pasji króla swą nazwę zawdzięcza zapomniana już nieco odmiana jabłek — kosztela. Sobieski, zaskoczony bardzo małym zbiorem tych owoców, zawołał kiedyś ze zmartwieniem: „Kosz tylko? To tych kosztylków jest mało, a moja Marysieńka tak je lubi”¹⁰². Odtąd jabłka te zwano kosztylkami, a później kosztelami.

Monarcha nauczył się ogrodnictwa jeszcze w młodości, jako starosta jaworowski. Założone przez niego park i ogród w Jaworowie stały się wzorem do naśladowania dla okolicznych sąsiadów. Teraz natomiast oprócz jabłoni sprowadzał do Wilanowa szczepki egzotycznych cytrusów, które osobiście sadił w ogrodzie bądź oranżerii. Po obu stronach dziedzińca pałacowego Sobieski rozkazał utworzyć tak zwany ogród fruktyfikujący, czyli po prostu owocowo-warzywny. Każda z kwater ogrodu fruktyfikującego została obsadzona między innymi melonami, karczochami oraz drzewami owocowymi. Pracę króla-ogrodnika doceniali przybywający do Wilanowa goście, z zachwytem przechadzający się po królewskich sadach, w których „owoców różnych siła: gruszek, iabłek, wiszen, sliw, wina, brzoskwiń”¹⁰³. Nauczony doświadczeniem nabytym w Jaworowie, król zadbał, by w wilanowskich ogrodach znalazło się miejsce także dla różnego rodzaju ziół, zarówno leczniczych, jak i wykorzystywanych w ówczesnej kuchni. W Wilanowie uprawiano więc bazylię, tymianek, dziurawiec, hyzop, kminek, kolendrę, lubczyk, majeranek czy miętę.

Kiedy stan króla Jana pogorszył się tak bardzo, że liczono się z jego odejściem z tego świata, wokół wciąż pięknej i pełnej wdzięku Marysieńki dosłownie zaroiło się od adoratorów, i to nie byle jakich. Wielbicielem numer jeden uroczej pani Sobieskiej był niewątpliwie wojewoda ruski, a od 1683 roku także związany z opozycją hetman wielki koronny Stanisław Jan Jabłonowski. Co ciekawe, plotki o ich rzekomym romansie pojawiły się już w 1683 roku, kiedy monarcha wyruszył na odsiecz Wiedniowi. Ponieważ królowa, którą od czasu do czasu trapiły różnego rodzaju dolegliwości, udała się do uzdrowiska w Bardejowie, złośliwi plotkarze twierdzili, jakoby specjalnie tam wyjechała, by móc bez większych przeszkód romansować z Jabłonowskim. Jej domniemany kochanek miał do niej dołączyć, wracając z wyprawy wiedeńskiej traktem na Muszynę. Później Jabłonowski towarzyszył jej, gdy jechała spotkać się z mężem i najstarszym synem w Nowym Sączu. Czyżby Marysieńka była aż tak perfidna i bezwstydną, by rzucać się w ramiona powracającemu z tarczą zwycięskiemu królowi w obecności kochanka, z którym zaledwie kilka dni wcześniej „karesowała się” w Bardejowie?

W 1687 roku królowa wyjechała do Cieplic Śląskich, noszących wówczas nazwę Bad Warmbrunn. W trakcie wyjazdu była czujnie obserwowana przez habsburskich szpiegów, ponieważ cesarz uważał, że rzeczywistym celem pobytu żony Jana III Sobieskiego jest rewindykacja Śląska i przywrócenie go Rzeczypospolitej. Dlatego też wszyscy cesarscy dostojnicy witający Marię Kazimierę po drodze traktowali ją z szacunkiem należnym małżonce

monarchy, ale także z pewną rezerwą. Pobyt w Cieplicach wyjątkowo szybko znudził się przywykłej do dworskiego życia Marysieńce, a kąpiele w wydzielających silny odór wodach zaczęły ją męczyć. Ale wówczas w jej otoczeniu pojawił się, co prawda już niemłody, bo niemal czterdziestoletni, ale za to przystojny arystokrata — książę kurlandzki Fryderyk Kazimierz.

Mężczyzna szybko wpadł w oko znudzonej pani Sobieskiej, a ponieważ także i ona spodobała się księciu, parę połączył romans. Przynajmniej tak twierdził Fryderyk Kazimierz w liście do innego rzekomego kochanka królowej, Stanisława Jana Jabłonowskiego. O ile wierzyć wynurzeniom mężczyzny, ich znajomość nabrała intymnego charakteru znacznie wcześniej, podczas pobytu księcia w królewskiej rezydencji w Żółkwi. Rzekomo to Maria Kazimiera zagięła na niego parol. Zanim jednak użyła swoich kobiecych sztuczek, by go uwieść, dosłownie obsypywała go prezentami, głównie modnymi ubraniami przysyłanymi prosto z Paryża. Początkowo ich znajomość miała niewinny charakter i jedyne, na co sobie pozwalali, to flirt w trakcie gry w karty. Nieszczęsny Kettler robił, co mógł, by zabić w sobie rozkwitające uczucie do pani Sobieskiej — na próżno. „Nowo to być narodzonym płomieniem rozumiałem wiedząc, że przeszły do tych lat przyszedłszy nie tylko gasnąc ale umrzeć miał jakoż go nie przyjąć było [...] — wyjaśniał Jabłonowskiemu. — Nie sypiałem jedno na żarzących miłości miechach kiedy w Żółkwi posłano mi kilkakroć pieszczone poduszki”¹⁰⁴. Wkrótce jednak miłość pomiędzy królową a księciem przestała być platoniczna. Kettler, zdając sobie sprawę, jak poważne kłopoty może ściągnąć sobie na głowę, nakłaniał Marię Kazimierę, by ich romans utrzymać w tajemnicy. Co więcej, wymyślił sobie, że gdyby ożenił się z jedną z siostrzenic Marysieńki, Joanną lub Marią Katarzyną z rodu de Béthune, mógłby częściej bywać na dworze i widywać swoją ukochaną. Ale królowa nie nawykła dzielić się mężczyznami z jakąkolwiek kobietą, dlatego nie wyraziła entuzjazmu dla tego projektu.

Kochankom udawało się utrzymać związek przez pewien czas w sekrecie, ale w końcu wydała ich, wywołując niemały skandal, jedna z dwórek królowej, podstolina koronna, Zofia z Gosiewskich Przyjemska, sama niebędąca bynajmniej wzorem cnót. Nieszczęsny Kettler popadł w niełaskę monarchy, na królewskim dworze co rusz spotykały go afronty i upokorzenia. Ale serce nie służy i kiedy tylko nadarzyła się okazja na spotkanie z ukochaną w Cieplicach, Kettler spakował najpotrzebniejsze rzeczy i, co koń wyskoczy, pognął na spotkanie swojej miłości. W Cieplicach miał przebywać *incognito*, ale i tak został rozpoznany i o wszystkim doniesiono monarche. Sobieski chwycił za pióro, by napisać do Marysieńki list i poinformować ją o swojej chorobie, podczas gdy tak naprawdę był zdrow jak ryba. Przerażona Maria Kazimiera czym prędzej spakowała manatki i wróciła do domu. Po jej powrocie pogłoski o romansie zostały wyciszone. Wówczas u boku królowej po raz kolejny pojawił się Jabłonowski. Dla zazdrosnego i odstawionego na bok Kettlera sprawa była jasna: wojewoda uwodzi królową, licząc na koronę po śmierci jej męża. Oburzony pisał do niego: „jako Hetman lewą ręką do serca a prawą do korony zmierzasz i przez królową tron chcesz”¹⁰⁵. Jeżeli Jabłonowskiemu rzeczywiście marzyło się małżeństwo z Marysieńką i zwieńczenie swych skroni koroną królewską, to przyszłość pokazała, że musiał obejść się smakiem, aczkolwiek niewykluczone, że królowa nie skąpiła mu swych wdzięków. Ale na księciu kurlandzkim i hetmanie się nie skończyło. Wielu biografów uważa, że Maria Kazimiera miała romans z Benedyktem Sapiehą. Pikanterii sprawie dodaje fakt, że rzekomy kochanek królowej nie tylko był członkiem opozycji, ale też był młodszy od niej o niemal ćwierć wieku! Żonę Sobieskiego posądzano także o romans z posłem francuskim Melchiorem de Polignakiem, tym samym, który nakłonił ją do wysłania dwóch transportów zboża do ogarniętej wojną Francji, co przyniosło królowej wielki zysk.

Ponoć apetyt na poślubienie Marii Kazimiery po śmierci jej męża miał też Kazimierz Jan Sapieha, wojewoda wileński, przeciwnik polityczny króla, ale on kierował się raczej trzeźwą polityczną kalkulacją niż porywami serca.

Nie da się wykluczyć, że pogłoski o domniemanych skokach w bok królewskiej małżonki były wyłącznie wymysłami przeciwników Sobieskich, pragnących skłócić ją z mężem. Być może pani Sobieska sama przyczyniła się do ich powstania, kokietując wyżej wymienionych mężczyzn. Obecność u jej boku adoratorów musiała mile łechtać próżność Marii Kazimiery, zmęczonej opieką nad coraz bardziej niedomagającym mężem, którego nie odstępowała niemal przez całą dobę. A jego stan pogarszał się z dnia na dzień. Krewni myśleli o wysłaniu go do jakiegoś uzdrowiska we Francji, Marysieńka optowała za Bourbon, natomiast królewscy medycy zalecali Akwizgran lub Wiesbaden. Owe pomysły nie przypadły jednak do gustu samemu królowi, któremu marzył się wyjazd do rodzinnej Żółkwi, gdyż, jak uparcie twierdził, w rodzinnych stronach bardzo szybko wróciłby do zdrowia. Ale na razie był stanowczo za słaby, by móc w ogóle myśleć o podróży gdziekolwiek. Niepokój lekarzy budziła też opuchlizna od wody zbierającej się w organizmie. Sytuacja była na tyle poważna, że zdecydowano się poprosić o konsultację irlandzkiego lekarza Bernarda O'Connora, który swego czasu przebywał w Polsce, dając się poznać jako świetny fachowiec. Dzięki wstawiennictwu weneckiego posła dostał posadę nadwornego lekarza polskiego króla, pomimo że był bardzo młody — kiedy monarcha powierzył mu tę funkcję, lekarz miał zaledwie dwadzieścia osiem lat. Bardzo szybko dowiódł swoich umiejętności, stawiając, jako jedyny medyk badający Katarzynę Radziwiłłową, trafną diagnozę. Oczywiście, wynik jego badania został z miejsca zakwestionowany przez naszych rodzimych lekarzy, ale sekcja zwłok wykonana po śmierci królewskiej siostry wykazała trafność jego opinii. Ciekawostką jest fakt, że Irlandczyk, który przebywał w naszym kraju niespełna rok i opuścił go razem z królową Teresą Kunegundą w 1694 roku, napisał historię Polski, zatytułowaną *The history of Poland in several letters to persons of quality*, wydaną w Londynie w 1697 roku.

Dnia 2 czerwca 1696 roku biskup płocki Andrzej Chryzostom Załuski, poproszony o to przez królową, wysłał do niego pismo, do którego dołączył szczegółowy opis monarszych dolegliwości. Załuski prosił w nim medyka, by nie tylko wyraził swoją opinię na temat stanu zdrowia Jana III Sobieskiego, ale także by skonsultował się ze swoimi kolegami po fachu z Anglii. Z owego opisu wynika, że stopy, nogi, uda, dolne części brzucha monarchy pokryte były purpurowymi guzami, mającymi według biskupa twardość żelaza i ciężkość ołowiu, a dotknięcie ich palcami nie pozostawiało żadnego śladu. Owe guzy powiększały się z dnia na dzień. O'Connor co prawda zapoznał się z listem przed śmiercią Sobieskiego, ale nie zdążył napisać odpowiedzi. Jego opinia i tak w żaden sposób nie pomogłaby medykom opiekującym się chorym władcą, gdyż lekarz przyznał, że nie spotkał się z tak ciężkim przypadkiem.

W dniu 15 czerwca 1696 roku Sobieski udał się, jak się okazało po raz ostatni, na spacer po wilanowskim parku. Kiedy chciał powąchać rosnące tam kwiaty, z przerażeniem odkrył, że nie czuje ich zapachu. Zdawszy sobie sprawę, że stracił powonienie, załamał się i kazał zanieść się do komnaty, skąd już nie wychodził. Zmarł dwa dni później. W ostatnich chwilach obecny był przy nim Kazimierz Sarnecki, królewski sekretarz, a jednocześnie pamiętnikarz, któremu zawdzięczamy opis agonii władcy. Ze sporządzonej przez niego relacji wynika, że Sobieski umierał w mękach. Nie było przy nim żony, ponieważ Marysieńka była tak wyczerpana i załamana, że zasnęła w sąsiedniej komnacie. Monarcha raz po raz tracił i odzyskiwał przytomność. Kiedy odzyskał ją po raz ostatni, wezwał do siebie kapłana, wypowiedział się,

a następnie przyjął dwóch młodszych synów, nakazując im opiekę nad matką. Sarnecki jednak twierdzi, że prawie bez przerwy wił się w konwulsjach i krzyczał z bólu, a koło godziny dwudziestej wstrząsnęły nim gwałtowne dreszcze. Piętnaście minut później odszedł na zawsze.

Do dziś nie udało się ustalić, co było przyczyną śmierci Jana III Sobieskiego. Sprawy nie ułatwia protokół z sekcji zwłok, gdyż sporządzający go lekarze mieli najwidoczniej zacięcie pisarskie, skoro konkretne szczegóły mieszają się z panegirycznymi dygresjami. Dokument wspomina brzuch o wręcz olbrzymich rozmiarach, prawie sześciostopowy pokład tłuszczu oraz „objętość kiszki grubej zaiste zdumiewającą, zgoła ponad zwykłe wymiary”¹⁰⁶. Znajdujemy w nim też zupełnie niemedyce stwierdzenie: „Niektórzy z chirurgów twierdzili, że mózg był nieco suchy, co jeśli tak było przez naturę urządzone, któż dziwić się będzie, że król takim blaskiem umysłu się odznaczał, że cokolwiek mówił, mówił rozumnie, że wreszcie głowa jego mieściła ducha wyższego rzędu”¹⁰⁷. Protokół kończy się słowami: „Z tej krótkiej relacji można wywnioskować, ile i jakich przyczyn chorobowych jakby zbiorowo napadających skojarzyło się na zgubę króla godnego nieśmiertelności, skoro śmierć zarówno uderza w królewskie wieże jako i w lepianki nędzarza”¹⁰⁸. Nic dziwnego, że współcześni naukowcy, korzystając z dokumentu sporządzonego przez ich szacownych kolegów sprzed wieków, nie potrafią jednoznacznie określić przyczyny zgonu monarchy. Wśród możliwych powodów jego śmierci wymienia się uremię, syfilis, którym miał się zarazić od Marysienki, a nawet ostrą niewydolność serca.

Królowa, dowiedziawszy się o zgonie swego męża, wpadła w czarną rozpacz. Świadkowie twierdzą, że jej płacz i zawodzenie słychać było we wszystkich komnatach Wilanowa. W jednym z listów do sekretarza swego małżonka, Stanisława Antoniego Szczuki, pisała zrezygnowana: „Los uczynił mnie nieszczęśliwą zabierając mi go. Nie ma już bez niego żadnej dla mnie przyjemności w życiu. Wszak szczęście moje polegało bardziej na radowaniu się jego osobą aniżeli jego koroną”¹⁰⁹. Równie ciężko jak Maria Kazimiera śmierć Sobieskiego przeżyli jego dwaj najmłodsi synowie, Aleksander i Konstanty, natomiast najstarszy Jakub zachował stoicki spokój i dość szybko rozpoczął starania o należną mu schedę po ojcu, wchodząc w konflikt z resztą rodziny. Ukochana córka króla, Teresa Kunegunda, o zgonie ojca dowiedziała się najpóźniej ze wszystkich, bo dopiero po dwóch miesiącach. Tak się złożyło, że kiedy do Bawarii dotarła wieść o pogarszającym się stanie zdrowia Sobieskiego, Pupusienka była w zaawansowanej ciąży i Maksymilian Emanuel, obawiając się o jej zdrowie, stanowczo zakazał informowania swojej żony o chorobie króla Polski. Nikt nie poważył się złamać tego zakazu i zarówno Teresa Kunegunda, jak i wszyscy Polacy w jej otoczeniu byli utrzymywani w nieświadomości. 17 czerwca 1695 roku, czyli w dniu, w którym Lew Lechistanu umarł, jego córka beztrudnie się bawiła na przechadzce w pałacowym ogrodzie. Kiedy 3 sierpnia 1695 roku, po ciężkim, czterogodzinnym porodzie powiła córeczkę, Marię Annę Karolinę, jej małżonek wysłał posłańca z wiadomością o pogarszającym się stanie zdrowia jej ojca, choć *de facto* monarcha nie żył już od dwóch miesięcy. Maksymilian planował wysłanie za kilka dni kolejnego posła, który miał poinformować Teresę o zgonie króla, ale zanim to nastąpiło, ktoś „życzliwy” poinformował królową, że jej ukochany tatuś opuścił świat doczesny już dwa miesiące temu. Teresa Kunegunda przeżyła niemały szok.

„Zdaje mi się, że schodzimy równocześnie z nim do grobu. Sława ojczyzny z nim stała i z nim przepadła — zanotował biskup Andrzej Chryzostom Załuski, obecny przy śmierci monarchy. — Nosił koronę królewską tak, że powadze królewskiej dodał więcej świetności, niż od niej nabierał. Nie bez podstawy lękam się, że wraz z jego zgonem umrze i dzielność Polaków”¹¹⁰. Biskup płocki pomylił się, dzielność jego rodaków nie umarła wraz ze śmiercią Lwa Lechistanu.

Jego zgon rozpoczął jednak okres agonii Rzeczypospolitej, a pięćdziesiąt pięć lat później Polska znikła z mapy Europy...



Jakub Ludwik Sobieski, najstarszy syn Jana i Marii Kazimiery Sobieskich. Portret z czasów młodości



Teresa Kunegunda Sobieska, córka Jana i Marii Kazimiery Sobieskich, księżna bawarska. Portret z czasów młodości

Rozdział 12
Peregrynacje królowej-wdowy

Śmierć Sobieskiego, zamiast zjednoczyć jego żyjących krewnych, skłóciła ich. Pierwszy pazurki pokazał Jakub, najstarszy syn zmarłego króla, jedyny, który po zgonie Sobieskiego zachował iście stoicki spokój. Kiedy Maria Kazimiera przywiozła na zamek ciało męża, by wystawić je tam zgodnie z ceremoniałem należnym nieżyjącemu władcy, królewicz, chwilowo mieszkający w siedzibie władców Polski, najzwyczajniej w świecie nie wpuścił jej na teren rezydencji. Część historyków uważa, że to zupełnie irracjonalne zachowanie było spowodowane szokiem, jaki u Jakuba wywołał zgon ojca, ale prawda wydaje się dużo bardziej prozaiczna: najstarszy królewicz obawiał się, że owdowiała Marysienka położy rękę na rodzinnych pieniądzach, pieczołowicie gromadzonych przez Sobieskiego w zamkowym skarbcu. A tymczasem on sam miał na nie chrapkę... Oburzona matka, która wówczas po raz pierwszy obdarzyła swego syna mianem „odrodka”, wysłała do niego kilku dostojników, którym udało się wytłumaczyć królewiczowi niestosowność takiego zachowania i przekonać go do otwarcia zamkowej bramy. Ciało Lwa Lechistanu spoczęło na katafalku w sali tronowej.

Chociaż zawstydzony Jakub padł matce do nóg, błagając o przebaczenie, Maria Kazimiera nie zamierzała puścić mu tego postępuku płazem. Wyniosłym i lekceważącym milczeniem zbywała wszystkie jego próby przeprosin, najwyraźniej chcąc dać synowi bolesną lekcję i skłonić do bardziej przemyślanego postępowania w przyszłości. Niestety tylko pogorszyła tym sprawę, a urażony do żywego Jakub czym prędzej przyłożył swoje pieczęcie, jak również wystarał się o pieczęcie podskarbich, uniemożliwiając tym samym matce i braciom swobodne korzystanie ze zdeponowanych pieniędzy i kosztowności. To jeszcze zaostrzyło jego konflikt z matką, ku niekłamanej ucieście opozycji, której członkowie doskonale zdawali sobie sprawę, że kłótnia w rodzinie znacznie pogorszy sytuację Jakuba Sobieskiego w przypadku wystawienia jego kandydatury w kolejnej elekcji.

Gotówka była królewiczowi rzeczywiście potrzebna, ponieważ myślał poważnie o wzięciu udziału w wyścigu o koronę Rzeczypospolitej, ale to nie usprawiedliwia jego kłótni o schedę z rodziną. Gdyby postępował rozsądnie i usiadł z krewnymi do stołu, by przedyskutować kwestię podziału majątku, zyskałby znacznie więcej, niż wchodząc z nimi w bezsensowne spory. Jakub miał wyjątkowy wręcz dar zrażania do siebie ludzi i w walce o tron popełniał fatalne błędy. Co prawda zawczasu, bo na początku lat dziewięćdziesiątych, czyli jeszcze za życia swego królewskiego ojca, prowadził na dworach europejskich w Berlinie, Sztokholmie oraz Wiedniu akcje zmierzające do zapewnienia mu poparcia w staraniach o koronę, ale stanowczo za szybko osiadł na laurach. Kiedy udało mu się uzyskać przychylność cesarza Leopolda I, uznał, że zwycięstwo ma w kieszeni. Sądził, że automatycznie zapewni mu to poparcie pozostałych członków Ligi Świętej. Na domiar złego wszystkie swoje nadzieje oparł na dominującym w ówczesnej Polsce stronnictwie austriackim i całkowicie zaniechał starań o pozyskanie stronników ze swego narodu. Był zresztą święcie przekonany, że poparcia udzielą mu nie tylko przyjaciele domu i towarzysze broni jego zmarłego ojca, ale także cała polska szlachta, widząc w nim spadkobiercę słynnego hetmana, wielkiego króla i zwycięzcy spod Chocimia i Wiednia. Bardzo szybko przekonał się, że były to złudne nadzieje.

Wkrótce dawni przeciwnicy jego ojca uderzyli z wielką siłą, wykorzystując do walki pomówienia, plotki i nie stroniąc od oszczerstw. Z samego Jakuba drwiono bezlitośnie, wyrzucając mu, że nie potrafi spłodzić syna (w jego małżeństwie rzeczywiście rodziły się same córki), zarzucano mu bezpłodność, pomimo że przecież miał dzieci, i pomawiano o homoseksualizm. Ulotki ośmieszające królewicza i jego pozostałych krewnych kolportowano nie tylko w samej Warszawie, ale także w innych miastach kraju, a echa tej bezpardonowej walki

wyborczej pobrzmiwały jeszcze w XX wieku, kiedy jeden z historyków, opierając się na pomówieniach zawartych we wspomnianych ulotkach, uparcie twierdził, że najstarszy syn Sobieskiego był homoseksualistą, chociaż nie znalazł na to żadnych dowodów. Przy okazji oberwało się też Marii Kazimierze — autorzy politycznych paszkwili wyrzucali jej, że zbyt szybko porzuciła żałobę i niedostatecznie długo rozpaczała po śmierci swojego męża, krytykowano też jej rzekomo wędną urodę: „zwiędniałą pierś, oczy leniwe i szyję nadwątloną”¹¹¹. W jednym z utworów ośmieszających królową zamieszczono fikcyjny dialog między nią a Jakubem, w którym owdowiała Marysieńka obiecywała mu koronę, jaką jej synowi miał zapewnić pewien Żyd, za którego zgodziła się wyjść. Kiedy konflikt między Marysieńką a synem zaostrzył się, zaczęto jej zarzucać bycie złą matką, wytykano jej domniemanych kochanków i wreszcie twierdzono, jakoby sama chciała zasiąść na tronie, obok Jabłonowskiego, którego podobno planowała poślubić. Zdaje się, że królowa rzeczywiście bardzo zbliżyła się po śmierci męża do Jabłonowskiego i w pogłoskach o ich planowanym ślubie było coś na rzeczy, ale z tych planów ostatecznie nic nie wyszło. Jeżeli domniemany kochanek Marii Kazimierzy rzeczywiście roił o koronie królewskiej, to jego marzenia się spełniły, ale na opak. Królem został nie on sam, ale jego wnuk, syn córki Jabłonowskiego, Anny, i Rafała Leszczyńskiego — Stanisław, natomiast prawnuczce hetmana, Marii, przyszło zasiadać na tronie Francji, u boku Ludwika XV.

Sobiescy i ich stronnicy zwarli szyki, by bronić się przed oszczerstwami rzucanymi przez ich politycznych przeciwników. Starano się przekonać społeczeństwo, a głównie szlachtę, bo to ona miała dokonać obioru nowego króla, że Marysieńka była wierną i oddaną żoną, wspaniałą matką i chociaż jest Francuzką, szczerze kocha kraj, w którym przyszło jej żyć. Na próżno. Kampania oszczerstw i nienawiści okazała się na tyle skuteczna, że przez wieki dominował stworzony wówczas fałszywy obraz Marii Kazimierzy i dopiero historycy żyjący w XX wieku podjęli próbę rehabilitacji królowej w oczach potomnych.

Aby Jakub nie obawiał się konkurencji ze strony młodszych braci (w międzyczasie pojawiła się pogłoska, jakoby Maria Kazimiera planowała osadzenie na tronie jednego z nich), jesienią 1696 roku królowa wysłała swoich dwóch młodszych synów, dwudziestoletniego Aleksandra i siedemnastoletniego Konstantego, za granicę, realizując tym samym marzenia jej zmarłego małżonka. Jak się okazało, nie był to dobry pomysł, ponieważ młodzi królewicze potraktowali swoją turę kawalerską nie jak okazję do nauki, tylko do dobrej zabawy. Wkrótce po ich wyjeździe do Polski zaczęły dochodzić niepokojące wieści o ich skandalicznym prowadzeniu się, burdach i pijatykach z ich udziałem, a Marysieńce dosłownie włosy na głowie stanęły z przerażenia, kiedy dowiedziała się, że Franciszek Michał Denhoff, wyznaczony przez nią do opieki nad królewiczami, zmarł z przepicia. Zbulwersowana królowa wezwała synów do powrotu do kraju, a ci posłusznie wrócili. Wiosną następnego roku zawitali do Warszawy i nawet złożyli starszemu bratu życzenia sukcesów w elekcji.

Tymczasem „kampania nienawiści” rozpętana przez przeciwników Sobieskich odniosła skutek i szanse Jakuba malały z dnia na dzień. Na domiar złego stracił bardzo wpływowego protektora, ambasadora Francji Melchiora de Polignaca, tego samego, którego onegdaj podejrzewano o romans z Marysieńką. Ambasador otrzymał wyraźne polecenie od Ludwika XIV, by w imieniu Królestwa Francji wspierał kandydaturę Sobieskiego. Tymczasem zaciekli wrogowie Sobieskich, Lubomirscy, przekonali go, że Jakub nie ma najmniejszych szans, by zasiąść na tronie, i Francuz zmienił front, nie informując o tym swego mocodawcy. Odtąd robił, co mógł, by utrać kandydaturę królewicza. Być może mścił się w ten sposób na jego matce, niewiernej kochance,

która odrzuciła go na rzecz Jabłonowskiego. Jak się okazuje, to właśnie on wpadł na pomysł, by zaatakować hetmana, oskarżając go, że chce poślubić owdowiałą królową, by móc dzięki temu wygrać elekcję i zasiąść na tronie. Z czasem de Polignac próbował nakłonić Ludwika XIV, by wycofał swoje poparcie dla Sobieskich i wystawił swojego kandydata. Monarcha długo nie dawał się przekonać, pomny na perturbacje, jakie stały się udziałem poprzednich Francuzów startujących w tym osobliwym wyścigu o tron Rzeczypospolitej. Ambasador ukuł nawet sprytny plan polegający na tym, aby w zamian za poparcie francuskiego kandydata przekonać Turcję, by oddała Polakom twierdzę w Kamieńcu Podolskim, ale tylko na czas wolnej elekcji. Potem forteca wróciłaby do rąk Osmanów. Na szczęście Król Słońce nie zgodził się na to, ale ostatecznie wystawił swojego człowieka, wycofując poparcie dla Jakuba Sobieskiego. Owym kandydatem był Franciszek Ludwik de Burbon, do którego przekonał Lubomirskich Polignac. Do grona popierających francuskiego księcia dołączyli wkrótce także Sapiehowie, a bezpardonowa walka wyborcza przybrała na sile. Coraz głośniej odzywały się głosy domagające się wyjazdu Marii Kazimierzy ze stolicy, ponieważ obawiano się, zresztą niebezpodstawnie, że jej obecność może wpłynąć na wynik elekcji. Początkowo Marysienka nie chciała się zgodzić, ale ostatecznie przyrzekła, że na czas elekcji opuści Warszawę.

Wraz z przystąpieniem do walki kolejnego kandydata nieszczęsny Jakub Sobieski utracił drugiego, jeszcze bardziej wpływowego sojusznika — prymasa Michała Radziejowskiego, pełniącego funkcję *interrex*a. Do zmiany zdania przekonał go kosztowny podarunek, w postaci wspaniałych szat liturgicznych, przesłany mu przez władcę Francji. Po dziś dzień można oglądać je w skarbcu katedry gnieźnieńskiej. Księżna Conti otwarcie poparła także owdowiała pani Sobieska, znowu skłócona z Jakubem. Tych dwoje jakoś nie mogło dojść do porozumienia, kłócąc się i godząc na przemian.

Z czasem pojawił się kolejny pretendent do tronu, przynajmniej na początku mający bardzo nikłe szanse, by zdobyć koronę. Owym kandydatem, który jak pokazała przyszłość, okazał się czarnym koniem elekcji, był saski elektor Fryderyk August z dynastii Wettinów. Na jego niekorzyść przemawiał fakt, iż był on protestantem, a szlachta nigdy nie obrałaby królem niekatolika. Ale z tą „drobnostką” Sas poradził sobie bardzo szybko, dokonując przejścia na katolicyzm, a dokument świadczący o jego konwersji, opatrzony podpisami stosownych hierarchów kościelnych, czym prędzej wysłano do Warszawy. W ślad za nim puszczono transport złota przeznaczonego na kaptowanie kolejnych zwolenników. I tak początkowo niedoceniany kandydat stał się, obok księcia Conti, najpoważniejszym kandydatem do tronu. Jakub Sobieski ku własnemu zdziwieniu odkrył nagle, że nie liczy się już w tej grze. Na nic się zdało poparcie jego matki, która nieco za późno poszła po rozum do głowy, zmieniła front i opowiedziała się po stronie syna. Ostatecznie to właśnie Sas wyszedł zwycięsko z tej rywalizacji, aczkolwiek trzeba otwarcie powiedzieć, że zagrał wyjątkowo nieczysto. Po zakończeniu elekcji 28 czerwca 1697 roku prymas, do którego obowiązków należało przeliczenie głosów i ogłoszenie zwycięzcy, orzekł, iż wygrał Conti, ale niewielką przewagą głosów. Wieczorem zmęczony duchowny przerwał liczenie i udał się na spoczynek, przekonany, że nazajutrz, dokończywszy pracę, ogłosi królem Francuza. Tak się jednak nie stało. W nocy przedstawiciele Wettina robili, co mogli, by przeciągnąć na jego stronę jak najwięcej Polaków, przekupując zmęczoną obradami szlachtę... jedzeniem. Był to udany manewr i kiedy nazajutrz na miejsce elekcji dotarł Radziejowski i zabrał się za ponowne liczenie głosów, okazało się, że liczba stronników elektora bardzo wzrosła. Prymas, nie czekając na rozwój wypadków, ogłosił królem Contiego, a tymczasem zwolennicy elektora swego kandydata również okrzyknęli

zwycięzcą. Zdając sobie sprawę, że Radziejowski nigdy nie zaakceptuje jego kandydatury, Wettin udał się bezzwłocznie do Krakowa na koronację, a ponieważ insygnia koronne leżały zamknięte na cztery spusty w skarbcu, do którego klucze dzierżyło aż ośmiu senatorów, w większości popierających Francuza, najzwyczajniej w świecie wykradł je, dzięki czemu 27 kwietnia 1694 roku mógł koronować się na króla. Po koronacji przybrał imię Augusta II Mocnego, pod jakim jest znany w historii.

Po przegranej elekcji Maria Kazimiera przez jakiś czas została jeszcze w Polsce, podróżując po rodzinnych dobrach jej męża. Przy tej okazji z bólem skonstatowała, że wydatki związane z wolną elekcją, zakończoną klęską Sobieskich, oraz z zagraniczną podróżą jej synów mocno nadszarpaneły rodzinny majątek. W tej sytuacji trzeba było upomnieć się u nowego króla o zwrot długów ciążyących na państwie, zobowiązanym do spłaty pieniędzy pożyczonych skarbowi przez Jana III Sobieskiego. To delikatne zadanie powierzyła swoim młodszym synom, którzy, jak się okazało, świetnie się czuli na dworze człowieka, który sprzątnął ich starszemu bratu koronę sprzed nosa. Sam Jakub pozornie był już pogodzony z losem. Co prawda zaraz po elekcji umknął w objęcia swojej żony do zamku w Oławie, ale rozpowiadał, że lada chwila zjawi się w Warszawie złożyć nowemu królowi uszanowanie. Nowy monarcha powinien był wypłacić też owdowiałej Marysieńce prowizję od przysługującego jej wiana. A tymczasem August, którego pozycja nie była tak silna, jakby się to z pozoru wydawało, unikał uregulowania jakichkolwiek zobowiązań na rzecz Sobieskich, poprzestając na mglistych obietnicach wypłaty części należności Jakubowi.

Osamotniona Maria Kazimiera przebywała na Rusi, tęskniąc za swoimi dziećmi, zwłaszcza za Aleksandrem i Konstantym, do nieobecności córki i starszego syna w jej życiu zdążyła się już bowiem przyzwyczać. Mogła co prawda wyjść za mąż, ale, wbrew złośliwym pomówieniom, nie zamierzała po raz kolejny stawać na ślubnym kobiercu. Ostatecznie, przemyślawszy wszystkie za i przeciw, postanowiła wyjechać z Polski. August II przystał na to z największą ochotą. Osoba Marii Kazimiery od dawna stanowiła dla niego kłopot. Tak się złożyło, że jego małżonka, Krystyna Eberhardyna, zagorzała protestantka, nigdy nie zgodziła się na konwersję na katolicyzm, a wieści o zmianie wyznania dokonanej przez męża wzbudziły w niej oburzenie. Orzekła, że nigdy nie przyjedzie do Polski, i w tym uporze tkwiła do końca życia. W związku z tym nie została nigdy koronowana na królową naszego państwa, dlatego owdowiała Marysieńka, jako królowa-wdowa, była kobietą o najwyższej pozycji w kraju. Jej pojawienie się na dworze mogło wywołać bardzo poważne problemy natury ceremonialnej. Na samą myśl o tym monarcha miał niemały ból głowy.

Zaopatrzona w królewskie pozwolenia pani Sobieska zajęła się przygotowaniem do wyjazdu. Zabierała ze sobą nie tylko meble, konieczne do wyposażenia nowego lokum w rzymskim pałacu Odescalchi, ale także cenne pamiątki, które przypominały jej szczęśliwe lata spędzone u boku Jachniczka, w tym obrazy i rozmaite precjoza. Chciała też zabrać swoją ukochaną wnuczkę i imienniczkę, córkę Jakuba, czteroletnią Marię Kazimierę, ale dziewczynka poważnie zachorowała. Babcia, drżąc o jej zdrowie, codziennie zanosila za nią modły do nieba. Na szczęście dziecko szybko doszło do siebie, a Sobieski zgodził się, by towarzyszyło jego matce w słonecznej Italii. I tak obie Marie Kazimiery 2 października 1698 roku, wraz z towarzyszącym im dziadkiem d'Arquien oraz bratem Sobieskiej, hrabią de Maligny, wyruszyły w drogę. Orszak, z którym się poruszały, liczył aż trzysta osób i składał się z trzydziestu pojazdów zaprzężonych w pięćset koni. Ale największą sensację budziły wielbłądy prowadzone w tym niezwyklej pochodzie. 29 października 1698 roku orszak królowej przekroczył granicę Śląska.

O dziwo, pomimo że wcześniej Maria Kazimiera nie otrzymywała dowodów sympatii od swych poddanych, w drodze towarzyszyły jej gromkie wiwaty i płacz zrozpaczonego ludu z powodu wyjazdu wdowy po wielkim Janie Sobieskim. Wkrótce przekonała się, że pamięć o zwycięzcy spod Wiednia jest wciąż żywa w Europie, ponieważ mieszkańcy krajów, przez które przejeżdżała, często składali jej dowody wdzięczności, a nawet hołdy, co mile łechtało jej próżność.

Tak jak wcześniej zaplanowano, Marysienka zatrzymała się w Rzymie, gdzie utrzymywała dwór i gwardię przyboczną, w sumie dwieście sześćdziesiąt osób, co kosztowało niebagatelną jak na owe czasy sumę tysiąca skudów* dziennie. Nowa lokatorka pałacu Odescalchi żyła i zachowywała się tak, jakby wciąż była królową. Nadal dbała o zachowanie etykiety i należącego ceremoniału, czym często wprawiała w zakłopotanie przebywających w Rzymie dyplomatów. W Wiecznym Mieście nie zaszyła się w komnatach, ale wiodła życie pełne rozrywek. Przede wszystkim postanowiła odnowić znajomość ze swym starym znajomym czy — jak chcą niektórzy historycy — byłym kochankiem, Pignatellim, czyli papieżem Innocentym XII. Ponoć papież, choć w podeszłym wieku, nadal był czuły na wdzięki Marysienki i udzielił jej gościny w jednym z watykańskich pałaców, który stał się jej oficjalną rezydencją. Co więcej, odwiedzał ją dwa razy w tygodniu, a Maria Kazimiera z czasem stała się jego osobistym doradcą. Chyba wciąż miał do niej słabość, skoro przymykał oko na rozrywkowy styl życia swojej przyjaciółki. A przecież w historii Kościoła zapisał się jako jeden z najsurowszych papieży, twórca wielu restrykcji, które współczesnym ludziom wydają się co najmniej dziwne, o ile nie śmieszne. Szczególnie ostro walczył z rozwiązłością u kobiet, zakazując im publicznych występów na deskach teatru i w operze. To właśnie wówczas wszystkie kobiece role we włoskich operach przejęli kastraci. Z bliżej nieokreślonych powodów za zło uważał grę w karty, przy czym rozrywka ta jego zdaniem wpływała demoralizująco jedynie na płeć piękną, ponieważ to właśnie paniom zakazał brać w niej udział. Kobiety łamiące ten zakaz wtrącano do więzienia. Dotyczyło to wszystkich dam, z wyjątkiem Marysienki. Nie wiemy, jak pani Sobieska, którą kiedyś malarze uwieczniali na obrazach w raczej niekompletnym odzieniu, zapatrywała się na kolejny pomysł papieża, który nakazał „wyposażenie” wszystkich posągów przedstawiających nagie postacie w listki figowe zakrywające części intymne. Przy okazji zlecił też swoim malarzom... zamalowanie piersi Madonny na obrazie Guida Reniego. Z całą pewnością akceptacji nie znalazło u niej doprowadzenie przez ojca świętego do zburzenia słynnego rzymskiego teatru *Tor di Nona*, tylko dlatego że na jego scenie wystawiano „nieobyčajne” komedie francuskie. Wszak ona sama była wielką miłośniczką teatru, z frywolnymi komedijkami na czele.

Być może właśnie dlatego, kiedy zorientowała się, że leciwy Pignatelli wkrótce opuści świat doczesny, zaangażowała się osobiście w wybór kandydata na kolejnego papieża, nie chcąc dopuścić do tego, by na Piotrowym Tronie zasiadł kolejny moralista, którego rządy przyniosą więcej szkód niż pożytku. Pani Sobieska zdecydowała się poprzeć kardynała Giovanniego Francesco Albaniego, który był tak wdzięczny swej protektorce, że w pewnym momencie chciał nawet dla niej opuścić stan duchowny. Tak się jednak nie stało i Albani po śmierci Innocentego XII został głową Kościoła, pomimo że podczas konklawe wyraźnie sugerował, iż nie chce zostać papieżem. Kiedy ogłoszono wybór — zemdlął. Gdy odzyskał przytomność, przez kilka godzin wymiotował, a potem tłumaczył, że jest zbyt chory, by przyjąć na swe barki tak poważne zadanie, jakim jest kierowanie Kościołem. Jednak kardynałowie nie zmienili swojej decyzji i Albani został papieżem, przybierając imię Klemensa XI. Swój pontyfikat rozpoczął dość osobliwie: odwiedził Marię Kazimierę w jej rezydencji, przynosząc jej półmisek poziomek

z watykańskiego ogrodu. Potem para widywała się regularnie, co było oczywiście tematem plotek, od których huczał cały Rzym.

Niektórzy biografowie wątpią, że panią Sobieską i Albaniego rzeczywiście łączyło coś więcej niż tylko przyjaźń, zwracając uwagę na zaawansowany, ich zdaniem, wiek Marysienki, która w tym czasie miała już pięćdziesiąt dziewięć lat, ale nie jest to niemożliwe. Historia zna przypadki pań, które mimo że, delikatnie mówiąc, czasy świetności miały dawno za sobą, były kochankami znacznie młodszych mężczyzn. Wystarczy wymienić chociażby Dianę de Poitiers, metresę króla Francji Henryka II Walezjusza, która niepodzielnie królowała w jego łóżu aż do jego śmierci w 1559 roku. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, iż kochanka władcy była od niego starsza o całe dwadzieścia lat i budziła w nim pożądanie nawet jako sześćdziesięciolatka. Z kolei córka wspomnianego króla, Małgorzata, nie narzekała na brak powodzenia pomimo upływu lat, nadmiernej tuszy i... braku włosów. Co prawda księżniczka sprytnie ukrywała swoją łysą głowę pod blond peruką, ale jej łysina była publiczną tajemnicą. Mimo to nie mogła opędzić się od wielbicieli, a kochanków, oczywiście dużo od siebie młodszych, zmieniała jak rękawiczki. Zdaje się, że do tej kategorii wiecznie atrakcyjnych kobiet należała też Marysienka. Zresztą nuncjusz papieski, Andrzej Santa Croce, pod koniec lat dziewięćdziesiątych XVII stulecia pisał, że królowa Polski „jest tak białej cery i tak pięknie zakonserwowana, że nie znam damy pierwszej młodości, która by mogła z nią rywalizować”¹¹².

W 1700 roku, wraz z wybuchem wojny północnej, niespodziewanie w rodzie Sobieskich ożyły nadzieje na zdobycie korony przez Jakuba, był to bowiem czas drastycznego wzrostu niezadowolenia z rządów Wettina. Władca, angażując się w konflikt, chciał wzmocnić swoją pozycję na tronie, a przy okazji wprowadzić stosowne reformy, mające wzmocnić państwo, ale — mówiąc oględnie — zupełnie mu to nie wyszło. Trzeba jednak przyznać, że kalkulował dobrze, planując włączenie do Rzeczypospolitej ziem należących wówczas do Szwecji. Zgodnie z obowiązującym wówczas prawem jako królowi naszego kraju nie wolno mu było wszczynać żadnych wojen bez zgody senatu, dlatego August II prowadził działania wojenne nie jako władca Rzeczypospolitej, ale jako elektor saski i jako taki, wraz z armią sprzymierzonego z nim cara Piotra I, wkroczył na Inflanty. To samowolne rozpoczęcie działań wojennych drastycznie obniżyło notowania króla u polskich poddanych. Jak się okazało, August nie docenił swego przeciwnika, Karola XII, którego wojska po pokonaniu sił elektora saskiego i cara wkroczyły na terytorium Rzeczypospolitej, traktując nasz kraj, który przecież formalnie nie brał udziału w wojnie, jak podbite terytorium nieprzyjaciela. Nic dziwnego, że opozycja przeciwko Augustowi II rosła w siłę. Na czele obozu skupiającego przeciwników politycznych Wettina stanęli prymas Michał Radziejowski i starosta wielkopolski Rafał Leszczyński, *notabene* zięć niegdysiejszego zaprzysięgłego adoratora Marysienki, Jabłonowskiego. Pierwszy z wymienionych nie opowiadał się co prawda za detronizacją Sasa, ale za osłabieniem jego realnej władzy do takiego stopnia, by prymas musiał pomagać mu w rządach. Gdyby jednak August II nie utrzymał się na tronie, Radziejowski postulował wezwanie do kraju po raz kolejny wielkiego przegranego elekcji, księcia Conti, i ofiarowanie mu korony. Tymczasem Leszczyński, chociaż w trakcie wspomnianej elekcji nie popierał syna Lwa Lechistanu, teraz optował za detronizacją Wettina i osadzeniem na tronie królewicza Jakuba. Kując żelazo póki gorące, zabiegał o poparcie Szwecji dla Sobieskiego, podobnie zresztą jak sam królewicz. Wkrótce w Rzeczypospolitej rozeszła się pogłoska, jakoby zwycięski Karol XII domagał się detronizacji Wettina na rzecz Sobieskiego.

Wówczas rodzina Marysienki zwarła szyki, by pomóc Jakubowi, a jego bracia rozpoczęli

podróż po kraju w celu zwerbowania jak największej liczby zwolenników królewicza. Sam kandydat do korony napisał zaś pismo do szwedzkiego monarchy, zapewniając w nim o silnym poparciu, jakie udzieliła mu Wielkopolska, i coraz większej popularności w całym kraju, w czym oczywiście nieco przesadził. Wystosował także pismo do Króla Słońce, deklarując swoje poparcie dla polityki profrancuskiej, o ile zasiądzie na tronie, ale wiadomo też, że liczył na poparcie cesarza Leopolda I, było nie było, jego powinowatego. Historycy do dziś zastanawiają się, czy ta polityczna kalkulacja Jakuba, liczącego na jednoczesne poparcie władców dwóch skonfliktowanych państw, była przemyślaną strategią, czy też wynikała z jego naiwności. Sobieski kolportował też pisma, w których oskarżał aktualnie panującego monarchę o niespłacenie długów skarbu państwa rodzinie zmarłego króla, jak również o niewypłacenie Marysieńce oprawy wdowiej. Przy okazji przypominał, że wspomniane długi powstały, kiedy Jan III gotował się do zwycięskiej wojny z Imperium Osmańskim. Maria Kazimiera także aktywnie włączyła się do tej rodzinnej gry o tron, prosząc o poparcie papieża Klemensa XI, które udało się jej uzyskać. W 1702 roku bracia Sobiescy, ku zaniepokojeniu Augusta II, udali się na wiedeński dwór, by pozyskać dla swej sprawy cesarza. Kwestia była do załatwienia bynajmniej nie dlatego, że Leopold I żywił serdeczne uczucia wobec rodziny Lwa Lechistanu, ale ze względu na realne zagrożenie najazdem wojsk szwedzkich na ziemie Habsburgów. Poza tym bracia chcieli pośredniczyć w zbliżeniu między Wiedniem a Wersalem i w ten sposób zaskarbić sobie przychyłność Ludwika XIV. Sobiescy nie zdawali sobie sprawy, że dla Króla Słońce słabnąca z roku na rok Rzeczpospolita nie była już cennym sojusznikiem.

A tymczasem przebywająca nad Tybrem Marysieńka mocno trzymała kciuki za najstarszego syna i równocześnie borykała się z wybrykami swego, sędziwego i dotkniętego podagrą, ojca. Do rozpaczki doprowadzało ją jego zamiłowanie do hazardu i coraz młodszych panienek, ale, jak na dobrą córkę przystało, cierpliwie spłacała długi kardynała d'Arquien aż do dnia jego śmierci w 1707 roku. Najwidoczniej geny donżuana po starym rozpustniku odziedziczył średni syn Marii Kazimiery i Jana Sobieskiego, Aleksander, gdyż on także co rusz pakował się w jakieś miłosne tarapaty, które spędzały sen z powiek jego matki. Najpierw związał się ze starszą od siebie o osiem lat Elżbietą Sieniawską z Lubomirskich, kobietą bogatą i wpływową. Romans Aleksandra nie przypadł do gustu ani jego matce, ani starszemu bratu, wszak Elżbieta była nie tylko mężatką, ale przede wszystkim córką zaprzysięgłego wroga Sobieskich, marszałka Lubomirskiego. Nie był to zresztą pierwszy skok w bok pełnej temperamentu i kochającej rozrywkowe życie pięknej wojewodziny. W 1688 roku cała Rzeczpospolita plotkowała o jej romansie z Janem Stanisławem Jabłonowskim, synem wielkiego hetmana koronnego. Elżbieta była w nim tak zakochana, że ignorowała prośby męża o powrót do rodzinnego majątku w Brzeżanach. Wówczas jej małżonek, Adam Sieniawski, osobiście pofatygował się do Warszawy, gdzie, według posiadanych przez niego informacji, przebywała jego wiarołomna żona. Wojewoda nie zastał jednak Elżbiety w stolicy i jak niepyszny wrócił do Brzeżan.

W 1696 roku wybuchł jeszcze większy skandal — nadobna Sieniawska uwiodła przystojnego Aleksandra, z którym, jak twierdzą niektórzy biografowie, doczekała się nawet córki, urodzonej 15 kwietnia 1699 roku Marii Zofii. Dziewczynka oczywiście została uznana przez męża Elżbiety, chociaż wielu badawczo przyglądało się jej twarzy, szukając podobieństwa do ukochanego syna Marii Kazimiery...

Ponieważ Jakub nie pałał sympatią do pięknej wojewodziny, postanowił odciągnąć od niej swego młodszego brata, przedstawiając mu hrabinę Annę Aloysię Esterle, była faworytę króla Augusta II. Para poznała się na zamku w Oławie i z miejsca przypadła sobie do gustu. Gdy wieść

o tym dotarła do pani Sieniawskiej, ta dostała ataku zazdrości. W efekcie Sobiescy utracili poparcie tej bogatej i bardzo wpływowej kobiety, mającej szerokie kontakty zarówno na dworze cesarskim, jak i w Wersalu i nie bez przyczyny zwanej w Rzeczypospolitej „królową bez korony”. Marysienka także nie była zachwycona wieścią o kolejnej miłostce średniego syna, gdyż romans „z kobietą po królu”, jak nazywała Esterle w korespondencji, uznała za uwłaczający godności jej potomka. Gdyby miała okazję poznać osobiście wybranek Aleksandra, zapewne utwierdziłaby się w tej opinii. Anna Aloysia była nie tylko rozwiązła i niezdolna do wytrwania w związku z jednym mężczyzną (to właśnie niewierność była przyczyną oddalenia jej przez Wettina), ale przede wszystkim chorobliwie chciwa. Trudno powiedzieć, czy rzeczywiście była tak zakochana w Sobieskim, jak wskazywałyby na to pozory, czy związała się z nim w ramach zemsty na swoim królewskim kochanku, przy czym obie wersje są równie prawdopodobne. Niezależnie od wszystkiego pożyczyła Sobieskim na kampanię bliżej niesprecyzowaną, ale sporą kwotę, prawdopodobnie było to 100 tysięcy talarów uzyskane ze sprzedaży klejnotów podarowanych jej niegdyś przez monarchę. Nie wiadomo dokładnie, ile trwał związek Aleksandra z byłą królewską metresą, wiemy jedynie, że kiedy dla podreperowania zdrowia przeprowadził się on do Rzymu, by towarzyszyć Marii Kazimierze, ta relacja była już przeszłością. W międzyczasie, ku rozpaczy swojej matki, nawiązał romans z kolejną faworytą Augusta, Urszulą Lubomirską. Najwidoczniej Sobieski i Wettin mieli taki sam gust, jeżeli chodzi o płęć piękną.

Informacja o romansie Marii Aloysi z młodym Sobieskim jest właściwie ostatnim znanym faktem z jej życia. Wiadomo jedynie, że zmarła we Wrocławiu w 1738 roku, a ponieważ nie mamy informacji o dacie jej urodzenia, nie wiemy, ile wówczas miała lat. Z kolei pani Sieniawska po rozstaniu z przystojnym królewiczem znalazła pocieszenie w ramionach księcia Ferencza II Rakoczego, przywódcy powstania antyhabsburskiego. Para doczekała się córki, którą Sieniawska powiła we Lwowie 21 listopada 1703 roku. Niestety dziecko, którego imienia nawet nie znamy, zmarło w sierpniu następnego roku.

Ambitne plany związane z koronacją Jakuba rozwiały się w 1704 roku, kiedy jeszcze wydawało się, że wszystko jest na dobrej drodze, by Sobieski zwieńczył swe skronie koroną. 23 grudnia poprzedniego roku Karol XII wystawił dokument poświadczający, że najstarszy syn Jana III jest jedynym kandydatem do tronu. Pomimo że jego sytuacja wydawała się w miarę stabilna, Jakub starał się nie przekraczać granic Rzeczypospolitej, ale August II przechytrzył go i skutecznie powstrzymał w drodze na tron. Zorganizował bowiem zasadzkę nieopodal Czerwonej Karczmy pod Wrocławiem, czyli na terytorium Habsburgów. W ten sposób w ręce Sasów wpadli Jakub i towarzyszący mu Konstanty, których bezzwłocznie przewieziono do twierdzy Pleissenburg i „zakwaterowano” w pomieszczeniach przeznaczonych dla więźniów stanu. Zgodnie z poleceniem Augusta, który na utrzymanie dostojnych więźniów przeznaczył niewielką kwotę 20 talarów miesięcznie, mieli być traktowani surowo, a jednocześnie z szacunkiem, jaki wymuszało ich królewskie pochodzenie. Aleksander nie wpadł w łapy Wettina tylko dlatego, że kiedy jego dwaj bracia byli w podróży, akurat przebywał w rezydencji w Oławie. Oczywiście po uwięzieniu Jakuba to on stał się kandydatem numer jeden do polskiego tronu, ale średni syn Lwa Lechistanu odrzucił ten projekt z bliżej nieznanymi przyczynami. Niewykluczone, że przeważała lojalność wobec starszego brata. Być może bał się, że Sas wcieli w życie swoje groźby i skróci Aleksandra i Konstantego o głowę, jeżeli tylko Aleksander poważy się odebrać mu koronę. Średni królewicz nie omieszkał za to powiadomić o wszystkim matki, która poruszyła niebo i ziemię, by uwolnić synów: interweniowała u Ludwika XIV, pisała

listy do króla Polski oraz prosiła o wstawiennictwo papieża — wszystko na próżno. Już nie była królową i nikt się z nią nie liczył w świecie wielkiej polityki. Nawet papież umywał ręce. Kościół był wówczas zainteresowany umacnianiem swoich wpływów w Saksonii i nie chciał zadrażniać stosunków z elektorem, będącym przecież prawowitym władcą Rzeczypospolitej. W sierpniu 1704 roku Konstantemu oferowano wolność, ale odmówił on opuszczenia więzienia, pozostając z bratem, z którym zresztą był już skłócony.

Król Karol XII, widząc, że Aleksander nie kwapi się do korony, a jego dwaj bracia tkwią w więzieniu, postawił na zupełnie innego konia. Kiedy udało mu się, praktycznie bez walki, opanować Warszawę, doprowadził do ogłoszenia detronizacji Wettina, a 13 lipca 1704 roku nakazał wybrać nowego króla w osobie wojewody poznańskiego, dwudziestoletniego Stanisława Leszczyńskiego. W efekcie ówczesna Polska miała dwóch królów, aczkolwiek dla większości prawowitym władcą był August II. Uroczysta koronacja Leszczyńskiego na króla Polski odbyła się 4 października 1705 roku w kolegiacie św. Jana w Warszawie. Wraz ze Stanisławem koronowano jego małżonkę, a świadkiem całej uroczystości był oczywiście Karol XII. Król Szwecji nakazał uprzednio warszawskim złotnikom zrobić korony, berła i jabłka, gdyż sprzymierzeńcy Augusta skradli i wywieźli insygnia królewskie na Śląsk. Jak wiadomo, Leszczyński nie zabawił zbyt długo na tronie Rzeczypospolitej, tracąc go w 1709 roku na rzecz Augusta II.

Tymczasem bracia Sobiescy wciąż tkwili w saksońskim więzieniu. August łaskawie pozwolił Jadwidze Elżbiecie odwiedzić swego męża, Jakuba. Stęskniona kobieta mogła spędzić z nim całe trzy dni. Przerazona księżna stwierdziła, że jej małżonek jest w bardzo złej formie, a poważnym dolegliwościom fizycznym towarzyszą też problemy natury psychicznej — Jakub zapadł na ciężką depresję. W 1706 roku, kiedy królewiczów przeniesiono do Königstein, jego stan pogorszył się tak bardzo, że zaniepokoił samego komendanta twierdzy, który wystosował pismo do Wettina. Obaj Sobiescy wyszli na wolność w połowie grudnia 1706 roku, ale wbrew nadziejom ich matki nie pojechali do Rzymu, by spotkać się z Marią Kazimierą, chociaż liczyła na to zarówno ona sama, jak i jej wnuczka, córka Jakuba.

Wkrótce okazało się, że wojna, wydatki związane z odrodzeniem się nadziei na zwieńczenie skroni Sobieskiego koroną, jak również peregrynacje Aleksandra związane z jego staraniami o uwolnienie braci z więzienia, mocno nadszarpnęły fundusze rodziny. Pozbawione nadzoru majątki Sobieskich, na skutek rabunków szwedzkich wojsk, nieoszczędzających nawet ziem swoich sojuszników, popadły w ruinę. Rozważano nawet ich sprzedaż, w czym zamierzała pośredniczyć była kochanka Aleksandra, Sieniawska.

Tymczasem Maria Kazimiera, nie mogąc zobaczyć się z Jakubem i Konstantynem, postanowiła sprowadzić do Rzymu swego ukochanego Aleksandra, któremu wynalazła nawet odpowiednią kandydatkę na żonę w osobie księżniczki d'Enghien. Panna ponoć nie była zbyt urodziwa, ale sympatyczna, a co ważniejsze — majątna. Średni z braci Sobieskich, kiedy pojechał do Francji, by przyjrzeć się potencjalnej narzeczonej, nie zapalał zbyt dużym entuzjazmem do mariażu z księżniczką. A uwagi matki, upominającej go w listach, że „ci, którzy się nie ożenili, pogrążają rodzinę w wiecznym zapomnieniu”, zupełnie ignorował. Tymczasem Marysieńka wciąż marzyła o wnuku. Straciła już nadzieję, że spłodzi go Jakub. W końcu Aleksander postanowił wyjechać do Włoch i zamieszkać z matką. Najprawdopodobniej decyzję podjął ze względu na trapiące go dolegliwości zdrowotne, królewicz chorował bowiem na gościec i włoski klimat mógł wpłynąć na polepszenie jego stanu zdrowia. Matce marzyło się, by średni królewicz, podobnie jak jej ojciec, został kardynałem, ale Aleksander nie był tym

zainteresowany. Kiedy dotarł do Rzymu, przysparzał matce podobnych problemów jak niegdyś markiz, ponieważ, tak jak pan d'Arquien, uwielbiał damskie towarzystwo. Z tą różnicą, że o ile „dziadunio” lubował się w młodzieńskich dziełkach, o tyle jego wnuczek preferował dojrzałe mężatki. Aleksander co rusz pakował się w miłosne awantury, wywołując skandal za skandalem. Wkrótce po przyjeździe zakochał się w mężatce Teresie Pamfili, której mąż, dowiedziawszy się o romansie, wydalil ją z domu. Na szczęście, na skutek mediacji rodziny, wszystko skończyło się dobrze i księżę Pamfili przyjął skruszoną Teresę pod swój dach. Nie była to pierwsza ani ostatnia zamężna kobieta, która zawróciła Sobieskiemu w głowie. W czasie jego pobytu w Wiecznym Mieście drastycznie wzrosła liczba mężczyzn, na których głowach wyrosło obfite poroże...

Ale romanse i uwodzenie mężatek nie zabierały całego czasu przystojnemu Aleksandrowi, który w Rzymie zapalał wielką miłością do teatru. Podczas pobytu we Włoszech założył własną scenę, realizując kilka spektakli operowych we współpracy z kompozytorem Domenico Scarlattim oraz scenografem Filippo Juvarą. Miał też talent aktorski i czasami brał udział w przedstawieniach wystawianych w jego teatrze, podobnie jak niegdyś jego matka i nastoletnia już bratanica, Maria Kazimiera. Prowadzony przez niego teatr z powodzeniem konkurował z najsłynniejszym rzymskim teatrem, funkcjonującym przy pałacu jednego z kardynałów, Pietro Ottoboniego.

W realizacji teatralnej pasji Aleksandra przeszkadzał mu zły stan zdrowia. Wbrew prognozom lekarzy trapiące go dolegliwości nie ustąpiły po przeprowadzce do słonecznej Italii. Królewicz jednak nie dawał nic po sobie poznać i pracował nad realizacją kolejnych spektakli, nie rezygnował też z kolejnych romansów. „Mówią, że kto popadł w tę chorobę, już z niej nie wychodzi, a on jest taki młody — pisała zrozpaczona Sobieska do swego najstarszego syna. — Mówią, że pomaga małżeństwo, a szkodzą szaleństwa z kobietami”¹¹³. Schorowany Aleksander za nic nie chciał z owych szaleństw zrezygnować. Nie chciał też zażywać leków sprowadzanych do Rzymu przez matkę.

Zmartwień Marii Kazimierze przysparzał też smutny los jej jedynej córki. Nieszczęsna Pupusieńka, po wybuchu wojny o sukcesję hiszpańską, w którą zaangażowała się Bawaria, musiała opuścić kraj i udać się na wygnanie. Przyjechała do Włoch i po latach spotkała się z matką, ale nie było to udane spotkanie — Teresa Kunegunda zawsze lepiej dogadywała się z ojcem, a teraz antagonizmy dzielące ją z matką jeszcze się pogłębiły i panie za nic nie mogły dojść do porozumienia.

Siwych włosów przybyło królowej niewątpliwie także za sprawą najmłodszego syna, Konstantego, który związał się z Elżbietą Sieniawską, niegdysiejszą kochanką Aleksandra. Jego ukochanej marzyło się nawet wyniesienie go na tron, co oczywiście okazało się zupełnie nierealne, zresztą najmłodszemu z braci Sobieskich nie marzyła się władza. Uparcie tkwił w stanie kawalerskim, chociaż matka za życia swatała go z różnymi majątymi pannami. W końcu jednak ożenił się, ale bardzo szybko przekonał się, że była to błędna decyzja. Wybranką królewicza została, młodsza od niego o pięć lat, Maria Józefa Wessłówna, prawdopodobnie córka jednej z ochmistrzyń królowy Teresy Kunegundy. Para poznała się w Oławie, ale kiedy zauroczenie Konstantego Marią stało się aż nazbyt widoczne, dziewczynę czym prędzej odesłano z dworu. Mimo to para pobrała się w tajemnicy w Gdańsku 18 listopada 1708 roku. Ponoć ślub mógł zostać łatwo unieważniony, gdyż młodzi nie dopełnili formalności w postaci ogłoszenia zapowiedzi, a udzielający im sakramentu ksiądz nie miał stosownych uprawnień. Być może Konstanty doskonale zdawał sobie sprawę z tej sytuacji, licząc na to, że w przyszłości, jeżeli nadarzy się okazja do lepszego mariażu, wypłacze się z tego związku,

unieważniając zawarty nad Motławą sakrament. Jeżeli było tak rzeczywiście, to czas pokazał, że bardzo się w swoich rachubach przeliczył, a sprytna Maria nie zamierzała wypuścić go ze swych, zapewne bardzo ładnych, rączek. Szczęśliwa panna młoda wkrótce nabyła piękny dom w Warszawie na Senatorskiej, gdzie planowała urządzić miłosne gniazdko dla siebie i męża.

Wiść o „niegodnym” małżeństwie najmłodszego syna, któremu matka starała się wyswatać znacznie lepsze partie niż prosta szlachcianka, wstrząsnęła zarówno Marią Kazimierą, jak i jej pozostałymi synami. Najprostszym wyjściem byłby rozwód, ale pani Sobieska uznała, że nie jest to żadne rozwiązanie i tylko pogorszy sytuację Konstantego. Chciała natomiast, by para żyła w separacji. Ale Maria nie miała zamiaru na to przystać. Wręcz przeciwnie, bezczelnie wprowadziła się do rezydencji w Żółkwi, chcąc ściągnąć tam męża. A gdy ten, zapewne pod wpływem rodziny, opierał się, wysyłała do Jakuba listy, w których skarżyła się na oziębłość małżonka. W końcu Marysieńka doszła do przekonania, że dla Sobieskich byłoby lepiej, gdyby jej najmłodszy syn jednak wziął rozwód, ale i tym razem niechciana synowa ją przechytrzyła. Pozornie zgodziła się na takie rozwiązanie, ale postawiła bardzo wygórowane żądania finansowe, których Sobiescy nie mogli spełnić. Tymczasem Maria Józefa zyskała niespodziewanie potężnego sojusznika w osobie Augusta II, który robił, co mógł, by storpedować wszystkie próby unieważnienia małżeństwa, wykorzystując nawet swoje wpływy w Rzymie. Jak się okazało — skutecznie.

Jakby tego było mało, Maria Kazimiera poróżniła się z papieżem, a przyczyną nieporozumień miała być jej niewierność. Zazdrosny Klemens XI zakazał jej urządzania balów w karnawale, co wiązało się z utratą wpływów w towarzystwie. W 1713 roku królowa zdecydowała się więc opuścić Rzym i przenieść do swej ojczystej Francji. Pierwotnie zamierzała zatrzymać się w Wersalu, ale Ludwik XIV, ponoć kierując się odruchem męskiej solidarności ze zdradzonym papieżem, zakazał jej wjazdu do Paryża. Nie zabronił jej jednak osiedlić się w dawnej ojczyźnie. Marysieńka przyjechała do Francji, gdzie wcześniej zdeponowała sporą sumkę na procent, co zapewniło jej dostatnie życie, i zatrzymała się w majestatycznym zamku w Blois, oddanym do jej dyspozycji przez Ludwika XIV. Sobieska sądziła, że wkrótce dołączy do niej jej średni syn, który został we Włoszech, by spakować swoje rzeczy i dopilnować spraw związanych z prowadzonym przez siebie teatrem. Niestety, Aleksander czuł się coraz gorzej. Na domiar złego trapiła go tęsknota za bratanicą, z którą zdążył się bardzo zżyć. Zaniepokojona matka wzywała go do Francji, mając obietnicą małżeństwa, którą królewicz zignorował. Najwidoczniej uznał, że ze względu na zły stan zdrowia i marne rokowania należy pojednać się z Bogiem i odpokutować wcześniejsze grzechy, gdyż niespodziewanie dla wszystkich związał się z zakonem kapucynów. Po wstąpieniu do klasztoru jego stan znacznie się pogorszył, a kuracje stosowane przez braci zakonnych i restrykcyjna dieta dołożyły swoje, doszczętnie rujnując organizm królewicza. Aleksander Sobieski zmarł 19 listopada 1714 roku, dopilnowawszy wcześniej, by spalono jego całą korespondencję. I tak z dymem poszły wszystkie historie jego rzymskich romansów...

Śmierć średniego z braci, którego, zgodnie z jego wcześniejszym życzeniem, pochowano w habicie zakonnym, wstrząsnęła całą rodziną. Nie tylko Maria Kazimiera głęboko przeżyła tę tragedię, zgon brata dotknął także Jakuba, który winił za zaistniałą sytuację nie tylko nieudolnych, jego zdaniem, włoskich lekarzy, ale także matkę, której wyrzucił opuszczenie Aleksandra w potrzebie. Wkrótce uznał się za jedyne go spadkobiercę schedy po bracie, ignorując tym samym ewentualne roszczenia Konstantego. Najwyraźniej doszedł do wniosku, że jemu, jako ojcu trzech córek, wspomniany majątek przyda się bardziej niż tkwiącemu

w nieudanym i nieakceptowanym przez rodzinę małżeństwie Konstantemu. Pewnym pocieszeniem dla rozpaczających po bolesnej stracie krewnych mógł być fakt, że papież zorganizował zmarłemu wyjątkowo uroczysty pogrzeb.

Bolejąca nad stratą ukochanego syna Marysienka urządziła się powoli w rezydencji ofiarowanej jej do dyspozycji przez Króla Słońce. Na swoje lokum, najprawdopodobniej ze względu na wspaniałą panoramę rozciągającą się z okien, z widokiem na Loarę, wybrała apartament w tak zwanym skrzydle Ludwika XII. Maria Kazimiera, utrzymująca liczny, bo aż stu pięćdziesięcioosobowy dwór, zajęła cztery komnaty, w tym największą i najważniejszą „komnatę łoża” (*chambre du lit*), pełniącą rolę sypialni i salonu przyjęć, oraz mniejszą (*chambre du dais*), służącą jako sala tronowa. W „komnacie łoża” Marysienka kazała powiesić portrety królewiczów Aleksandra i Konstantego, zięcia Maksymiliana II Emanuela — elektora bawarskiego, oraz obraz wyobrażający bitwę pod Wiedniem (według niektórych źródeł była to bitwa pod Chocimiem). Autorem tego ostatniego był francuski malarz Jean-Baptiste Martin. Kiedy Marysienka wprowadzała się do zamku w Blois, budynek był bardzo zaniedbany, ale z czasem, za sprawą pani Sobieskiej, zmienił się nie do poznania, stając się prawdziwym centrum towarzyskim. Na bale i przyjęcia organizowane przez Marysienkę i towarzyszącą jej wnuczkę ściągano najlepsze towarzystwo.

Jednak bale Maria Kazimiera organizowała już znacznie rzadziej niż w Rzymie. Teraz więcej czasu zajmowało jej prowadzenie korespondencji, przyjmowanie licznych gości, wśród których znaleźli się jej zięć elektor bawarski, rzymski teolog — kapucyn de la Flèche, i marszałek de Villars. Marysienka odwiedzała miejscowy zakon urszulanek, zwiedzała okolice Blois, zamek w Chambord i znane opactwo La Guiche. Uwielbiała też przechadzki dwukilometrową aleją, obsadzoną czterema rzędami wiązów i otoczoną żywopłotem z białych róż. Kto wie, być może owa aleja przywoływała jej wspomnienia rezydencji w Wilanowie i tamtejszego parku, założonego przez jej męża.

Maria Kazimiera Sobieska zmarła dnia 30 stycznia 1716 roku, po płukaniu żołądka zaleconym przez jej nadwornego medyka. 2 kwietnia jej doczesne szczątki przeniesiono do kaplicy św. Eustachego w kościele św. Zbawiciela w Blois, a serce złożono w urnie w miejscowym kościele jezuitów. Nie był to jednak koniec jej peregrynacji, ponieważ ciało ukochanej Lwa Lechistanu rok później wróciło do Polski. Nie wiemy, kto przywiózł jej trumnę do Warszawy, by pozostawić ją przed świątynią, w której spoczywał jej małżonek. Być może był to zaufany dworzanin Sobieskich Filip Dupont, któremu Jakub zlecił zlikwidowanie dworu matki i przywiezienie Marii Kazimiery do domu, na Śląsk. Ciało królowej złożono w kościele obok małżonka, a w 1733 roku wraz z prochami króla przewieziono je do nekropolii polskich królów w katedrze wawelskiej w Krakowie i złożono w krypcie św. Leonarda.

Los nie okazał się zbyt łaskawy dla gromadki jej potomstwa. Teresa Kunegunda i jej małżonek wrócili do Bawarii dopiero na początku 1715 roku, po bez mała dziesięciu latach wygnania i rozłąki. Wkrótce do rodziców dołączyły także dzieci, dotychczas wychowywane na habsburskim dworze w Wiedniu. Puposienka, mimo że nigdy nie była z matką w dobrych stosunkach, bardzo przeżyła śmierć Marii Kazimiery i popadła nawet w dewocję. Dziesięć lat później, 26 lutego 1726 roku, świat doczesny opuścił Maksymilian Emanuel i Teresa Kunegunda po trzydziestu latach małżeństwa została wdową. Władzę po zmarłym ojcu przejął Karol Albert, który zupełnie nie potrafił porozumieć się z matką, skąpiąc pieniądze na jej utrzymanie. Zmęczona ciągłymi kłótniami elektorowa zdecydowała się wyjechać z kraju i osiadła w Wenecji. Jej syn, który nie palił się do utrzymywania matki w kraju, nie miał najmniejszego zamiaru

utrzymywać jej także za granicą. Teresa Kunegunda popadła w poważne tarapaty finansowe, opuściła ją większość dworzan i służby. Niewiele wiemy o życiu elektorowej w Wenecji, ale sądzić należy, że, głównie ze względu na kłopoty materialne, nie było ono usłane różami. Ukochana córka Sobieskiego, jedyna z jego dzieci, która mogła poszczycić się tytułem monarszym, zmarła 10 marca 1730 roku, przeżywszy pięćdziesiąt cztery lata. Spoczęła obok zmarłego wcześniej Maksymiliana Emanuela w krypcie Wittelsbachów kościoła teatynów w Monachium.

Konstanty wciąż tkwił w nieudanym małżeństwie, prowadząc starania o jego unieważnienie. Rodzinnego ciepła, którego najwidoczniej mu brakowało, szukał w domu swego starszego brata. Przy okazji, zapewne bezwiednie, rozkochał w sobie jedną z bratanic, Marię Annę Karolinę, ale na szczęście żywił do niej niemal ojcowskie uczucia i miłość dziewczyny wypaliła się stosunkowo szybko, bez żadnych poważniejszych konsekwencji. Na dłużej związał się z Wrocławiem, gdzie podobnie jak Jakub żywo interesował się sztuką, sprawując mecenat nad artystami, w tym malarzami niemieckimi i muzykami włoskimi. Za jego sprawą do miasta zawitała też opera. Z początkiem lat dwudziestych sprawa ewentualnego rozwodu czy też unieważnienia małżeństwa najmłodszego królewicza nabrała rumieńców. Tak się bowiem złożyło, że na zięcia upatrzyła go sobie jego niegdysiejsza kochanka, Elżbieta Sieniawska, która planowała ożenić go ze swoją jedyną córką, a być może także bratanicą Sobieskiego, a następnie osadzić zięcia na tronie. Dla swoich planów pozyskała nawet dwór w Wersalu i samego cara, którego wysłannicy kontaktowali się nawet w tej sprawie z Konstantym. Ale i tym razem nie udało się nic załatwić.

Tymczasem w nie do końca jasnych okolicznościach królewicz pojednał się z Marią Józefą. Zamieszkali razem, a kiedy się rozstawali, pisali do siebie listy, w których Konstanty tytułował swoją połowicę „drogim sercem” lub „najdroższą żoneczką”. Para doczekała się syna, ale dziecko zmarło wkrótce po urodzeniu. Maria Józefa przedzierzgnęła się z czasem w najczulszą opiekunkę Konstantego, który w latach dwudziestych gwałtownie podupadł na zdrowiu. Jego biografowie przypuszczają, że od dawna borykał się z cukrzycą, a z czasem także zachorował na gościec lub podagrę. Do tego nie szanował swego zdrowia, nadużywając alkoholu. Kuracja przepisana mu przez medyków, którzy zaordynowali mu dietę z dużą ilością piwa, także zrobiła swoje... Najmłodszy z synów Marysienki i Jana Sobieskich zmarł 26 lipca 1726 roku, przeżywszy zaledwie czterdzieści sześć lat. Zbolała wdowa długo jeszcze procesowała się ze swoim szwagrem o spadek po mężu.

Najdłużej z potomków bohaterów naszej opowieści żył ich najstarszy syn, Jakub. Nieudane zabiegi o koronę mocno zrujnowały jego majątek, co wiązało się z problemami z zapewnieniem córkom stosownego posagu. Nieopatrznie wydał za mąż jedną z nich za Karola Stuarta, nie uzyskawszy wcześniej zgody cesarza, za co spotkała go surowa kara. Zięć Jakuba był synem obalonego władcy Anglii, Jakuba II Stuarta, i rościł sobie pretensje do tronu, natomiast cesarza wiązało przymierze z prawowitym królem Jerzym I, więc ożenek panny Sobieskiej był mu bardzo nie na rękę. Chcąc ukarać jej rodziców za niesubordynację, wydał nakaz bezzwłocznego opuszczenia przez rodzinę Sobieskich ziem Habsburgów. Odtąd Jakub wiódł życie tułacza, błąkając się po Europie i walcząc o utrzymanie Księstwa Oławskiego. Cesarz łaskawie pozwolił mu wrócić do rezydencji w Oławie, kiedy jego małżonka zachorowała na tyle poważnie, że obawiano się o jej życie. A ponieważ była cesarską krewną, władca przymknął oczy na jej wcześniejszą niesubordynację, pozwalając spędzić ostatnie dni w pałacu w Oławie, dokąd wkrótce przybył także jej małżonek. Jadwiga Elżbieta zmarła 10 sierpnia 1722 roku, polecając

przed śmiercią mężowi, by zajął się kwestią zamęścia ich dwóch córek: Marii Kazimiery i Marii Karoliny. Czas pokazał, że troska o odzyskanie włości znacznie bardziej zaprzętała głowę Jakuba niż sprawa korzystnego wydania za mąż obu dziewcząt, które marniały w staropanieństwie. Maria Kazimiera, ukochana wnuczka Marysieńki, nie doczekała odmiany losu — wiosną 1723 roku zachorowała i 18 maja odeszła na zawsze, dożywszy wieku dwudziestu ośmiu lat. Być może śmierć starszej córki wstrząsnęła sumieniem Jakuba, który w końcu wydał za mąż Marię Karolinę za księcia de Turenne, Fryderyka Maurycego de La Tour d’Auvergne. Co ciekawe, średnia córka Jakuba była jedyną, która poważyla się poszukać sobie sama kandydata na męża, a nawet wdała się w romans z Michałem Kazimierzem Radziwiłłem, zwanym Rybeńką. Niestety jej wybór nie zyskał ani akceptacji ojca, ani — co istotniejsze — cesarza. Marii Karolinie nie dane było jednak zbyt długo cieszyć się radością małżeńskiego życia, gdyż jej mąż zmarł zaledwie dziesięć dni po ślubie. Atrakcyjną młodą wdówkę poślubił siedem miesięcy później brat zmarłego, wielki szambelan Karol Godfryd de La Tour d’Auvergne. Chociaż para doczekała się dwójki dzieci, nieudane od początku małżeństwo zakończyło się rozwodem. Zresztą jej młodsza siostra, Maria Klementyna, także nie była szczęśliwa w związku z Karolem Stuartem.

Jakub Sobieski ostatecznie osiadł w Żółkwi, majątku rodowym Sobieskich. Na stare lata kompletnie zdziwaczał — podróżował po świecie, gdzie zawierał znajomości z magami, jasnowidzami i kabalistami różnej maści. Potem zmienił front i popadł w dewocję, umartwiał się, modlił i uczestniczył w trzech mszach dziennie. Zmarł 19 grudnia 1737 roku w rodzinnej Żółkwi. Kiedy umierał, na zewnątrz rozszalała się straszliwa burza, podobnie jak ponad sto lat wcześniej, kiedy rodził się jego ojciec, Jan III Sobieski. Żywioł uderzył w wiszącą nad zamkową bramą tarczę z herbem, strącając ją na ziemię i tłukąc na kawałki. Jakby natura chciała obwieścić światu, że ród Sobieskich właśnie schodzi ze sceny historii...

-
- * Skud — dawna srebrna moneta włoska równa 1/20 lira.
- 1 Z. Wójcik, *Jan Sobieski 1626–1696*, Warszawa 1983, s. 33.
 - 2 K. Krupiński, *Przodkowie Jana III Sobieskiego*, Pasaż wiedzy — Muzeum Pałacu w Wilanowie, http://wilanow-palac.pl/przodkowie_jana_iii_sobieskiego.html.
 - 3 J. Dumanowski, *Polak w Paryżu. Jakub Sobieski o egzekucji Ravaillaca i Francuzie-kanibalu*, Pasaż wiedzy — Muzeum Pałacu w Wilanowie, http://www.wilanow-palac.pl/polak_w_paryzu_jakub_sobieski_o_egzekucji_ravaillaca_i_francuzie_kanibalu.html.
 - 4 Z. Wójcik, *Jan Sobieski...*, op. cit., s. 35.
 - 5 Ibidem, s. 34–35.
 - 6 A. Skrzypiec, *Rozkwit i upadek rodu Sobieskich*, Warszawa 2014, s. 16.
 - 7 L. Podhorecki, *Wazowie w Polsce*, Warszawa 1985, s. 327.
 - 8 J. Tazbir, *Buntownik z przypadku*, „Polityka”, <http://www.polityka.pl/tygodnikpolityka/historia/225302,1,buntownik-z-przypadku.read>.
 - 9 Z. Wójcik, *Jan Sobieski...*, op. cit., s. 60.
 - 10 T. Żeleński-Boy, *Marysieńka Sobieska*, <https://wolnelektury.pl/media/book/pdf/marysienka-sobieska.pdf>.
 - 11 T. Wasilewski, *Ostatni Waza na tronie polskim*, Katowice 1984, s. 72.
 - 12 *Polski słownik biograficzny*, t. 30, Kraków 1987, s. 46.
 - 13 Ibidem.
 - 14 Ibidem.
 - 15 M. Nagielski, *Potop. Ten najazd spustoszył Polskę bardziej niż wojny światowe* [wywiad przeprowadzony przez Karolinę Lewicką], „Newsweek Polska”, <http://www.newsweek.pl/historia/miroslaw-nagielski-o-potopie-szwedzkim-wywiad,artykuly,402447,1.html>.
 - 16 Ibidem.
 - 17 D. Czubara, *Zamość, seks i Sobiepan*, Regionalny Dziennik Internetowy roztocze.net, <https://roztocze.net/zamosc-seks-i-sobiepan>.
 - 18 J.I. Kraszewski, *Jan III Sobieski*, [w:] *Wizerunki książąt i królów polskich* [reprint], Warszawa 1988, s. 368.
 - 19 Ibidem, s. 367.
 - 20 A. Straszewska, *Antyczne zaślubiny Marii Kazimiery d’Arquien z Janem Zamoyskim*, Pasaż wiedzy — Muzeum Pałacu w Wilanowie, http://www.wilanow-palac.pl/antyczne_zaslubiny_marii_kazimiery_d_arquien_z_janem_zamoyskim.html.
 - 21 K. Ogiolda, *Choroby polskich królów. Rozmowa z dr. hab. n. med. Januszem Kubickim, pasjonatem historii*, nowiny24, http://www.nowiny24.pl/wywiady/art/6000379.choroby-polskich-krolow_id.t.html.
 - 22 S. Duda, *Marysieńka i Jachniczek*, wyborcza.pl, http://wyborcza.pl/alehistoria/1,121681,16895306.Marysienka_i_Jachniczek.html.
 - 23 Z. Satała, *Poczet polskich królowych, księżnych i metres*, Szczecin 1990, s. 248.
 - 24 Ibidem.
 - 25 Ibidem.
 - 26 Ibidem.
 - 27 T. Żeleński-Boy, *Marysieńka Sobieska*, op. cit., <https://wolnelektury.pl/media/book/pdf/marysienka-sobieska.pdf>.
 - 28 Z. Satała, *Poczet polskich...*, op. cit., s. 120.
 - 29 Ibidem.
 - 30 Ibidem, s. 121.
 - 31 Ibidem, s. 123.
 - 32 T. Żeleński-Boy, *Marysieńka Sobieska*, op. cit., <https://wolnelektury.pl/media/book/pdf/marysienka-sobieska.pdf>.
 - 33 Z. Satała, *Poczet polskich...*, op. cit., s. 124.

- 34 Ibidem, s. 126.
- 35 T. Żeleński-Boy, *Marysieńka Sobieska*, op. cit., <https://wolnelektury.pl/media/book/pdf/marysienka-sobieska.pdf>.
- 36 Ibidem.
- 37 Z. Satała, *Poczet polskich...*, op. cit., s. 126.
- 38 R. Grześkowiak, *Wizytowe łóżce Marysieńki. Jak do Polski trafiła francuska moda na la ruelle*, Pasaż wiedzy — Muzeum Pałacu w Wilanowie, http://www.wilanow-palac.art.pl/wizytowe_loze_marysienki_jak_do_polski_zawitala_francuska_moda_na_la_ruelle.html.
- 39 T. Żeleński-Boy, *Marysieńka Sobieska*, op. cit., <https://wolnelektury.pl/media/book/pdf/marysienka-sobieska.pdf>.
- 40 Z. Wójcik, *Jan Sobieski...*, op. cit., s. 80.
- 41 T. Żeleński-Boy, *Marysieńka Sobieska*, op. cit., <https://wolnelektury.pl/media/book/pdf/marysienka-sobieska.pdf>.
- 42 L. Podhorecki, *Wazowie w Polsce*, Warszawa 1985, s. 376.
- 43 T. Żeleński-Boy, *Marysieńka Sobieska*, op. cit., <https://wolnelektury.pl/media/book/pdf/marysienka-sobieska.pdf>.
- 44 Ibidem.
- 45 R. Grześkowiak, „Serenada północna na ślub niezwyčajny wielkiego stadła, intonowana w Warszawie, przy skończonej sprawie”, Pasaż wiedzy — Muzeum Pałacu w Wilanowie, http://www.wilanow-palac.pl/serenada_polnocna_na_slub_niezwyčajny_jana_andrzeja_morsztyna_czyli_dzieje_pewnego_sk.
- 46 T. Żeleński-Boy, *Marysieńka Sobieska*, op. cit., <https://wolnelektury.pl/media/book/pdf/marysienka-sobieska.pdf>.
- 47 Ibidem.
- 48 Ibidem.
- 49 T. Wasilewski, *Ostatni Waza na tronie polskim*, op. cit., s. 257.
- 50 J. Sobieski, *Listy do Marysieńki*, oprac. L. Kukulski, Warszawa 1962.
- 51 T. Wasilewski, *Ostatni...*, op. cit., s. 258.
- 52 J. Sobieski, *Listy...*, op. cit., s. 220.
- 53 Ibidem, s. 221.
- 54 Ibidem, s. 195.
- 55 Ibidem, s. 217.
- 56 Ibidem, s. 201.
- 57 Ibidem, s. 211.
- 58 Ibidem, s. 212.
- 59 Ibidem, s. 228.
- 60 Ibidem, s. 232.
- 61 Ibidem, s. 238.
- 62 Ibidem, s. 239.
- 63 Ibidem.
- 64 Ibidem, s. 246.
- 65 Ibidem, s. 286.
- 66 Ibidem, s. 283.
- 67 B. Fabiani, *Na dworze Wazów w Warszawie*, op. cit., s. 101.
- 68 J. Besala, *Władca co kaprysił*, „Polityka”, <http://www.polityka.pl/tygodnikpolityka/historia/268181,1,wladca-co-kaprysil.read>.
- 69 Z. Wójcik, *Jan Sobieski...*, op. cit., s. 156.
- 70 Ibidem, s. 163.
- 71 T. Żeleński-Boy, *Marysieńka Sobieska*, op. cit., <https://wolnelektury.pl/media/book/pdf/marysienka-sobieska.pdf>.
- 72 Ibidem.
- 73 H. Widacka, *Choroba i śmierć króla Michała*, Pasaż wiedzy — Muzeum Pałacu w Wilanowie,

- http://www.wilanow-palac.art.pl/choroba_i_smierc_krola_michala.html.
- 74 J. Sobieski, *Listy...*, op. cit., s. 349.
- 75 Ibidem, s. 368.
- 76 Ibidem, s. 417.
- 77 Z. Wójcik, *Jan Sobieski...*, op. cit., s. 215.
- 78 T. Żeleński-Boy, *Marysieńka Sobieska*, op. cit., <https://wolnelektury.pl/media/book/pdf/marysienka-sobieska.pdf>.
- 79 Z. Wójcik, *Jan Sobieski...*, op. cit., s. 217.
- 80 Ibidem, s. 229.
- 81 J. Sobieski, *Listy...*, op. cit., s. 446.
- 82 Ibidem, s. 450.
- 83 A. Skrzypietz, *Rozkwit i upadek rodu Sobieskich*, Warszawa 2014, s. 109.
- 84 *Dzieje wilanowskiej rezydencji. Wilanów w rękach Sobieskiego*, http://www.wilanow-palac.pl/file/dzieje_rezydencji/kurs/sco_01.html.
- 85 Ibidem.
- 86 T. Żeleński-Boy, *Marysieńka Sobieska*, op. cit., <https://wolnelektury.pl/media/book/pdf/marysienka-sobieska.pdf>.
- 87 Ibidem.
- 88 Ibidem.
- 89 H. Widacka, *Maria Ludwika de Béthune, siostra królowej*, Pasaż wiedzy — Muzeum Pałacu w Wilanowie, http://www.wilanow-palac.art.pl/maria_ludwika_de_b_thune_siostra_krolowej.html.
- 90 T. Żeleński-Boy, *Marysieńka Sobieska*, op. cit., <https://wolnelektury.pl/media/book/pdf/marysienka-sobieska.pdf>.
- 91 Ibidem.
- 92 J. Wimmer, *Wiedeń 1683*, Warszawa 1983, s. 168.
- 93 Ibidem.
- 94 J. Sobieski, *Listy...*, op. cit., s. 521.
- 95 Ibidem, s. 509.
- 96 Ibidem, s. 520.
- 97 Ibidem, s. 521.
- 98 *Marysieńka — regentka*, [w:] *Primus inter pares. Przewodnik po wystawie, Wilanów 2013*, s. 78.
- 99 J. Sobieski, *Listy...*, op. cit., s. 521.
- 100 Ibidem, s. 527–528.
- 101 *Sobieski Jan III herbu Janina*, Pasaż wiedzy — Muzeum Pałacu w Wilanowie, http://www.wilanow-palac.pl/sobieski_jan_iii_herbu_janina.html.
- 102 M. Dziubak, *Kosztele, ulubione jabłka królowej Marysieńki*, Pasaż wiedzy — Muzeum Pałacu w Wilanowie, http://www.wilanow-palac.pl/kosztele_ulubione_jablka_krolowej_marysienki.html.
- 103 B. Dziejic, *Ogród fruktyfikujący króla Jana i królowej Marysieńki*, Pasaż wiedzy — Muzeum Pałacu w Wilanowie, http://wilanow-palac.pl/ogrod_fruktyfikujacy_krola_jana_i_krolowej_marysienki.html.
- 104 J. Pietrzak, *Wszystkie miłości królowej Marii Kazimiery*, Pasaż wiedzy — Muzeum Pałacu w Wilanowie, http://www.wilanow-palac.pl/wszystkie_milosci_krolowej_marii_kazimiery.html.
- 105 Ibidem.
- 106 T. Żeleński-Boy, *Marysieńka Sobieska*, op. cit., <https://wolnelektury.pl/media/book/pdf/marysienka-sobieska.pdf>.
- 107 Ibidem.
- 108 Ibidem.
- 109 *Dzieje wilanowskiej rezydencji. Trudne czasy*, http://www.wilanow-palac.pl/file/dzieje_rezydencji/kurs/sco_03.html.
- 110 H. Widacka, *Portret Jana III Sobieskiego w podeszłym wieku*, Pasaż wiedzy — Muzeum Pałacu w Wilanowie, http://www.wilanow-palac.pl/portret_jana_iii_sobieskiego_w_podeszłym_wieku.html.
- 111 A. Czarniecka, *Królowa polityk w oczach szlachty — Maria Kazimiera w pismach politycznych końca*

- XVII wieku, Pasaż wiedzy — Muzeum Pałacu w Wilanowie, http://www.wilanow-palac.pl/krolowa_polityk_w_oczach_szlachty_maria_kazimiera_w_pismach_politycznych_konca_xvii_w
- 112 J. Pietrzak, *Wszystkie miłości królowej Marii Kazimiery*, Pasaż wiedzy — Muzeum Pałacu w Wilanowie, http://www.wilanow-palac.pl/wszystkie_milosci_krolowej_marii_kazimiery.html.
- 113 A. Skrzypietz, *Rozkwit i upadek rodu Sobieskich*, op. cit., Warszawa 2014, s. 269.

Bibliografia

- Augustyniak U., *Wazowie i „królowie rodacy”*. Studium władzy królewskiej w Rzeczypospolitej w XVII wieku, Wydawnictwo Semper, Warszawa 1999.
- Barycz H., *Rzecz o studiach w Krakowie dwóch generacji Sobieskich*, Wydawnictwo Literackie, Kraków–Wrocław 1984.
- Chrapowicki J.A., *Diariusz część trzecia 1669–1673*, oprac. L.A. Wierzbicki, Wydawnictwo DiG, Warszawa 2009.
- Czapliński W., Długosz J., *Życie codzienne magnaterii polskiej w XVII wieku*, PIW, Warszawa 1976.
- Czapliński W., *Władysław IV i jego czasy*, Wiedza Powszechna, Warszawa 1972.
- Czarniecka A., *Królowa polityk w oczach szlachty — Maria Kazimiera w pismach politycznych końca XVII wieku*, Pasaż wiedzy — Muzeum Pałacu w Wilanowie, http://www.wilanow-palac.pl/krolowa_polityk_w_oczach_szlachty_maria_kazimiera_w_pismach_politycznych_konca_xvii_wieku
- Czermak W., *Ostatnie lata Jana Kazimierza*, PIW, Warszawa 1972.
- Czubarą D., *Zamość, seks i Sobiepan*, Regionalny Dziennik Internetowy roztocze.net, <https://roztocze.net/zamosc-seks-i-sobiepan>.
- Dumanowski J., *Polak w Paryżu. Jakub Sobieski o egzekucji Ravaillaca i Francuzie-kanibalu*, Pasaż wiedzy — Muzeum Pałacu w Wilanowie, http://www.wilanow-palac.pl/polak_w_paryzu_jakub_sobieski_o_egzekucji_ravaillaca_i_francuzie_kanibalu.html.
- Dziedzic B., *Ogród fruktyfikujący króla Jana i królowej Marysieńki*, Pasaż wiedzy — Muzeum Pałacu w Wilanowie, http://wilanow-palac.pl/ogrod_fruktyfikujacy_krola_jana_i_krolowej_marysienki.html.
- Dzieje wilanowskiej rezydencji. Trudne czasy*, http://www.wilanow-palac.pl/file/dzieje_rezydencji/kurs/sco_03.html.
- Dzieje wilanowskiej rezydencji. Wilanów w rękach Sobieskiego*, http://www.wilanow-palac.pl/file/dzieje_rezydencji/kurs/sco_01.html.
- Dziubak M., *Kosztele, ulubione jabłka królowej Marysieńki*, Pasaż wiedzy — Muzeum Pałacu w Wilanowie, http://www.wilanow-palac.pl/kosztele_ulubione_jablka_krolowej_marysienki.html.
- Fabiani B., *Warszawski dwór Ludwiki Marii*, PIW, Warszawa 1976.
- Fabiani B., *Na dworze Wazów w Warszawie*, PWN, Warszawa 1988.
- Grześkowiak R., „*Serenada północna na ślub niezwyčajny wielkiego stadła, intonowana w Warszawie, przy skończonym sprawie*”, Pasaż wiedzy — Muzeum Pałacu w Wilanowie, http://www.wilanow-palac.pl/serenada_polnocna_na_slub_niezwycajny_jana_andrzeja_morsztyna_czyli_dzieje_p
- Jankowski J., *Monarsze sekrety*, Wydawnictwo Toporzeł, Wrocław 1995.
- Kamecka-Skrajna M., *Królowa Eleonora Maria Józefa Wiśniowiecka (1653–1697)*, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2007.
- Kawecki R., *Kardynał Michał Stefan Radziejowski (1645–1705)*, Wydawnictwo Świętego Krzyża, Opole 2005.
- Komasara I., *Jan III Sobieski — miłośnik ksiąg*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław

- 1982.
- Komaszyński M., *Piękna królowa Maria Kazimiera d'Arquien Sobieska*, Wydawnictwo Naukowe Semper, Kraków 1995.
- Kraszewski J.I., *Wizerunki księżąt i królów polskich* [reprint], Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1988.
- Libiszowska Z., *Królowa Ludwika Maria*, Czytelnik, Warszawa 1985.
- Nagielski M., *Potop. Ten najazd spustoszył Polskę bardziej niż wojny światowe* [wywiad przeprowadzony przez Karolinę Lewicką], „Newsweek Polska”, <http://www.newsweek.pl/historia/miroslaw-nagielski-o-potopie-szwedzkim-wywiad.artykuly.402447.1.html>.
- Ochmann-Staniszewski S., *Dynasta Wazów w Polsce*, PWN, Warszawa 2006.
- Ogiolda K., *Choroby polskich królów. Rozmowa z dr. hab. n. med. Januszem Kubickim, pasjonatem historii*, nowiny24, <http://www.nowiny24.pl/wywiady/art/6000379,choroby-polskich-krolow,id,t.html>.
- Pietrzak J., *Wszystkie miłości królowej Marii Kazimiery*, Pasaż wiedzy — Muzeum Pałacu w Wilanowie, http://www.wilanow-palac.pl/wszystkie_milosci_krolowej_marii_kazimiery.html.
- Pietrzak J., *Zdrowie królowej Marii Kazimiery w świetle recept warszawskiego aptekarza Jana Fryzego z przełomu XVII i XVIII wieku*, Pasaż wiedzy — Muzeum Pałacu w Wilanowie, http://www.wilanow-palac.pl/zdrowie_krolowej_marii_kazimiery_w_swietle_recept_warszawskiego_aptekarza_jan
- Poczet królów i księżąt polskich*, Czytelnik, Warszawa 1996.
- Podhorecki L., *Wazowie w Polsce*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1985.
- Polski słownik biograficzny*, Polska Akademia Umiejętności — Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1959–1960.
- Primus inter pares. Przewodnik po wystawie*, Muzeum Pałacu w Wilanowie, Wilanów 2013.
- Przyboś A., *Michał Korybut Wiśniowiecki 1640–1673*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1984.
- Rudzki E., *Polskie królowe*, t. 2, Instytut Prasy i Wydawnictw Novum, Warszawa 1990.
- Sajkowski A., *Staropolska miłość*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1981.
- Skrzypietz A., *Rozkwit i upadek rodu Sobieskich*, Bellona, Warszawa 2014.
- Sobiescy M.K. i J., *Listy okresu odsieczy wiedeńskiej*, Czytelnik, Warszawa 1983.
- Sobieski J., *Listy do Marysieńki*, oprac. L. Kukulski, Czytelnik, Warszawa 1962.
- Sobieski Jan III herbu Janina*, Pasaż wiedzy — Muzeum Pałacu w Wilanowie, http://www.wilanow-palac.pl/sobieski_jan_iii_herbu_janina.html.
- Straszewska A., *Antyczne zaślubiny Marii Kazimiery d'Arquien z Janem Zamoyskim*, Pasaż wiedzy — Muzeum Pałacu w Wilanowie, http://www.wilanow-palac.pl/antyczne_zaslubiny_marii_kazimiery_d_arquien_z_janem_zamoyskim.html.
- Szwarc A., Urbański M., Wieczorkiewicz P., *Kto rządził Polską? Nowy poczet władców od początków do XXI wieku*, Świat Książki, Warszawa 2007.
- Targosz K., *Jana Sobieskiego nauki i peregrynacje*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1985.
- Tazbir J., *Buntownik z przypadku*, „Polityka”, <http://www.polityka.pl/tygodnikpolityka/historia/225302.1,buntownik-z-przypadku.read>.
- Wasilewski T., *Ostatni Waza na polskim tronie*, Wydawnictwo Śląsk, Katowice 1984.
- Wernichowska B., Kozłowski M., *Almanach piękności*, KAW, Warszawa 1988.

- Widacka H., *Maria Ludwika de Béthune, siostra królowej*, Pasaż wiedzy — Muzeum Pałacu w Wilanowie, http://www.wilanow-palac.art.pl/maria_ludwika_de_b_thune_siostra_krolowej.html.
- Widacka H., *Portret Jana III Sobieskiego w podeszłym wieku*, Pasaż wiedzy — Muzeum Pałacu w Wilanowie, http://www.wilanow-palac.pl/portret_jana_iii_sobieskiego_w_podeszłym_wieku.html.
- Wierzbicki L.A., *O zgodę w Rzeczypospolitej. Zjazd warszawski i sejm pacyfikacyjny 1673 roku*, Wydawnictwo UMCS, Lublin 2005.
- Wimmer J., *Odsiecz wiedeńska 1683 roku*, Wydawnictwo MON, Warszawa 1983.
- Wimmer J., *Wiedeń 1683. Dzieje kampanii i bitwy*, Wydawnictwo MON, Warszawa 1983.
- Witusik A.A., *O Zamoyskich, Zamościu i Akademii Zamojskiej*, Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1978.
- Wójcik Z., *Jan Sobieski 1629–1696*, PIW, Warszawa 1983.
- Żeleński-Boy T., *Marysienka Sobieska*, <https://wolnelektury.pl/media/book/pdf/marysienka-sobieska.pdf>.
- Żołądź-Strzelczyk D., *Dziecko w dawnej Polsce*, Wydawnictwo DiG, Poznań 2002.

Lira Publishing Sp. z o.o.
Wydanie pierwsze
Warszawa 2017
ISBN: 978-83-65838-05-6

JUŻ W KSIĘGARNIACH

Wielkie namiętności
i sekrety dnia codziennego
z historią Polski w tle!



Książka Iwony Kienzler – znanej popularyzatorki historii i autorki bestsellerów biograficznych.

www.wydawnictwolira.pl

L i R A
WYDAWNICTWO

JUŻ WKRÓTCE

Wielkie namiętności
i sekrety dnia codziennego
z historią Polski w tle!



Książki Iwony Kienzler – znanej popularyzatorki historii i autorki bestsellerów biograficznych.

www.wydawnictwolira.pl

L i R A
WYDAWNICTWO

JUŻ W KSIĘGARNIACH



Czy rzeczywiście możesz być z mężczyzną, którego pragniesz,
jeśli robisz to, co kochasz? Lukrecja w pierwszej powieści
cyklu odnalazła swoją życiową pasję i wielką miłość.
Czy zna odpowiedź na to pytanie? Przekonaj się,
sięgając po „Owoce Lukrecji”.

www.wydawnictwolira.pl

L i R A
WYDAWNICTWO